

Czy wróci pobór ■ Zderegulujmy szkoły ■ Polska spotyka się w kuchni
Sojusz z Paryżem ■ Piekło to pomyłka ■ Co kręci Sorrentino ■ Cud octu

Kraków 19 – 25 marca 2025 nr 12 (3950) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

80! TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

**80 LAT TEMU UKAZAŁ SIĘ
NASZ PIERWSZY NUMER.
Z OKAZJI URODZIN
MAMY DLA WAS PREZENT:
SPECJALNE 25 STRON
POWODÓW DO RADOŚCI
NA DZISIEJSZE CZASY**



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480505

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



**Twój Tygodnik bliżej, niż myślisz.
Dostawa za darmo przez InPost Paczkomat®**

**„Tygodnik Powszechny” – czytasz, kiedy chcesz, jak lubisz.
Bez algorytmów, bez ekranów, bez pośpiechu.**

Papierowe wydanie dostarczane co tydzień przez InPost Paczkomat®

– płacisz tylko za gazetę, przesyłka jest całkowicie **ZA DARMO!**

To rewolucja na rynku prasy – nasza odpowiedź na znikające punkty sprzedaży gazet.

Dajemy Ci wybór, bo papierowe wydanie to nie tylko wygoda,
ale też zupełnie inna jakość czytania.

Oferta specjalna

Zamawiając TP z odbiorem w InPost Paczkomat® otrzymasz:

- całoroczny dostęp do wydania internetowego „Tygodnika Powszechnego” za 1 zł – oszczędzasz 357 zł
- dostęp do odcinków specjalnych podcastu „Szkoła uczyć” z profesorem Bogdanem de Barbaro, do kursu medytacji chrześcijańskiej oraz do innych podcastów i newsletterów od autorów
- przy płatności **blik** dodatkowo specjalne rabaty. Wejdź na stronę TygodnikPowszechny.pl i sprawdź!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dodatkowo, jeśli skorzystasz z oferty **DO KOŃCA KWIETNIA**,
otrzymasz wyjątkową książkę ks. Adama Bonieckiego
„Vademecum” z autografem autora.



dowiedz się więcej!

KS. ADAM

Boniecki: *Dobre jak jubileusz*

NO TO ZNÓW MAMY JUBILEUSZ. LUBIĘ TĘ OKOLICZNOŚĆ, ALE już nie pamiętam, kiedy zaczęliśmy ją obchodzić. Koło trzydziestki? Licząc rozrzutnie, co pięć lat, wychodzi około dwunastu jubileuszy. Ale nie siebie przecież świętujemy.

Pierwszy numer „Tygodnika” wyszedł 24 marca 1945 r. Wiadomo, że początkowo były nadzieje na wolność słowa, ale się nie spełniły. Zawile to były czasy i długo trwały. Dziwnie dziś się czyta niektóre teksty, mierzące w przestrzeń między cenzurą a prawdą. Wiele wiadomo o początkach i o tej nieprzerwanej grze z cenzurą. Jerzy Turowicz szybko został naczelnym redaktorem i był nim aż do śmierci w 1999 r. Wiadomo, więc nie będę przypominał, o wydarzeniach, zakrętach, klęskach i sukcesach „Tygodnika”. Były momenty wspaniałe, mniej wspaniałe i były też momenty trudne, jak to w życiu.

Gdybym miał przypomnieć sobie jakieś dla mnie najważniejsze wydarzenia z życia „Tygodnika” (w końcu mam za sobą kilkadziesiąt lat pracy w redakcji), to przychodzą mi na myśl raczej te smutne niż wesołe. Śmierci kolegów: Turowicza, ks. Andrzeja Bardeckiego, Krzysztofa Kozłowskiego, Tadeusza Żychiewicza, Mieczysława Pszona, Józefy Hennelowej i innych. Trudno wyliczyć wszystkich. Wielkim radosnym wydarzeniem był niewątpliwie wybór kard. Wojtyły na papieża. Znaliśmy go wszyscy, ale i on nas znał dobrze. Nieraz miewał z naszego powodu przykrości i kłopoty, ale i (jak sądzę) radości.

Pamiętam pierwsze w moim życiu zebranie redakcyjne. Zaczęło się normalnie: mówił Jerzy Turowicz, mówił sekretarz redakcji Jerzy Kołataj, potem mówili wszyscy o wszystkim, nie trzymało się to nijak kupy i w pewnym momencie, nie wiadomo czemu, się skończyło. W tej materii zrobiliśmy pewne postępy. Zebrania są bardziej zdyscyplinowane, cała redakcja zresztą wydaje się bardzo różna od tej, do której przyszedłem.

Wtedy byli w niej ludzie, którzy przeszli wojnę, siedzieli w PRL-owskim więzieniu itd. Stopniowo następowała zmiana pokoleń, a potem – szczęśliwie – zmiana kontekstu politycznego.

Pamiętam, jak Turowicz tłumaczył nam kiedyś, na czym polega różnica między pismem „tym samym” a „takim samym”. Ostrzegał przed staraniem, by pismo pozostawało wciąż takie samo. „To samo” dotyczy istoty rzeczy, „takie samo” oznacza śmierć pisma. Nietrudno zauważyć, że w naszym piśmie jest proporcjonalnie mniej niż dawniej (np. za wczesnych czasów Turowicza) tekstów wyraźnie religijnych. Ale przecież tak bardzo zmieniło się miejsce religii i wiary we współczesnym świecie... I cała ewolucja „Tygodnika”, która wyraźnie zaczęła się w latach 80., polegała na tym, że nie był już pismem tylko dla wierzących. Nigdy też nie był pismem kościelnym. Nie możemy odnosić się do czasów, kiedy treści religijne były cenzurowane przez państwo i reglamentowane, dzisiaj jest ich pełno i to w każdej postaci.

Dziś przede wszystkim jesteśmy głodni rzetelnej i wiarygodnej wiedzy o świecie, we wszystkich jego istotnych, mniej lub bardziej przyjemnych wymiarach (oczywiście, o wierze i zbawieniu też, przecież jest najważniejsze). Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem. I o nią głównie staramy się dbać. Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy za treści i nikt poza Wami, Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

Na ten jubileusz mam jeszcze jedną dobrą wiadomość. Szczególnie, jeśli lubicie papier i żałujecie, że z polskiego pejzażu zniknęły kioski. Teraz możecie znaleźć „Tygodnik” w najbliższej skrytce InPost. Wystarczy zamówić. Piękny jubileusz.

© P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem. W „Tygodniku” od 1964 r.



TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

AGNIESZKA SZYDŁOWSKA

Zapraszam do Trójki.
Na nowo i urodzinowo.
Po co nam publiczne radio
w czasach wielkiej komercji.

GRZEGORZ JANKOWICZ

Zawsze światło. Z Syrakuz przez
„Ripleya”, wszystkie drogi prowadzą
do Caravaggia. Malarza odkrytego...
dopiero 75 lat temu.

IGNACY DUDKIEWICZ

Klauzula sumienia.
Jak działa, kto ma prawo się na nią
powoływać i skąd tyle hałasu,
gdy próbuje to robić.

Pięć lat temu, na 75-lecie „Tygodnika”, mieliśmy naprawdę piękne plany. Dopinaliśmy event, przygotowaliśmy historyczne wydanie specjalne pt. „Raport z przyszłości” – o wyzwaniach nadchodzących dekad. Ale gdy przyszedł jubileuszowy 24 marca 2020 r., od czterech dni trwał już w Polsce stan epidemii Covid-19 (której w „Raporcie” nie przewidzieliśmy).

W tym numerze, na 80-lecie naszego pisma, zajmujemy się też zapomnianą rocznicą. **MARCIN KĘDZIERSKI** w 5-lecie pandemii pokazuje, jak donośne są jej społeczne skutki – od zmiany stosunku do Kościoła, szkoły i nauki, po ten najpoważniejszy efekt: „deinstytucjonalizację, dalszy demontaż państwa i powrót przemocy na poziomie międzynarodowym, jak i wewnątrz krajowym”.

Pamiętają Państwo tę formułkę z początku pandemii? „Zachowuj dystans społeczny”. Szczęśliwie szybko zdaliśmy sobie sprawę – również my, media – z jej destruktywnego, drugiego znaczenia, i zaczęliśmy mówić o „dystansie fizycznym”. Ale dystans społeczny i tak narastał. Bo pandemia dostarczyła nowych wektorów polaryzacji do puli tych dobrze znanych.

W tym numerze mamy na ten dystans parę recept. **MARCIN NAPIÓRKOWSKI** przygląda się głośniejszej historii z badaniami, według których wspólną cechą Polaków jest kosz na śmieci pod zlewem i ściereczka na relingu piekarnika. I wyłaniającej się z tego tęsknocie za miejscami, które łączą, oraz pragnieniu przestrzeni do pielęgnowania tego, jak wiele mamy ze sobą wspólnego. Nawet jeśli różni nas stosunek do Unii, Trumpa, migracji, Kościoła czy szczerpień.

Zaś na jubileuszowych stronach Autorki i Autorzy „TP” dzielą się tym, co nas w tych niełatwych czasach może cieszyć.

OLGĘ DRENDE cieszy, że mimo wszystko sobie ufamy, **ZUZANNĘ RADZIK** – odkrywanie wspólnot, **JAKUBA DYMKA** – pożytki z pamięci o świecie sprzed social mediów, **RYSZARDA KOZIOŁKA** – czystsza woda w rzece Rawie. Takie radości to sposób na zachowanie pionu nawet w czasach, gdy piękne plany szybko mogą się rozwiązać.

A urodziny świętujemy również odnotowując pod tekstami tego wydania, od jak dawna ich Autorki i Autorzy są związani z „Tygodnikiem”. Bo ta nasza wielopokoleniowa, barwna wspólnota to dopiero jest radość. ©©

MICHAŁ KUŹMIŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Zastępca redaktora naczelnego, twórca podcastu „TP”, współautor powieści kryminalnych i wywiadu-rzeki „Ścigając zło”, autor popularnonaukowej książki „Nauka w kuchni”. W „Tygodniku” od 2001 r.



20 Zapomniana rocznica MARCIN KĘDZIERSKI

Pandemia zmieniła nasz stosunek do Kościoła, szkoły i do świata nauki, do zmian klimatycznych, budowania związków i relacji społecznych, do polityki i do prawdy. Szkoda, że tego nie rozumiemy.



36 Lekcje z wojny

ROZMOWA Z PETEREM CADDICKIEM-ADAMSEM,
BRITYJSKIM ANALITYKIEM WOJSKOWYM:

Polityka, zbrojenia, technologia, strategia: czego uczyć nas trzy lata wojny Rosji przeciw Ukrainie?

ROZMOWA NA WIELKI POST



40 Żyj od nowa

ROZMOWA Z IZABELĄ MOŚCICKĄ, ZAŁOŻYCIELKĄ
CENTRUM POMOCY SIOSTRAM ZAKONNYM:

Od pierwszych rozmów z siostrami mówię każdej z nich: od teraz możesz wszystko.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Rosja gra na czas
ANNA ŁABUSZEWSKA

**7-11 Komentarze
i informacje**

■ ■ KRAJ

20 Zapomniana rocznica
MARCIN KĘDZIERSKI

23 Zróbmy oświadczenie
ROZMOWA Z JAROSŁAWEM
PYTLAKIEM, DYREKTOREM
SZKOŁY: *Czas zajrzeć w szkolną
biurokrację i ocenić, co ma sens*

26 Zetki i zetka

MAREK RABIJ:
*Rząd szykuje powszechne szkolenie
wojskowe*

■ ■ ŚWIAT

30 Paryż puka do Warszawy

SZYMON ŁUCYK:
*Relacje polsko-francuskie
przeżywają miódowy miesiąc.
Polityczny, wkrótce może
militarny*

**35 Francja i Polska dawno nie
były tak blisko**

ROZMOWA Z ÉTIENNE'EM DE
PONCINS, AMBASADOREM
FRANCJI W POLSCE:
*Traktat, który niedługo
podpiszemy, ma być dokumentem
ambitnym*

36 Lekcje z wojny

ROZMOWA Z PETEREM
CADDICKIEM-ADAMSEM

39 Koagulator dla Arsena

WOJCIECH PIĘCIAK:
*Czytelnicy „Tygodnika” znów
pomogli ukraińskim obrońcom*

■ ■ WIARA

40 Żyj od nowa

ROZMOWA Z IZABELĄ MOŚCICKĄ

43 Zstąpił do piekła

PAWEŁ RAKOWSKI:
*Czy nasza koncepcja piekła
znajduje uzasadnienie w tekstach
biblijnych?*

TEMAT TYGODNIKA



DAVIDE ANGELINI / ADOBE STOCK

14 Spotkamy się w kuchni

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

To nie przypadek, że tak gorąco szukamy
dziś tego, co nas łączy. I to nie pośród
abstrakcyjnych idei, a w oswojonej przestrzeni
między zlewem, lodówką a piekarnikiem.

80!
TYGODNIK
POWSZECHNY

51 Radość ma przyszłość

Marek Bieńczyk, Wojciech Brzeziński, Olga Drenda,
Jakub Dymek, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Ryszard Koziołek, Zuzanna Radzik, Dariusz Rosiak,
Tomasz Stawiszyński oraz Bartosz Minkiewicz
o tym, co nas dziś cieszy.

A także kalendarium naszej historii oraz Antoni Gołubiew,
Józefa Hennelowa, Stanisław Lem, Sławomir Mrożek
Jerzy Pilch, Marek Skwarnicki, Piotr Wierzbicki
i Marcin Wicha z archiwum „Tygodnika”.

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ

29 OLGA DRENDA 50 WOJCIECH BONOWICZ

79 STANISŁAW MANCEWICZ

100 PAWEŁ BRAVO 106 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

45 Towarzysze z ulicy

ADA CHOJNOWSKA:
Co dziś robi Zupa na Plantach

49 Czytania

O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

76 Król kabaretu

STANISŁAW CALIK:
*130 lat temu urodził się
Andrzej Włast*

■ ■ NAUKA

82 Epoka nie tylko kamienia

ŁUKASZ KWIATEK:
Czym posługiwali się praludzie

85 Efekt Trumpa

AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
*Konsekwencje zmian
finansowania badań naukowych
w USA*

■ ■ KULTURA

86 Wiara i groteska

MICHAŁ CHOIŃSKI:
Religia Flannery O'Connor

90 Z serduszkciem, bez serca

MICHAŁ WALKIEWICZ:
*„Budę. Dzieciaka '98” obejrzało
350 tys. widzów. Co się dzieje?*

94 Utracone i upragnione

KAROLINA BRÓDA:
Piękno według Paola Sorrentino

97 Polecamy

Książka, płyta, komiks

98 Nagie kino

ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Symfonia o umieraniu”
Matthiasa Glasnera*

99 Każdej nocy Krúdy

LEKTOR o „Wszystkich
kobietach Sindbada”
Gyuli Krúdyego

■ ■ ZMYŚŁY

102 Balsam na kwaśno

BARTEK KIEŻUN:
Słodka tajemnica octu

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...

JAK TO MOŻLIWE – ZOBACZ NA STRONACH

2 i 12

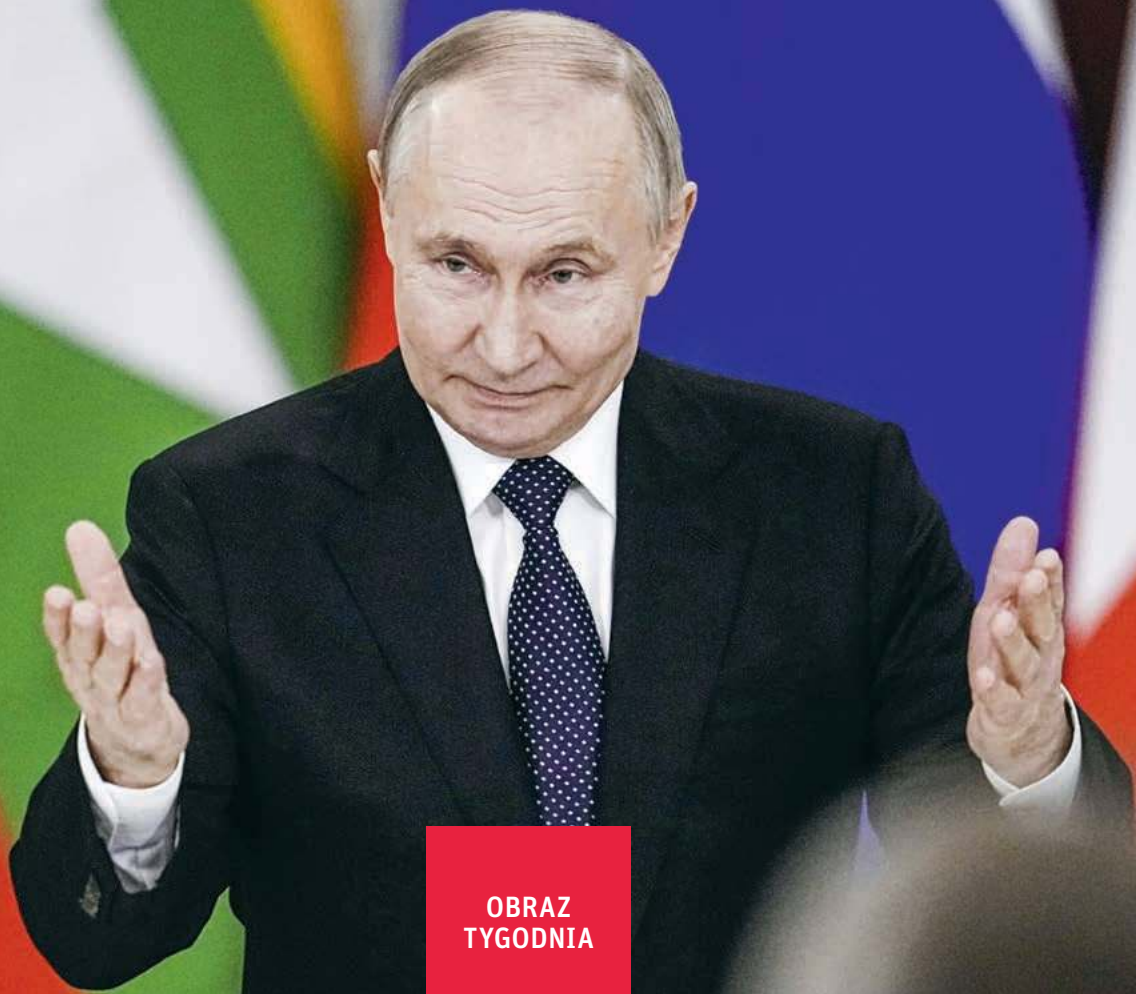


Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podcastów
POWSZECH.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ @ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

ROSJA GRA NA CZAS

PŁKA JEST PO STRONIE ROSJI, MÓWIŁ SEKretarz stanu USA Marco Rubio po zakończeniu 11 marca rozmów z delegacją ukraińską w Arabii Saudyjskiej. Ukraina zgodziła się na 30-dniowy rozejm. Za sprawą osiągniętego z Amerykanami porozumienia na Ukrainę znów popłynęła pomoc wojskowa (zawieszona po starciu Trumpa i Vance'a z Zełenskim), wznowiono przekazywanie danych wywiadowczych. Potem na rozmowach w Moskwie był Steve Witkoff, wysłannik Trumpa. Na wtorek 18 marca, już po zamknięciu tego numeru „Tygodnika”, zapowiadana była rozmowa telefoniczna Trump-Putin. Czy ktoś wie, gdzie teraz jest piłka?

W MUNDURZE | Moskwa stosuje taktykę wyczekiwania i przeciągania. Powtarza: zajęte terytoria zostaną w składzie Rosji, „kijowski reżim” na czele z Zełenskim jest do wymiany. Żadnego orzekania o winie Rosji, żadnego przejmowania zamrożonych rosyjskich aktywów.

Patrząc na panujący dziś chaos, polityczny i pojęciowy, warto pamiętać, że losy wojny w Ukrainie całkowicie zależą od agresora. To Putina kontroluje. Gdyby chciał pokoju, dałby rozkaz jej zakończenia.

ANNA ŁABUSZEWSKA

POWYŻEJ:

Władimir Putin podczas przemówienia w Pałacu Kremleskim. Moskwa, 4 marca 2025 r.

Minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow na spotkaniu z trzema amerykańskimi blogerami twardo oznajmił, że obecność wojsk z krajów NATO na terytorium Ukrainy jest nie do zaakceptowania. Nie może być też mowy o jednostkach rozjemczych na linii rozgraniczenia. Moskwa nie zgadza się, by cokolwiek ustalano bez jej udziału: „Nic o Rosji bez Rosji”. A zdobyte w „specjalnej operacji wojskowej” terytoria? Nie chodzi o terytoria – dowodzi ezopowym językiem Ławrow – lecz o ludzi, którzy tam żyją. Zdaniem ministra to potomkowie tych, którzy zagospodarowywali te ziemie, którzy budowali Odessę. Oni, dowodzi Ławrow, pragną mówić po rosyjsku i być wierni tradycji.

Nieprzejezdne komunikaty słowne wzmocnił nadany 12 marca przez rosyjskie telewizje reportaż z obwodu kurskiego. Armia rosyjska czyni postępy w wypieraniu sił ukraińskich, które zajęły część tego obwodu w sierpniu 2024 r. Kamery uchwyciły moment, gdy do centrum dowodzenia wszedł Putin. Był ubrany w mundur polowy (po raz

pierwszy pojawił się w takim stroju od rozpoczęcia pełnoskalowej agresji). Ta ostentacja odzieżowa to wymowna odpowiedź na propozycję rozmów pokojowych.

WOJNA PUTINA | Jak zauważa Kirill Martynow, redaktor naczelny „Nowoj Gaziety. Jewropa” (opozycyjnej wobec Kremła), trzeba pamiętać, że wojna na Ukrainie i jej losy całkowicie zależą od agresora. To Putin kontroluje wojnę. Gdyby faktycznie miał pokojowe zamiary, wydałby rozkaz jej zakończenia. Ale nic nie wskazuje, by miał taki zamiar.

„Wojna stała się sensem życia i źródłem natchnienia dla rosyjskiego lidera, znużonego latami sprawowania władzy – pisze również emigracyjny politolog Aleksandr Baunow. – Wojna to też możliwość awansu społecznego dla sporej części rosyjskich mężczyzn w wieku średnim. (...) Większa część Rosji wywinęła się od wojny i nadal żyje swoim zwyczajnym życiem. Ale Putin nie żyje zwyczajnym życiem wspólnie z obywatelami. Jego codzienną troską i radością, celem wysiłków i źródłem emocji stała się wojna. Pod tym względem jest on daleko od starającej się unikać udziału w niej większości społeczeństwa. Wstrzymanie działań zbrojnych stworzy wokół Putina próżnię, którą trudno będzie zapełnić”.

„TAK, ALE...” | Wróćmy do bieżących wydarzeń. Zanim Putin dopuścił przed swe oblicze Witkoffa i przekazał mu „dodatkowe sygnały”, odniósł się do propozycji 30-dniowego rozejmu. Wypowiedział znamienną formułę: „Tak, ale...”. Tak, Rosja przyjmuje propozycję zawieszenia broni, ale na pewnych warunkach.

W ten sposób Putin zakwestionował sens rozejmu, który – jego zdaniem – Ukraina wykorzysta do uzupełnienia uzbrojenia i mobilizację. Zaznaczył, że uprzednio należy uzgodnić parametry kontroli rozejmu. W zestawie znalazły się też inne warunki, wspomniane przy każdej okazji, których spełnienia Rosja żąda od Kijowa: gwarancji nieprzystępowania Ukrainy do

NATO i zmiany „reżimu”. Nazywa to „przyczynami” wojny i tylko ich przezwycięzenie uzna za rękomię „długotrwałego pokoju”.

Jak to przetłumaczyć na język zwyczajny? Otóż w formule „tak, ale...” ten drugi człon jest ważniejszy. Najważniejsze to pozostać w grze, nie wyglądać w oczach Trumpa na stronę odrzucającą ideę pokoju. Być może Moskwa chciała by na tym etapie, jeszcze przed początkiem właściwych negocjacji, dostać od USA nowe bonusy (tyle ich już uzyskała, więc apetyt rośnie), a w zamian oferować rzeczy nieistotne z jej punktu widzenia.

Im dłużej będzie trwać to gonienie króliczka, tym więcej szans na zgłoszenie kolejnych oczekiwań. Przy kolejnym okrążeniu można ponadto zgubić niepożądany balast, wyznaczyć nowe cele, zawrócić w głowie uczestnikom procesu. O ile USA nadal będą tak przychylnie.

CIĄG DALSZY TRWA | Po powrocie do Waszyngtonu Witkoff wyraził w wypowiedzi dla CNN ostrożny optymizm: „Obie strony są teraz bliżej, niż były wcześniej. Przypuszczam, że prezydent Putin chce to zakończyć. Rozwiązanie ukraińskiego kryzysu (sic!) zajmie jeszcze kilka tygodni. Staramy się zmniejszyć dystans dzielący obie strony”.

Szefowie resortów dyplomacji, Rubio i Ławrow, po rozmowie telefonicznej odnotowali postęp w pracach nad odbudową stosunków. Bez konkretów. Konkretna była za to rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa. „Nieprawdą jest, jakoby Rosja uchyliła sankcje wobec Rubio” – komentowała spekulacje w mediach społecznościowych.

Na tym targowisku handlowania pustką pojawiają się od czasu do czasu ciekawe wrzutki. Wydelegowany do kuszenia Amerykanów perspektywą gospodarczych interesów Kirill Dmitrijew zaproponował Elonowi Muskowi zorganizowanie wspólnej misji Rosji i USA na Marsa w 2029 r. Może to i dobry pomysł, zwłaszcza jeśli dobór załogi pozwoli ludzkości odetchnąć. ©

Tekst ukończono 17 marca o godzinie 11.



PiS na Tarczy

MAREK KĘSKRAWIEC

DZIĘKI POPRAWCE WNIESIONEJ PRZEZ FRAKCJĘ EPL, do której należą PO i PSL, Parlament Europejski uznał polską Tarczę Wschód za flagowy projekt obronny Unii. PiS nie mógł się za bardzo sprzeciwić dofinansowaniu systemu ochrony polskiej granicy i poprawkę poparł, po czym w głosowaniu nad całością rezolucji apelującej o wzmocnienie bezpieczeństwa Europy wyraził sprzeciw. Tłumacząc, że jej treść ma rzekomo zmierzać ku rozmiękczeniu NATO i rozbijaniu sojuszu z USA oraz przenosić władzę nad decyzjami obronnymi Polski z Warszawy do Brukseli.

Nic takiego w rezolucji nie ma. Podkreśla ona, że „Europa musi wziąć na siebie większą odpowiedzialność w ramach NATO”, oraz potwierdza znaczenie współpracy UE-NATO w wymianie informacji i wzmocnianiu potencjału odstraszającego. W tekście mamy też wezwanie do „rozwoju w pełni zdolnego do działania europejskiego filaru NATO, który byłby w stanie działać autonomicznie, gdy zajdzie taka potrzeba”. To aluzja, w innym miejscu wyrażona wprost, do strategii Donalda Trumpa, który od miesięcy grzmi na temat państw od czasu upadku Związku Radzieckiego oszczędzających na swoich budżetach obronnych i *de facto* chowających się za plecami USA. Waszyngton ma już tego dość, zwłaszcza w sytuacji, w której oś jego głównego konfliktu cywilizacyjnego już dawno przesunęła się z Europy w stronę nowego rywala – Chin. By go osłabić, potrzebny jest reset z Putinem, dla nas nieakceptowalny.

Rezolucja PE to w zasadzie zwieńczenie starań PiS, nawołującego od lat o przebudzenie Europy w obliczu działań agresywnej Moskwy – tyle że w Polsce mamy wybory, a to wszystko zmienia.

Prymat polityki krajowej i logika kampanii wyborczej nie pozwalają na jakikolwiek konsensus, nawet w obliczu realnego zagrożenia ze strony Rosji, czyli imperium, które nigdy nie zaakceptuje w pełni niepodległej Polski. Oczywiście, druga strona naszego politycznego sporu też nie jest święta i gdy tylko trzeba przyznać, że to za Mariusza Błaszczaka zaczęto prawdziwe zbrojenia Polski, będące dziś wzorem dla Europy (co wyraźnie podkreśla amerykański prezydent), od razu wyciągany jest Macierewicz.

Dziecinni w swym zacietrzewieniu są ci nasi politycy, niezależnie skąd przychodzą na Wiejską. Jednak postawa PiS, który cały swój kapitał polityczny postawił na niestabilnego Donalda Trumpa, to przejście na inny poziom. Mam nadzieję, że nie jest to wstęp do osobliwej wersji balu na Titanicu. ©



Gambit Hołowni

PIOTR ŚMIŁOWICZ

PREZYDENT ZAWETOWAŁ TZW. USTAWĘ INCYDENTALNĄ, co było do przewidzenia, odkąd złożony przez marszałka Sejmu projekt został w istotny sposób zmieniony w toku prac parlamentarnych. Zgodnie z propozycją Szymona Hołowni o ważności wyborów prezydenckich, zamiast kwestionowanej, bo składającej się z tzw. neosędziów Izby Kontroli Nadzwyczajnej SN, miały decydować pozostałe izby w pełnym składzie. Zarówno więc tzw. neosędziowie, jak i sędziowie nominowani przed 2018 r. Parlament ustawę zmienił w taki sposób, że o ważności wyborów miało decydować 15 najstarszych wiekiem sędziów, pochodzących sprzed niekonstytucyjnych reform PiS.

Skutki decyzji Dudy będą poważne, wracamy bowiem do sytuacji sprzed złożenia projektu: o ważności wyborów ma decydować Izba Kontroli Nadzwyczajnej.

Czy jej werdykt zostanie przez wszystkich uznany? Problem może się pojawić zwłaszcza wtedy, gdy wynik dwóch rywali w drugiej turze będzie zbliżony – np. Rafał Trzaskowski wygra niewielką różnicą głosów. Uznanie przez IKN wyborów za nieważne (np. na podstawie jakichś protestów PiS) uruchomi poważny kryzys polityczny, bo w koalicji rządowej nie ma zgody, co wówczas począć. Koalicja Obywatelska uważa, że zwołanie Zgromadzenia Narodowego, które przysięgę od nowego prezydenta, nie ma związku z orzeczeniem SN o ważności wyborów. Zatem marszałek Sejmu powinien je zwołać po ogłoszeniu wyników przez PKW i przyjąć przysięgę od zwycięzcy.

Wiele wskazuje jednak na to, że w przypadku, gdyby werdykt IKN był negatywny, Hołownia będzie go respektować, mimo wątpliwego statusu izby. Wtedy zaś, po 6 sierpnia, sam zostanie p.o. prezydenta i będzie nim do zaprzysiężenia głowy państwa wybranej w powtórzonych wyborach. Dzięki temu będzie mógł podpisywać ustawy, a także utrzymać nosy sędziowskim radykałom, pod których wpływem ustawa została zmieniona w nieakceptowalny dla Dudy sposób.

Stabilność wyborów spoczywa więc w sposób szczególny w rękach wyborców – jeśli jednego z kandydatów obdarzą na tyle silnym poparciem, że zdecydowanie wyprzedzi rywali, problemu z ważnością wyborów raczej nie będzie. *Vox populi, vox Dei.* ©



Podatek cyfrowy? Się okaże

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

ZOBACZYMY” – TAK PREMIER Donald Tusk odpowiada na pytanie o wprowadzenie podatku, który miałby objąć gigantów cyfrowych działających w Polsce. Nad takim projektem ustawy zaczęło prace Ministerstwo Cyfryzacji, ale gdy tylko poinformował o tym szef resortu wicepremier Krzysztof Gawkowski, odpowiedział mu nominowany na ambasadora USA Thomas Rose. Choć jeszcze nie objął urzędu, zagroził Polsce „konsekwencjami” i zapowiedział „odwet” prezydenta Trumpa.

Nowa administracja USA już zdążyła nas przyzwycząić, że w dyplomacji działa jak słoń w składzie porcelany, ale trzeba przyznać, że komunikat Ministerstwa Cyfryzacji nie pojawił się w najlepszym momencie, bo stosunki między Europą a Waszyngtonem są – delikatnie mówiąc – napięte. Do tego USA właśnie przygotowują cła odwetowe na 35 państw, które już wprowadziły u siebie cyfrowy podatek.

Teoretycznie nic w tym podatku kontrowersyjnego. Choć ok. 40 proc. zysków takich amerykańskich koncernów jak Meta, Amazon, Apple czy Google pochodzi z Europy, rejestrują one swoje filie w krajach, gdzie podatki są niskie, unikając rozliczeń tam, gdzie rzeczywiście generują przychód. Stąd podatek cyfrowy wprowadziły już m.in. Francja, Włochy czy Słowenia. Planowano go też

w Polsce, ale w 2019 r. przyjechał do Warszawy wiceprezydent Mike Pence i rząd Mateusza Morawieckiego niespodziewanie wycofał swój pomysł.

Przez lata Waszyngton naciskał, by wstrzymać się z takimi rozwiązaniami, aż wypracuje je OECD. Organizacja już cztery lata temu je zaproponowała, ale Waszyngton blokował lub przedłużał negocjacje. Część krajów zaczęła więc wprowadzać cyfrowy podatek na własną rękę. Po czym już pierwszego dnia urzędowania prezydent Trump ogłosił wycofanie się z wynegocjowanych w ramach OECD ustaleń i zalecił przygotowanie wspomnianych cel odwetowych. Zapewne nie bez związku z faktem, że szefowie wszystkich wielkich koncernów technologicznych w USA wsparli Trumpa finansowo podczas kampanii wyborczej i dostosowują działania swoich firm do priorytetów nowej administracji.

W Polsce wdrożenie takiego podatku bez wątpienia jest potrzebne, choćby dla zdobycia funduszy na rozwój naszych firm technologicznych, by nadążyły za resztą świata. Gdy jednak premier mówi „zobaczmy”, ma rację. Nie chodzi o to, czy mamy – jak mówi wicepremier Gawkowski – suwerenność w tworzeniu własnego prawa. Warto po prostu wcześniej dobrze skalkulować koszty. ©

Konferencja prasowa ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego. Warszawa, 13 marca 2025 r.



NA PUNKTY

ŚRODA

Szykanowana za czasów rządów PiS prokurator Ewa Wrzosek przesłuchuje Barbarę Skrzypek – emerytowaną sekretarkę Jarosława Kaczyńskiego – w sprawie domniemych nieprawidłowości w spółce Srebrna. W przesłuchaniu nie uczestniczy adwokat byłej urzędniczki, ale prokuratorka twierdzi, że odbyło się „z zachowaniem wszelkich, wysokich standardów czynności procesowej”.

SOBOTA

Media informują o śmierci Barbary Skrzypek – z czego te związane z PiS (oraz politycy tej partii) oskarżają o doprowadzenie do niej przesłuchującą, a te związane z rządem spekulują, że była ona skutkiem stresu związanego ze świadomością, iż treść zeznań mogła zaszkodzić dawnemu szefowi.

PONIEDZIAŁEK

„Gazeta Wyborcza” publikuje przeciek z przesłuchania Skrzypek, twierdząc, że kłopotliwą dla Kaczyńskiego wersję zeznań potwierdziła w kilku źródłach. „Niezależna” publikuje skan dokumentu mającego zadać kłam wersji „Wyborczej”. W powietrzu latają groźby pozwów, wszyscy wiedzą swoje. Przyczyny śmierci kobiety wciąż nie są znane. ©



Trump kontra uniwersytety

MARTA DZIEZICKA

DEMONSTRANCI, KTÓRZY 13 MARCA weszli do Trump Tower, skandowali: „Zwalczajcie nazistów, a nie studentów”. Żądali zwolnienia z imigracyjnego aresztu Mahmouda Khalila (na zdjęciu). To absolwent Uniwersytetu Columbia i jeden z liderów pro palestyńskich protestów na tej uczelni w 2024 r. Patrząc na to, jak Izrael prowadzi wojnę w Gazie, często nie licząc się z losem cywilów, studenci domagali się wtedy od władz uczelni, by te zrezygnowały ze współpracy z firmami wspierającymi Izrael, zwłaszcza zbrojeniowymi.

Khalil nie jest obywatelem USA – to syn palestyńskich uchodźców – ale ma zieloną kartę i status stałego rezydenta; został aresztowany 8 marca bez przedstawienia zarzutów. Głównym zaangażowanym jest tu sekretarz stanu Marco Rubio, który oskarża Khalila o udział w protestach mających wspierać Hamas; według Rubia to podstawa do deportacji z USA (Rubio posiłkuje się przepisami z 1952 r., dającymi sekretarzowi stanu duże uprawnienia, jeśli uzna, iż czyjeś działania godzą w politykę zagraniczną USA).

Sprawę rozstrzygnie nowojorski sąd, który wstrzymał deportację Khalila.

Trump grozi zaś, że szykują się nowe aresztowania studentów zaangażowanych w – jak to ujął – „proterrorystyczne, antysemityczne i antyamerykańskie” działania. Krytycy postrzegają to jako próbę dławienia wolności słowa – i to w czasie, gdy wytyczone są najcięższe działa przeciw uczel-

niom. W ślad za obietnicą Trumpa, że będzie walczyć z antysemityzmem na kampusach, wszczęto postępowania wobec pięciu uczelni. Trump grozi, że uczelnie tolerujące „nielegalne protesty” stracą rządowe granty i kontrakty.

Spotkało to już Uniwersytet Columbia. Administracja Trumpa postawiła ultimatum: nie przywróci funduszy (400 mln dolarów), jeśli uczelnia m.in. nie ustali w regulaminie definicji antysemityzmu. To drażliwy temat, bo uczelnie od dawna debatują, czy za antysemityzm należy uznać także protesty przeciw Izraelowi.

Polityka Trumpa wywołuje już efekt mrozący. Władze Uniwersytetu Columbia zawiesiły w prawach studenta lub tymczasowo anulowały dyplomy osób, które podczas protestów w 2024 r. okupowały jeden z budynków uczelni. © Autorka jest dziennikarką „Press”.



Komisja ds. pedofilii jednak powstanie

ARTUR SPORNIAK

NA ZAKOŃCZONYM W PIĄTEK 400. zebraniu plenarnym Konferencji Episkopatu Polski ważyły się losy powołania zapowiadanej od dwóch lat komisji niezależnych ekspertów, mającej zbadać problem pedofilii w polskim Kościele od 1945 r. Przewodniczący KEP abp Tadeusz Wojda wraz z biskupami Rady Prawnej próbował pomysł storpedować. Prawdopodobnie dzięki nagłośnieniu sporu przez media przeciwni-

kom komisji nie udało się osiągnąć celu.

Delegat KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży oraz *spiritus movens* pomysłu powołania komisji, abp Wojciech Polak, poinformował, że po długiej dyskusji poprzedzonej obradami w małych grupach Episkopat drogą głosowania podjął decyzję, że komisja nie tylko powstanie, ale obejmie też swymi badaniami okres od 1945 r. do momentu jej powołania. Dlaczego to jest ważne?

Przeciwnicy komisji, którym nie udało się całkowicie zablokować jej powołania, chcieliby zredukować jej kompetencje do badań czysto historycznych. Abp Polak i część reformatorsko nastawionych biskupów uważa natomiast, że komisja powinna przedstawić maksymalnie pełny obraz zjawiska wykorzystywania seksualnego małoletnich w Kościele, zatem powinna zając się także przestępstwami popełnianymi obecnie. Niektórzy biskupi najwyraźniej obawiają

się, że obejmie to także okres ich rządów i badane będą ich potencjalne zaniedbania. Stąd opór.

Po 400. zebraniu plenarnym KEP wiemy, że komisja najprawdopodobniej powstanie. Nie wiemy jednak, jakie będzie mieć kompetencje. Oficjalny komunikat zredagowany przez Sekretariat KEP (podległy przewodniczącemu) podważa optymizm prymasa Polaka, bo stwierdza, że komisja powinna „mieć charakter historyczny z niezbędnymi elementami analizy interdyscyplinarnej”, a do przedstawionego projektu zasad jej funkcjonowania „wniesiono szereg uwag”. Najwyraźniej przeciwnicy komisji jeszcze całkiem nie złożyli broni. ©



ADAM WARZAWA / PAP

Choczewo – transparent w okolicy miejsca planowanej budowy elektrowni jądrowej. 13 marca 2024 r.

Polski atom na półmetku

ENERGETYKA ■ Niedawne słowa Donalda Tuska o przymiarkach do budowy drugiej polskiej elektrowni atomowej mogły stworzyć wrażenie, że w Choczewie, gdzie zlokalizowano pierwszą, do pracy lada dzień przystąpią już buldożery.

W rzeczywistości – jak pokazuje raport firmy analitycznej Baker McKenzie opracowany wraz z think tankiem Polityka Insight – przygotowania do budowy pierwszej polskiej siłowni jądrowej przekroczyły ledwie półmetek. Końca faktycznie dobiegają prace legislacyjne. Udało się też zbudować dla polskiego atomu względnie trwały konsensus polityczny, który daje nadzieję, że przyszłe zmiany obozu rządzącego nie opóźnią lub wręcz nie zatrzymają tej inwestycji. Stosunkowo stabilne jest również społeczne poparcie dla energetyki atomowej. Z raportu wynika, że 64 proc. Polaków popiera budowę elektrowni jądrowej, ale poziom aprobaty spadł o 11 punktów procentowych względem 2022 r. Autorzy raportu zauważają też, że Polacy, podobnie jak inne nacje, nadal niechętnie widzą tego typu inwestycje w swojej okolicy, jednocześnie dostrzegając ich przydatność dla gospodarki.

Dlaczego więc stan przygotowań do budowy pierwszej siłowni jądrowej w Polsce autorzy raportu oceniają na zaledwie 58 proc.? Najwięcej kłopotów sprawia państwu technologiczna strona inwe-

stycji: nadal nie podpisano umowy na budowę reaktorów, a zdaniem autorów analizy może się to opóźnić nawet do 2029 r. Harmonogram inwestycji zakłada tymczasem, że wyznaczone do tego firmy Westinghouse i Bechtel rozpoczną budowę już w 2028 r., komercyjna eksploatacja pierwszego bloku rozpocznie się w 2036 r., a budowa wszystkich trzech bloków dobiegnie końca w 2038 r.

Kuleje także kształcenie specjalistów, którzy w przyszłości pracowaliby przy obsłudze takich siłowni. Polski model nauczania jest mocno skoncentrowany na potrzebach energetyki węglowej, wciąż nie podjęto też kluczowych decyzji dotyczących łańcucha dostaw komponentów do reaktorów, co *de facto* uniemożliwia polskim firmom włączenie się w proces powstawania i obsługi elektrowni.

Problemów nastręcza wreszcie fatalny stan przestarzałej polskiej sieci energetycznej, którą przed uruchomieniem elektrowni jądrowej trzeba będzie rozbudować i unowocześnić, aby była w stanie współpracować z siłownią w Choczewie, która ma wytwarzać 3,7 GW energii. Modernizacja sieci musi od razu uwzględniać powstanie kolejnych polskich elektrowni jądrowych, które będą znacznie mniejszymi zakładami wyposażonymi w modułowe bloki SMR, wytwarzającymi energię głównie na potrzeby okolicznych mieszkańców. © PATRYK STANIK

Eksdyrektorka Facebooka ujawnia kulisy firmy Marka Zuckerberga

BIG TECHY ■ Najpierw pewien cytat sprzed 100 lat. „Byli nieodpowiedzialnymi ludźmi. Niszczyli rzeczy i stworzenia, a następnie wycofywali się w swoje pieniądze lub swoją rozległą bez troskę (...) i pozostawiali innym ludziom uprzątnięcie bałaganu, który narobili” – tak narrator słynnej książki Francisca Scotta Fitzgeralda „Wielki Gatsby” z 1925 r. ocenił jej bohaterów, żyjących w Nowym Jorku w czasach (wątpliwie moralnie) *prosperity*.

Tak też właśnie, jako „Nieodpowiedzialni ludzie”, można przełożyć tytuł książki, która ukazała się w USA. Jej autorka Sarah Wynn-Williams pisze o najważniejszych ludziach w koncernie Facebook (dziś Meta). Pełny jej tytuł: „Nieodpowiedzialni ludzie. Opowieść ku przestrodze o potęgze, chciwości i utraconym idealizmie”.

Owi ludzie to zwłaszcza Mark Zuckerberg (założyciel Facebooka), Sheryl Sandberg (jego prawa ręka) czy Joel Kaplan (prezes ds. relacji globalnych, który – jak spekulują media – objął niedawno tę funkcję, by zacieśnić relacje firmy z administracją Trumpa).

A kim jest Sarah Wynn-Williams? To była dyrektorka ds. polityki publicznej w Facebooku – co czyni ją najwyżej postawioną tzw. sygnalistką w strukturach Facebooka.

Wydawnictwo utrzymywało w sekrecie powstanie książki, sądząc, że publikacja tajemnic Facebooka będzie mieć duże reperkusje. To dlatego, że autorka pisze m.in. o tym, jak daleko władze Facebooka były gotowe pójść na współpracę z Komunistyczną Partią Chin, by dostać się na najliczniejszy rynek świata. I nie zatrzymała się

na książce: złożyła też skargę do Amerykańskiej Komisji Papierów Wartościowych, w której zarzuca Facebookowi wprowadzanie amerykańskich urzędników w błąd.

Wynn-Williams pisze, że na polecenie Zuckerberga powstał „Projekt Aldrin”, którego celem było wejście Facebooka na rynek chiński. Ujawnia kompromisy, na jakie Facebook był gotowy, np. udostępnienie chińskim władzom danych (w tym prywatnych wiadomości) dysydentów mieszkających w Hongkongu i na Tajwanie, prezentowanie najnowszej technologii do wykrywania twarzy, tworzenie specjalnie dla Chin systemu automatycznej oceny treści. Zuckerberg napisał też tzw. blurb dla książki przywódcy Chin Xi Jinpinga (traktuje o skutecznym rządzeniu) i poprosił go, by wybrał chińskie imię dla jego córki.

Nawet jeśli tłumaczenia Wynn-Williams, dlaczego dopiero teraz publikuje książkę (została zwolniona w 2017 r.), i jej obrona swoich sześciu lat pracy dla Facebooka (twierdzi, że była „naiwną idealistką z Nowej Zelandii”) nie muszą brzmieć przekonująco, to ilość materiałów, jakie ujawnia, ukazują ogromny poziom hipokryzji w korporacji mającej jeden cel: nieskrępowany wzrost.

© PATRYK STANIK



Jeśli ją podtruję, to mnie nie zje. Jak przekazać geny i przeżyć

OŚMIORNICE ■ Mieć kochanka czy zjeść kochanka? Samice niektórych gatunków zwierząt stają przed takim dylematem. Jego warunkiem jest tzw. odwrócony dymorfizm płciowy, czyli sytuacja, w której samice osiągają większe rozmiary ciała niż ich partnerzy. Im większe różnice w rozmiarach ciała na korzyść samic, tym bardziej samce ryzykują życiem za każdym razem, gdy najdzie je ochota na amory.

Dla dużych samic taki niewielki kochanek (lub jedynie zalotnik) to łakomy kąsek – jest niegroźny, poza tym przychodzi sam, więc nie trzeba się za nim uganiać, a wydanie na świat potomstwa to przecież poważny koszt energetyczny. Oczywiście, zostanie pożartym po – lub, co gorsza, przed – spółkowaniem nie leży w najlepszym interesie samców, bo przecież mogliby oni dalej rozprzestrzeniać swoje geny, zapładniając kolejne samice. Dlatego samce różnych gatunków zagrożone kanibalizmem seksualnym wynalazły rozmaite adaptacje i strategie zachowania, które mają przedłużać im życie.

Przykładowo, u ośmiornic z rodzaju *Argonauta* przekazanie nasienia samicy odbywa się przez jedno z ramion, które po wszystkim jest przez samca odrzucone – po to, by nawet 30-krotnie większa samica nie połakomiła się po więcej. U innych gatunków, w których asyme-

tria rozmiarów ciała nie jest aż tak ekstremalna, samce mogą próbować zachować bezpieczną odległość, zakradając się do samicy od tyłu czy wyjątkowo długim ramieniem trzymając ją na dystans.

Żadna z tych strategii nie mogłaby się udać samcom z gatunku *Haplochlœna fasciata* (na zdj.), którym anatomia nie pozwala na odrzucanie części ciała, ani nie gwarantuje zachowania odpowiedniego dystansu przy zbliżeniu. Ewolucja dała temu gatunkowi jednak inną broń, którą samce twórczo wykorzystały w relacjach miłosnych – truciznę.

H. fasciata żyją w symbiozie z bakteriami produkującym tetrodotoksynę



Samiec *Haplochlœna fasciata*

(TTX) – bardzo silny związek chemiczny powodujący zablokowanie przekazywania sygnałów w nerwach obwodowych, co prowadzi do paraliżu. Jak wynika z badań Wen-Sung Chunga i współpracowników opisanych w „Current Biology”, dwukrotnie mniejsze od partnerek samce posiadają trzykrotnie większe gruczoły wydzielające TTX niż samice. A gdy dochodzi do zbliżeń, wstrzykują toksynę samicom prosto do aorty, unieruchamiając je na godzinę. To zapewnia im bezpieczeństwo.

© P ŁUKASZ KWIATEK

Kto się założy o papieża

WATYKAN ■ Franciszek wraca do sił i planuje kolejne reformy. 11 marca zatwierdził list do biskupów, nakazujący wdrożenie w ciągu trzech lat zmian zaleconych przez ostatni synod. Realizacja planu ma przebiegać na wszystkich poziomach: lokalnym, diecezjalnym, krajowym i kontynentalnym. Ostatnim etapem będzie Zgromadzenie ekumeniczne w Watykanie, w październiku 2028 r. – formuła nieznaną w prawie kanonicznym, ale z powodzeniem stosowana w Ameryce Łacińskiej, gdzie przedstawiciele Ludu Bożego dyskutują nad programami episkopatów i dokonują ich ewaluacji.

Dalekosiężne plany, zatwierdzone w szpitalu, pokazują, jak bardzo papieżowi zależy na dokończeniu reform, nawet po jego śmierci czy odejściu z urzędu. A oddanie tego procesu w ręce kard. Mario Grecha, sekretarza generalnego synodu, można uznać wręcz za namaszczenie go na następcę. Akcje maltańskiego hierarchy poszły po tej decyzji mocno w górę.

To, czy czeka nas w najbliższym czasie konklawe, można już obstawiać na portalach bukmacherskich. Na największym z nich, nowojorskim Polymarkecie (zakazanym w wielu krajach, także w Polsce – nie z powodów moralnych, ale fiskalnych), wolumen „papieskiego zakładu” wynosi 1 mln USD. Oczywiście watykański hazard nie jest przypadłością jedynie naszych czasów. O wyniki konklawe zakładano się już wieki temu: w 1591 r. papież Grzegorz XIV bullą „Cogit nos” nałożył ekskomunikę na wszystkich, którzy się tym procederem parają.

© P EDWARD AUGUSTYN

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



PACZKOMAT INPOST, A W NIM „TYGODNIK” – Z DARMOWĄ DOSTAWĄ

Na 80. urodziny mamy dla Państwa prezent, który może być nowym rozdziałem historii polskiej prasy. Od dziś „Tygodnik Powszechny” można zamówić z naszej strony internetowej przez Paczkomat InPost 24/7®.

Wystarczyło połączyć kropki.

PUNKT PIERWSZY to problemy, na które od dłuższego czasu natrafia rozpowszechnianie prasy, a które wielokrotnie opisywaliśmy również na łamach „Tygodnika”. Przyglądaliśmy się kryzysowi Poczty Polskiej, która przespała początek XXI wieku, ale pisaliśmy także o trudnej doli jej listonoszy, na których często ogniskuje się frustracja klientów. Władze państwowej firmy zapowiedziały bolesną restrukturyzację, która

być może przyniesie w tym zakresie poprawę. Na razie można jednak spodziewać się raczej przetrzebienia sieci ponad siedmiu tysięcy placówek pocztowych. Kioski też znikają z polskich ulic w zastraszającym tempie. W grudniu zegnaliśmy na naszych łamach ostatnią taką placówkę Ruchu, bo zarząd spółki postanowił zamknąć wszystkie do końca roku. Inne firmy również likwidują punkty sprzedaży ulicznej, bo koszty nie spinają im się z przychodami. Saloniki prasowe w centrach handlowych mają się na tym tle nie najgo-

rzej, ale ubywa z kolei obiektów, w których mogą prowadzić taką działalność. Na mapie Polski każdego dnia ubywa zatem miejsc, w których można kupić prasę.

PUNKT DRUGI: w „Tygodniku” nie raz pisaliśmy także o fenomenie automatów, z których można odebrać paczki, a które upowszechniły się w Polsce, ewidentnie jako lek na bolączki państwowej poczty. Przyglądaliśmy się również działalności firmy InPost, która słowo „Paczkomat” wprowadziła do potocznej polszczyzny, a dziś dostarcza polskim klientom do domów większość tego, co kupują przez internet. Pandemia nieodwracalnie zmieniła wiele aspektów polskiej codzienności, a chyba najdalej zmiany zaszyły w modelu polskiej konsumpcji. Coraz chętniej kupujemy z domu. Rzecz jasna, z dostawą do klienta.

PUNKT TRZECI: regularnie sygnalizowaliśmy Państwu problemy z dostępnością „Tygodnika”, nie tylko za sprawą opóźnień poczty dostarczającej prenumeratę. Czasem, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, nie starczało po prostu egzemplarzy dla wszystkich zainteresowanych.

PUNKT CZWARTY: wielu Czytelników nadal woli czytać prasę w formie papierowej. Serwis internetowy czy e-wydanie są oczywiście bardzo wygodne i mają



już wiernych odbiorców, ale są przecież wśród nas i tacy, dla których szelest papieru i delikatna nutka zapachowa farby drukarskiej przenikająca się z aromatem kawy to wręcz obowiązkowe punkty porannej rutyny. My również kochamy ten pozornie archaiczny proces tworzenia drukowanego „Tygodnika”: adiustację tekstów na wymiar, żonglowanie zdjęciami, by nadać stronom lekkości, i sprawdzanie, czy sąsiadujące tytuły nie składają się przypadkowo w niezamierzenie komiczny rebus. To zajęcie na koniec dnia daje poczucie tej samej satysfakcji, jaką z końcowego efektu swojej pracy odczuwają rzemieślnicy. Drukowany „Tygodnik” nie jest archaiczny, lecz przeciwnie: kraftowy, czyli wpisujący się w najbardziej aktualny i cenny trend doceniania rzeczy tworzonych niekoniecznie na masową skalę, za to z dbałością o detale.

TO ZALEDWIE CZTERY PUNKTY do połączenia, ale z obliczeń wychodzi nam, że w istocie jest ich 450. Bo gdyby jedną kropką zaznaczyć każdy metr odległości dzielącej statystycznego mieszkańca Polski od miejsca, gdzie znajduje się najbliższy mu Paczkomat, uzbiera się ich właśnie tyle. W dużych miastach nawet mniej, co możemy zaobserwować także z okien naszej redakcji, przez które widać dwie takie maszyny, oddalone może dwieście metrów jedna od drugiej. Od Państwa potrzeb i wrażliwości staramy się nie oddalać od 80 lat, ale w wymiarze czysto logistycznym „Tygodnik Powszechny” nigdy nie był bliżej swoich odbiorców. Bo począwszy od przyszłego numeru, nasze pismo będzie można odebrać chyba w najwygodniejszy z dostępnych sposobów – właśnie za pośrednictwem rozwiązania dostarczonego przez InPost.

Wystarczy złożyć zamówienie na naszej stronie www.tygodnikpowszechny.pl, by już w następną środę – i w kolejne – wyjąć ze skrytki za rogiem najnowszy numer. Wyjeżdżają Państwo na wakacje? Przygotowany dla Was egzemplarz „Tygodnika” pojedzie za Wami w niemal każdy zakątek kraju. Wystarczy wskazać firmie InPost nowe miejsce odbioru. Nie musicie też już dłużej czekać na listonosza. **TO „TYGODNIK” ZACZEKA NA WAS**

25 tysięcy urzędzeń

Paczkomat InPost 24/7®
w całej Polsce

1-2 dni robocze

dostawa prosto z drukarni
na terenie całego kraju

W SKRYTCE URZĄDZENIA PRZEZ 48 GODZIN – aczkolwiek sugerujemy, żeby nie zwlekać z odbiorem. Nie tylko dlatego, że automat nie jest z gumy, a sąsiedzi też mogą czekać na przesyłkę. Również dlatego, że choć tygodnik opinii to nie serwis z newsami i ma całotygodniowy termin przydatności, to przecież nie ma co zwlekać z lekturą.

InPost ma na terenie Polski już ponad 25 tysięcy urzędzeń Paczkomat, korzystanie z których deklaruje **93 PROC. POLAKÓW KUPUJĄCYCH ONLINE** (TNS Kantar, 2024). Z myślą o pozostałych 7 procentach w skrócie przybliżmy jednak całą procedurę. Po opłaceniu zamówienia pozostaje czekać na e-mail lub SMS z wiadomością, że numer „Tygodnika” dotarł do wskazanego punktu odbioru. Podchodzimy do maszyny i otwieramy skrytkę z przesyłką, wpisując na ekranie numer telefonu przypisany do zamówienia oraz kod, który przesła InPost. Operację jeszcze bardziej uprości aplikacja InPost Mobile, która umożliwia zdalne otwarcie skrytki bez wpisywania kodów.

Firma deklaruje **DOSTAWĘ W 1-2 DNI ROBOCZE**, zatem „Tygodnik”, który z maszyny drukarskiej schodzi w nocy z ponie-

działku na wtorek, powinien **BEZ TRUDU DOCIERAĆ DO PAŃSTWA JUŻ W ŚRODY**.

Zachęcamy do korzystania z tej nowej formy dostarczania „Tygodnika” także dlatego, że skorzystamy na tym wspólnie. Istotą naszej pracy – czy mierzyć ją liczbą sprzedanych egzemplarzy, czy odzewem, z jakim spotykają się nasze artykuły – jest dotarcie do jak największej liczby odbiorców i zaproszenie ich do dialogu. Dla Państwa prenumerata z tym sposobem dostawy nie będzie zaś droższa od zakupu naszego pisma w kiosku czy w saloniku prasowym.

„TYGODNIK” SKOŃCZYŁ WŁAŚNIE 80 LAT. W większości tworzą go już ludzie, którzy w dorosłym życiu nie zaznali realiów PRL-u – epoki, która hartowała to pismo. Są wśród nas i tacy, którzy na świat przyszli już po śmierci redaktora-założyciela, Jerzego Turowicza. Wspomnień starszych kolegów o porannych kolejkach po prasę przed kioskami słuchają dziś z lekką nieufnością, bo codzienności nie potrafią wyobrazić sobie bez aplikacji w smartfonie, zakupów w sieci i właśnie takich ułatwień w odbiorze przesyłek.

Nie zamykamy się na takich odbiorców. Jesteśmy w internecie, w mediach społecznościowych, w serwisach streamingowych można słuchać naszych podcastów i oglądać materiały multimedialne. „Tygodnik” ewoluuje, chętnie sięga po nowe formy dziennikarskie, ale trzyma się zasady, by w życiu publicznym raczej szukać przestrzeni do porozumienia, niż zachęcać do eksponowania dzielących nas różnic. Analogicznie, nie dzielimy naszych odbiorców na tych, którzy czytają nas w wersji cyfrowej, i tych, którzy wolą papier. O jednych i drugich chcemy dbać najlepiej, jak umiemy. Tym bardziej cieszy nas więc fakt, że w 80. urodziny możemy spotkać się z Państwem w ponad 25 tysiącach miejsc rozsianych po całej Polsce.

Kto wie, czy wraz z firmą InPost nie zczynamy właśnie nowego rozdziału w historii polskiej prasy? Medium, na którym wielu chciałoby przedwcześnie postawić kropkę. ©P

SPOTKAMY SIĘ W KUCHNI

To nie przypadek, że tak gorąco szukamy dziś tego, co nas łączy. I to nie pośród abstrakcyjnych idei, a w oswojonej przestrzeni między zlewem, lodówką a piekarnikiem.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

MARIA FILCEK NIE SPODZIEWAŁA SIĘ, że zostanie gwiazdą mediów. Zwykle trudno zainteresować dziennikarzy wynikami badań socjologicznych. Tymczasem rezultaty przeprowadzonego przez nią badania omówiły m.in. „Gazeta Wyborcza” („Tylko 4 proc. z nas nie ma żadnego z tych elementów w mieszkaniu. Oto polski wystrój w pigułce”) i Onet („Magnesy na lodówce i ścierka na piekarniku. Tak mieszkają Polacy”).

Opisanie polskiej tożsamości przez pryzmat ściereczek, magnesów i kosza pod zlewem to rewelacyjny pomysł, więc zainteresowanie jej pracą nie dziwi. Sam byłem ciekaw, a ponieważ w internecie nie udało mi się znaleźć bardziej szczegółowych informacji, postanowiłem zapytać u źródła – w firmie badawczej „Minds and Roses”, dla której pracuje Filcek.

– Historia odbioru tego materiału jest dużo obszerniejsza niż on sam – śmieje się Krzysztof Tomczak z zarządu firmy. – Bo w zasadzie to nie jest nawet badanie... Maria z własnej ciekawości dodała jedno pytanie do badania na zupełnie inny temat.

Filcek zapytała o kilka rozwiązań stosowanych w wielu domach: kosz pod zlewem, ściereczkę na piekarniku, magnesy na lodówce. A moim zdaniem ogromne medialne zainteresowanie jej ustaleniami mówi coś ważnego o tym, gdzie się znaleźliśmy i dokąd zmierzamy. To nie przypadek, że tak gorąco szukamy dziś tego,

co nas łączy. I że szukamy tego nie wśród abstrakcyjnych idei, a właśnie w oswojonej przestrzeni między zlewem, lodówką a piekarnikiem.

Mądrość małych rzeczy

Obraz wspólnego domu to jedna z kluczowych metafor politycznych już w czasach Platona i Arystotelesa (pisałem o tym na łamach „TP” 3/2021 w tekście „Dom od nowa”). Jeśli zamieszkujemy jeden dom, czyni nas to rodziną. Nasze sprawy stają się sprawami wspólnymi. Związane z tym pytania filozoficzne czy socjologiczne są oczywiste: jak rozległe są mury wspólnego domu? Jak szeroko powinny być otwarte drzwi? Kogo uznajemy za współgospodarza, a kogo za sąsiada, kto jest gościem, a kto intruzem?

Metafora wspólnego domu zawsze wykorzystywała to, co konkretne i namacalne, by opowiadać o sprawach ogólnych i abstrakcyjnych. W XX w. antropologia codzienności postawiła kolejny krok na tej drodze. Michel de Certeau i Gaston Bachelard, a w Polsce Jolanta Brach-Czajna czy Roch Sulima sugerują, że aby zrozumieć to, co dla nas najważniejsze, musimy przyjrzeć się „drobinom bytu, które domagają się uwagi” – materialnym szczegółom codziennego życia, tak oczywiście, że stają się aż przezroczyste. Naszą tożsamość indywidualną i wspólnotową budują nie pojedyncze idee, lecz setki roz-



proszonych przedmiotów i czynności. Ekonomie przeżywamy robiąc zakupy, urbanistykę – chodząc po mieście, a narodową tożsamość – lepiąc pierogi.

Dlatego właśnie, jeśli chcemy dostrzec to, co nas łączy, faktycznie warto przyjrzeć się ściereczkom, magnesom albo koszowi na odpadki. Choć niekoniecznie chodzi tu o prostą identyfikację miejsc ich przechowywania, a raczej o powrót do świata ludowej wyobraźni, z której socjologów wyгнаło pragnienie wielkich abstrakcji. „Ludowe myślenie jest pragmatyczne, dla tradycji szlachecko-inteligentnej typowe jest myślenie w kategoriach ideologicznych” – wyjaśniał Jerzy Bartmiński w tekście „Polski etos narodowy: pański, chłopski, mieszczański?”. I to właśnie w chłopskiej wizji świata można szukać pierwszego tropu wyjaśniającego sens ściereczkowej gorączki.



DAVIDE ANGELINI / ADOBE STOCK

Dziedzictwo chłopskiej chaty

Przeskoczmy na chwilę do innego badania. W listopadzie 2022 r. firma ARC Rynek i Opinia opublikowała raport „Co nas łączy?”. Wśród wymienionych cech „charakteru narodowego” Polaków na pierwszym miejscu znalazła się gościnność, wskazana przez 57proc. respondentów. Solidarność polsko-ukraińska nie została jeszcze wówczas nadwątlona i byliśmy z siebie bardzo dumni po pomocowym zrywie. Srebrny medal *ex aequo* (po 51 proc. zdobyły skłonność do narzekania i zazdrość. Podium uzupełnia pracowitość.

Zazdrość to skomplikowana sprawa (zwłaszcza że zawiś była wymieniona w badaniu jako oddzielna cecha). Ale jeśli potraktowalibyśmy ją jako wyraz postawy egalitarnej – wiary, że ludzie „powinni mieć z grubsza po równo”, to w po-

łączeniu z pozostałymi trzema cechami – gościnnością, skłonnością do narzekania i pracowitością – otrzymalibyśmy zestaw wartości kluczowych dla chłopskiego etosu.

Gościnność to święte przykazanie tradycyjnej kultury ludowej – kultury nie-doboru, ale i solidarności. Zastępuje rachunek ekonomiczny imperatywem współdzielenia. Przedkłada dobro gromady nad dobro jednostki. W innym, obcym, tułaczku każe widzieć nie zagrożenie, lecz bliźniego. Gdybyśmy próbowali tę wartość umieścić przestrzennie we współczesnym mieszkaniu, symboliczną przestrzenią gościnności okazałaby się właśnie kuchnia – serce domu; miejsce, gdzie dzielimy się tym, co mamy.

Chłopskie narzekanie także jest ważną praktyką wspierającą gromadę i podtrzymującą więzi. „Wierząc, iż zgry-

zota istnieje obiektywnie dla mnie, dla ciebie i dla niego, wierzę, iż jesteśmy identyczni wobec zgryzoty – pisał Włodzimierz Pawluczuk, badacz kultury chłopskiej i autor książki „Potoczność i transcendencja”. – Oto więc dlaczego ludzie lubią rozprawiać o swoich zgryzotach: uzyskują przez to, po pierwsze, zdystansowanie się wobec tych zgryzot i – do pewnego stopnia – oczyszczenie się z nich, a po drugie – przekroczenie własnej odrębności i poczucie zjednoczenia się z mądrym, dobrym i sprawiedliwym żywym transcendentalnym ego”.

Lubimy się krzątać

I znów: po wyprowadzce z chłopskiej chaty naturalną przestrzenią takich rozmów stała się kuchnia. O tym, co najważniejsze, rozprawiamy nocą między piekarnikiem a lodówką. Słotczeni →

→ w niewielkiej przestrzeni, która zawsze pełniła funkcję kulis rzeczywistości; w miejscu, gdzie snuło się metakomentarz do wydarzeń rodzinnych, społecznych, a nawet globalnych.

Wbrew wiecznym narzekaniom pań, ekonomów i karbowych, pracowitość też była w kulturze chłopskiej wysoko ceniona. Praca wyznaczała rytm życia, przyjmowana była z pokornym fatalizmem, ale stanowiła również przedmiot dumy. Co istotne, była to praca przeżywana i opisywana w kategoriach drobnej rzeczywistości materialnej: staranności ruchów, dbałości o narzędzia, uważnej obserwacji plonów. Słowem kluczem była tu nie „przedsiębiorczość” czy „innovacja”, lecz „krzątania” – ów niespieszny, pokorny model pracy wykonywanej cierpliwie, miarowo, drobnymi krokami. Taką przestrzenią krzątania wciąż pozostają nasze kuchnie.

A zatem polska kultura na najgłębszym poziomie okazuje się w zasadzie kulturą chłopską. Nic w tym zaskakującego. Wszak w ciągu ostatnich kilku lat nasz rynek wydawniczy podbiły pozycje, które o tym przypominają: od „Ludowej historii Polski” Adama Leszczyńskiego po „Chłopki” Joanny Kuciel-Frydryszak.

A mimo to, szukając „cech narodowych”, zwykle mówimy głosem szlachetkim lub inteligentnym. Przeglądamy się w zwierciadle folwarcznej wyobraźni, w której Polak jest leniwy, narzekający i niezdolny do wzięcia spraw w swoje ręce. Dane tego nie potwierdzają. Pracujemy najwięcej w Europie. Narzekamy, owszem, też więcej niż inni, ale to narzekanie może być ważną praktyką wspólnotową. Kiedy Amerykanin pyta Amerykanina „jak się masz?”, jedyna poprawna gramatycznie odpowiedź to „doskonale!” (lub prześlizgujące się nad pytaniem echo: „jak się masz!”). Jest to komunikacja pusta, zamykająca. Polskie „fatalnie”, „źle jak nigdy”, ewentualnie „jakoś jeszcze dają radę” otwierają konwersację, pozwalają wypłynąć na głębie, zapraszają do dzielenia się troską.

Kusi zatem, by w polskim mieszkaniu zobaczyć nowe wcielenie chłopskiej chaty. Piec na drewno ustąpił piekarnikowi, zamiast klepiska jest terakota, ale wciąż zbieramy się w kuchni, żeby się pokrzątać i ponarzekać: żeby być razem.

Pomiędzy ściereczką schnącą na piekarniku a flagą łopoczącą przed Grobem Nieznanego Żołnierza nie powiewa dziś żaden sztandar. Potrzebujemy przestrzeni publicznej, która bardziej przypominałaby kuchnię niż windę.

Może to właśnie dlatego tak rzuciliśmy się na te ściereczki i magnesy? Świat z kuchni wygląda inaczej niż z wyżyn akademickiej katedry.

W socjologicznej próżni

Socjolog Ray Oldenburg odkrył, że kluczową rolę w kształtowaniu się społeczeństwa obywatelskiego pełnią wspólne przestrzenie, w których ludzie mogą się zbierać i być razem. Aby odróżnić je od domów i miejsc pracy, ukuł termin „trzecie miejsce”. „Trzecie miejsce” to ośrodki krystalizacji sensu. Przestrzenie publiczne (świetlice, parki, kościoły) i komercyjne (puby, kluby), gdzie odbywają się społeczne, wspólnotowe rytuały.

W Polsce takich miejsc brakuje. Przestrzeń publiczna jest ograniczona. Życie społeczne toczy się zwykle w domu. Trochę pewnie dlatego, że taki mamy klimat – trudno, żebyśmy wspólnie jadalni na zewnątrz jak Hiszpanie czy Grecy. A jednak klimat to chyba nie wszystko. Za wieloletnim wycofaniem w sferę domową kryje się istotny rys naszej historii i kultury.

Wyjaśnia to teoria „próżni socjologicznej” Stefana Nowaka, zaproponowana w tekście „System wartości społeczeństwa polskiego” z 1979 r. Polacy identyfikują się z rodziną i najbliższym otoczeniem, a na wyższym poziomie – z narodem. Między tymi dwoma poziomami rozciąga się próżnia.

Na swoim nie-miejscu

Od publikacji Nowaka wiele się wydarzyło. Rewolucyjne znaczenie Solidarno-

ści wynikało właśnie z tego, że niezależne, samorządne związki zawodowe utkały sieć tożsamości „średniego poziomu”, dając społeczeństwu możliwość samoorganizacji i umożliwiając wpływ na otoczenie. Wiele badań sugeruje jednak, że po 1989 r. próżnia wróciła. Znów mało mamy „trzecich miejsc”. Naszą przestrzeń średniego szczebla zdominowały, jak opisuje Roch Sulima w „Antropologii codzienności”, najpierw super-, hiper- i megamarkety, a potem galerie handlowe. Zawładnęły one wprawdzie zbiorową wyobraźnię, stając się miejscami, gdzie „się bywa”, lecz nie były to nigdy przestrzenie faktycznie dospoleczne, a raczej takie, gdzie ludzie się mijają, nie dostrzegając. Zaprojektowane tak, by ułatwić interakcję klienta z produktem lub (w przypadku sieciowych kawiarni) spotkania w bardzo małej grupie, zwykle wręcz dwuosobowej, nie są raczej przestrzenią do inicjowania debaty społecznej.

Są to więc nie „trzecie miejsca” w znaczeniu Oldenburga, lecz raczej „nie-miejsca” w sensie, jakie słowu temu nadaje francuski badacz Marc Augé. Nie-miejsca to przestrzenie celowo tak zaprojektowane, by szybko przemieścić się przez nie do celu bez interakcji: dworce, autostrady, stacje benzynowe. Idealnym przykładem nie-miejsca jest winda: choć znajdujemy się w niej naprawdę blisko innych ludzi, to nie wypada nawiązywać z nimi interakcji. Im mniej „trzecich miejsc”, tym bardziej życie społeczne wycofuje się do kuchni, która jest antropologicznym przeciwieństwem windy – przestrzenią, w której dzielimy się marzeniami i zgryzotami.

Pomiędzy ściereczką schnącą na piekarniku a flagą łopoczącą przed Grobem Nieznanego Żołnierza nie powiewa dziś żaden sztandar. Jeśli chcemy zapobiec atomizacji rzeczywistości społecznej i rozsunąć silniejsze więzy łączące nas z lokalnymi wspólnotami, potrzebujemy przestrzeni publicznej, która bardziej przypominałaby kuchnię niż windę. Sferę troski i krzątania rozciągnąć na ulice, na place i do muzeów. Budować przestrzenie partycypacyjne, w których toczyć się będą wspólnotowe rytuały.

Łączy czy odróżnia

Z odpowiedzi na pytanie Marii Filcek wynika, że 70 proc. Polaków ma magnesy na lodówce. Ale z podobnego sondażu telewizyjnego CBS News wynika, że magnesy na



Zofia Rydet, zdjęcie z cyklu „Zapis socjologiczny”. Podhale, 1991 r.

lodowce ma 87 proc. Amerykanów. A zatem tego rodzaju praktyki wcale nas nie wyróżniają. Przeciwnie! Jeśli chwilę się zastanowić, widać, że mają one sens właśnie jako fenomen globalny. Gdziekolwiek się pojedzie – do Zakopanego czy na Zanzibar – można taki kupić. Dla siebie, dla rodziny, dla kolegów i koleżanek z pracy, którym chcielibyśmy okazać życzliwość (albo u których chcielibyśmy wzbudzić zawiść).

Podobnie rzecz przedstawia się z koszem pod zlewem (74 proc. Polaków). Nie jest to wprawdzie globalna reguła, ale popularne miejsce dla pojemnika na odpady w większości krajów europejskich.

Magnesy, ściereczka czy kosz łączą nas nie dlatego, że jesteśmy Polakami, lecz dlatego, że jesteśmy ludźmi. Pewne rozwiązania są po prostu kwestią ergonomii (tak wygodniej) lub ekonomii (opłacają się w globalnym systemie).

To spostrzeżenie prowadzi do istotnego pytania. Kiedy szukamy tego, co nas łączy, czy jednocześnie powinniśmy zwracać się ku temu, co nas odróżnia od innych? Czy chcąc jako Polacy poczuć wspólnotę, musimy przejrzyć się w oczach obcego?

Bez kuchni...

Zanim „Minds and Roses” podbiło media pytaniem o polską codzienność, Maria Filcek ze współautorami zawojowali serca branży badawczej, wygłaszając na konferencji Insummit prelekcję „Jezu, wy tu tak żyjecie?!“ – opowieść o przemianach polskich mieszkań.

Skupiamy się – zapewne słusznie – na rosnących cenach nieruchomości. Ale nie dostrzegamy przy tym wielu istotnych zmian. Liczba przypadających na

osobę metrów zwiększyła się radykalnie w ciągu ostatnich 15 lat. Buduje się niby mniej niż za Gierka, ale przyrost naturalny jest dużo mniejszy. Mniej, a nie więcej Polaków mieszka dziś z rodzicami. Kuchnia, jak całe mieszkanie, uległa ogromnym przemianom.

Punktem wyjścia, po raz kolejny, mogłaby być kuchnia chłopska. Tym razem zestawiona z tą pańską. Pierwsza była połączona z izbą i stanowiła główny ośrodek życia. Druga pozostawała zamknięta, oddzielna, wstydliwie ukryta w części dla służby i rzadko nawiedzana przez gospodarzy.

Na początku XX w., gdy kształtował się bardziej egalitarny etos nowych klas społecznych, pytanie o przyszłość kuchni okazało się jednym z kluczowych. Jak będą jeść i gotować miejsca ludzie przyszłości? Po chłopsku, po pańsku, jeszcze inaczej?

Ciekawej odpowiedzi na to pytanie udzieliła Charlotte Perkins Gilman – jedna z pionerek ruchu feministycznego. Narkreśliła ona rewolucyjną wizję mieszkań w ogóle pozbawionych kuchni, umieszczonych w mieście-ogrodzie, w którym gotowanie (a także pranie i opieka nad dziećmi) zostałyby wprowadzone z przestrzeni prywatnej do publicznych, wspólnotowych placówek. Perkins Gilman chodziło o to, by odciążyć i zawodowo zaktywizować kobiety, na które przypadała wówczas przeważająca większość domowych obowiązków. Tak długo, jak w mieszkaniach będą kuchnie – argumentowała – kobiety będą do nich spychane.

...czy w kuchni frankfurckiej

Błyskotliwą alternatywę dla jej konceptu stworzyła Margarete Schütte-Lihotzky –

architektka, projektantka, pierwsza kobieta przyjęta na austriacką Kunstgewerbeschule. W 1926 r. dostała zlecenie za projektowania kuchni dla nowo budowanego osiedla komunalnego. Zamiast upubliczniać prace domowe, postanowiła je maksymalnie usprawnić. Inspirując się kuchniami w wagonach pociągowych i stanowiskami w zautomatyzowanych fabrykach, zaprojektowała kuchnię minimalistyczną przestrzennie, lecz maksymalnie funkcjonalną i ergonomiczną. Tak powstała słynna „kuchnia frankfurcka”.

Schütte-Lihotzky zastąpiła dawny stół i oddzielne meble w rodzaju kredensów czy szaf rzędami szafek przykrytych funkcjonalnym roboczym blatem. Całość przestrzeni zaprojektowała tak, by zminimalizować ruchy niezbędne do przygotowania posiłków. Wszystko tu było pod ręką. Z kolei fakt, że kuchnia była projektowana dla wielu identycznych mieszkań, pozwolił wykorzystać efekt skali dla obniżenia kosztów pojedynczej zabudowy.

Tak właśnie narodziła się kuchnia, jaką wszyscy znamy, choć w ciągu stulecia concept odziedziczony po Schütte-Lihotzky przechodził interesujące zmiany. Np. w latach 80. aneks kuchenny był niemal widziany, a marzenie Polek i Polaków stanowiła oddzielna kuchnia. Umożliwiała ona długie gotowanie i utrzymanie porządku w przestrzeni wspólnej, czyli w tzw. dużym pokoju, gdzie nie tylko jadło się rodzinne posiłki, ale też spało, oglądało telewizję i przyjmowało gości.

Przy gościach

W ciągu ostatnich dwóch dekad trend uległ odwróceniu. Z badań CBOS wynika, że dziś tylko 44 proc. Polaków ma zamkniętą kuchnię. I wcale się tym nie martwimy. Upowszechnienie zmywarek rozwiązało problem naczyń zalegających w zlewie i na suszarce. Wyciągi i okapy zmniejszyły uciążliwość zapachów z gotowania. Stopniowe wypieranie kuchenek gazowych przez elektryczne oraz atrakcyjne wzornictwo frontów i blatów kuchennych sprawiły, że otwarte kuchnie coraz lepiej komponują się ze wspólną przestrzenią, umożliwiając optymalne wykorzystanie skromnych metraży.

Równoległe do przemian sprzętów zmieniały się też praktyki kulinarne. Coraz mniej było „długiego gotowania” – konfitury, przetwory, a nawet bigos – znacznie łatwiej kupić, →

→ niż przygotowywać samodzielnie. Popularne programy kulinarne osławiają nas z gotowaniem jako czynnością wspólnotową. Gotowanie przy gościach to już nie coś, na czym zostaliśmy „przyłapani”, bo „nie wyrobiliśmy się”. To raczej atrakcyjna zabawa, do której możemy zaprosić znajomych. Pani domu nie jest dłużej zepchnięta do roli kucharki i kelnerki.

W ten sposób w kuchniach zapisują się nie tylko (zacierające się stopniowo) różnice klasowe i płciowe, ale także przemiany międzypokoleniowe. Młodzi bowiem wyobrażają sobie idealną kuchnię nieco inaczej niż starzy. Z dekady na dekadę zmieniać się więc będą nawet te pozorzone świętości – magnesy, kosze, ściereczki.

Jak się urządził

Już to zresztą widzimy. Lodówki w zabudowie uniemożliwiają przyczepianie magnesów (stąd pewnie więcej magnesów w USA, gdzie zabudowa mniej się przyjęła, choć obserwowany w ostatnich latach powrót lodówek wolnostojących w polskich domach). Kosz pod zlewem? Sprawdzał się świetnie przed czasami segregacji odpadów. Ale jak zmieścić w jednej szafce rosnącą liczbę pojemników na kolejne ich kategorie? Nawet ściereczka na piekarniku nie może się czuć bezpieczna, choćby dlatego, że sam piekarnik może zostać wyparty przez mniejsze i szybsze Kuchenki mikrofalowe, air fry-

Magnesy, ściereczka i kosz łączą nas nie dlatego, że jesteśmy Polakami, lecz dlatego, że jesteśmy ludźmi. Czy chcąc jako Polacy poczuć wspólnotę, musimy przejrzeć się w oczach obcego?

ery, opiekaczki czy co tam jeszcze szykuje dla nas przyszłość AGD. A w ogóle to coraz więcej jedzenia zamawiamy i częściej jemy na mieście (choć wciąż ustępujemy tu wielu innym narodom europejskim czy Amerykanom).

Każda współczesna kuchnia jest prawnuczką tej pierwszej, zaprojektowanej przez Schütte-Lihotzky. A jednak konkurencyjna wizja Perkins Gilman nie odeszła do lamusa. W 2016 r. katalońska architektka Anna Puigjaner otrzymała prestiżową Wheelwright Prize dla młodych architektów za projekt Kitchenless City – miasta bezkuchniowego. A cała ta opowieść przypomina, że organizacja kuchni nie jest zagadnieniem z zakresu urządzania domu, lecz społeczeństwa. Magnesy i ściereczki, rozległe blaty i kosze opowiadają o przemianach technologii, urbanizacji, zmianach klasowych i trudnej walce o równouprawnienie.

I nie jest to przypadek, że w zdominowanym przez mężczyzn świecie architektury, urbanistyki i wzornictwa wielkie strategiczne rozwiązania dotyczące kuchni zaproponowały kobiety.

Lepsza przyszłość

Polska leży nie między Odrą a Bugiem, lecz między zlewem a piekarnikiem. Prywatna przestrzeń domowego zacisza jest zarazem przestrzenią najbardziej wspólną. To, co osobiste, podległe naszej indywidualnej kontroli i gustowi, okazuje się zarazem zaskakująco podobne. Z powodu naszego chłopskiego dziedzictwa, które nauczyło nas krzątania, gościnności i dzielenia się zgrzytami. Z powodu próżni socjologicznej, która spycha nas w przestrzeń prywatną. Z powodu wspólnej ludzkiej tożsamości, której polska wersja jest tylko jednym z przejawów. A wreszcie z powodu historii architektury, wzornictwa i urbanistyki, w których odbijają się globalne i lokalne przemiany społeczne.

Szaletstwo wokół ściereczkowego badania opowiada o drzemającym w nas pragnieniu, by coś nas łączyło. Podpowiada też, gdzie tego szukać. Wspólnoty wypatrzymy nie w abstrakcyjnych ideach, lecz w konkretach. Z magnesów i ściereczek wyodróżmy sobie lepszą przyszłość.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Autor na łamach „Tygodnika” debiutował w 2016 roku.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektora ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik),
Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik,
Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik),
Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmitowicz,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardys, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik), Joanna Pelka
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek,
Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska
(kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska,
Patrik Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Mastowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski,
Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Beata Chomałowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Fiis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieźn,
Piotr Kłotkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziółek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
Paweł Mustiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń,
Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
o. Wacław Osajzka, Zbigniew Parafanowicz, Piotr Paziński,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
Małgorzata Sołeka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Michał Walkiewicz, Marcin Wójcik, Piotr Wójcik,
Marta Zdzieberska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.
REKLAMA
 S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

„TYGODNIK POWSZECHNY” MA SWÓJ ZNACZEK



Oto znaczek pocztowy,
który Poczta Polska wydaje specjalnie
na **80. urodziny „Tygodnika Powszechnego”**.
Swoją premierę będzie miał 24 marca.

Autorem grafiki, jubileuszowego stempla i koperty w pierwszym dniu obiegu jest Bożydar Grozdew.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA



BookGame

21-23 marca 2025

FESTIWAL I TARGI GIER PLANSZOWYCH

EXPO Kraków, ul. Galicyjska 9

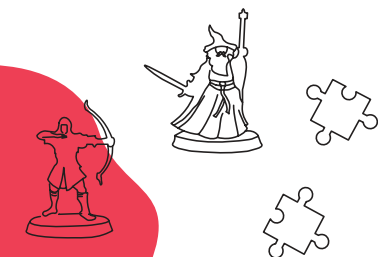
Partner strategiczny



BILETY



BookGameKrakow.pl



KRAJ

ZAPOMNIANA ROCZNICA

Pandemia zmieniła nasz stosunek do Kościoła, szkoły i do świata nauki, do zmian klimatycznych, budowania związków i relacji społecznych, do polityki i do prawdy. Szkoda, że tego nie rozumiemy.

MARCIN KĘDZIERSKI



MINĘŁO PIĘĆ LAT OD WYBUCHU PANDEMII covid-19. Patrząc na to, co zaoferowało nam państwo oraz media z okazji rocznicy, można odnieść wrażenie, że wyparliśmy to niezwykle wydarzenie ze zbiorowej świadomości. Świetnie obrazują to słowa byłego premiera Mateusza Morawieckiego, który w związku z oskarżeniami o organizację tzw. wyborów kopertowych powiedział: „Polskę ominął ten horror triazu, horror selekcji, te masowe groby we Francji, masowe groby w Hiszpanii, grzebanie masowo zmarłych we Włoszech, bo władze lokalne nie nadały za chowaniem umarłych”.

Nie chodzi wyłącznie o to, że Morawiecki się myli – patrząc na dane o tzw. nadmiarowych zgonach na koniec 2021 r., czyli po czwartej fali, Polska znajdowała się w niechlubnej czołówce, obok takich państw jak Bułgaria, Rumunia czy Litwa. Pomijam też fakt, że były premier może wierzyć w to, co mówi – jego najbliżsi współpracownicy, z którymi rozmawiałem w ramach prowadzonych w tamtym czasie badań, byli absolutnie przekonani, że Polska przeszła przez pandemię suchą stopą, bo PKB rosło, a wskaźniki „zajętości” łóżek nigdy nie dobiły do 100 proc. Dane o zgonach zostały skutecznie wyparte.

Falszywa świadomość ówczesnie rządzących nie różni się jednak wiele od tego, jak my jako społeczeństwo postrzegamy tamte dni. Zdołaliśmy skutecznie wyprzeć ponad 200 tys. bezpośrednich i pośrednich ofiar pandemii – w końcu umierali głównie ludzie starsi. Z drugiej jednak strony niewielu jest w Polsce ludzi, którzy nikogo by w tym czasie nie stracili, choćby odległego wujka, znajomego czy sąsiada. Śmierć była blisko.

Zracjonalizować i wyprzeć

Jeśli wierzyć różnym wspomnieniom, pierwsze lata po zakończeniu II wojny światowej to również był czas racjonalizacji, a później wyparcia, zapomnienia, odrzucenia od siebie traum. Dopiero z czasem zaczęły pojawiać się dzieła kultury, które opowiadały ludziom wojnę i określiły sposób, w jaki powinni ją zapamiętać.

Warszawska Syrena w maseczce podczas epidemii covid-19.
Warszawa, 15 kwietnia 2020 r.

Nie musimy sięgać do tak odległych analogii historycznych. Większość z nas pamięta przecież transformację ustrojową, nawet jeśli przeżywała ją jako dziecko. Wiemy więc, że przez całe lata traumy związane ze zmianą ustroju były wypierane z mainstreamowej pamięci. Żyły co najwyżej w niszach, a pierwszą, w której dokonano próby uchwycenia i nazwania doświadczeń transformacji, stworzył we wczesnych latach 90. XX wieku o. Tadeusz Rydzyk – zdajemy się o tym zapominać, choć był to ważny wkład Radia Maryja w najnowszą historię Polski. Zarazem to właśnie na antenie toruńskiej rozgłośni opowiedziana została trauma migracji stanu wojennego, której przedstawiciele regularnie dzwoniли z zagranicy i dzielili się swoimi emocjami w ramach kultowej audycji „Rozmowy niedokończone”. Przez lata był to jednak margines, a słuchaczy radia postrzegano jako oszołomów, nierozumiejących logiki dziejów. Podobna reakcja towarzyszyła później Andrzejowi Lepprowi i Samoobronie. Tak naprawdę musiało upłynąć aż ćwierć wieku, by opowieść o ofiarach transformacji weszła do politycznego mainstreamu, za sprawą Jarosława Kaczyńskiego. W międzyczasie pojawiły się oczywiście książki, spektakle czy filmy – bez nich stworzenie nośnej politycznej narracji byłoby o wiele trudniejsze.

Trudno się zatem dziwić, że pięć lat po wybuchu pandemii nie mamy spójnej opowieści. Ani polskie państwo, które jak dotąd nie upamiętniło ofiar, ani świat kultury, który ten temat obchodzi jak na razie szerokim łukiem (z małymi wyjątkami w rodzaju utworu „2021” rapera KęKę), wciąż nie pokazali nam, jak mamy pamiętać covidową traumę. Co jednak nie oznacza, że jej doświadczenie zniknęło – wręcz przeciwnie. Ona jest głęboko zakorzeniona w społecznej podświadomości. Potrzebujemy tylko akuszerów, którzy wyciągną pamięć o pandemii na powierzchnię i nadadzą jej kształt.

Już nie ufamy szkole

Czekając na nich, warto spróbować dostrzec, jak covid-19, a może nawet bardziej lockdowny wprowadzane w celu przeciwdziałania rozprzestrzenianiu się wirusa SARS-CoV-2 przeorały nasze życie społeczne, gospodarcze i polityczne.

Zacznijmy od edukacji. Nauczyciele i dyrektorzy szkół, z którymi regularnie rozmawiam w ramach różnych projektów badawczych, mówią wprost: pandemia wywołała w polskiej szkole prawdziwą rewolucję. Przede wszystkim należy przypomnieć, że polscy uczniowie spędzili na zdalnym nauczaniu więcej czasu niż ich rówieśnicy w krajach rozwiniętych. W przypadku szkół ponadpodstawowych nauka zdalna trwała u nas prawie semestr dłużej, niż wynosi średnia dla państw OECD. Już to miało i ma daleko idące konsekwencje. Jak pokazują przeprowadzone w 2022 r. badania PISA, polska szkoła zaliczyła jeden z największych spadków wyników kształcenia, zwłaszcza w grupach defaworyzowanych. W rezultacie co czwarty uczeń w wieku 15 lat we wspomnianym badaniu nie wykazał się umiejętnością czytania ze zrozumieniem na podstawowym poziomie.

To dopiero początek. Rodzice towarzyszący swoim dzieciom w procesie kształcenia online mogli doświadczyć słabości szkoły na własne oczy i uszy. Nawet ci nieco mniej świadomi, jeśli tylko posiadali zasoby finansowe, zaczęli rozważać przeniesienie dzieci do szkół niepublicznych. Ci zaś, których nie było na to stać, zmienili swoje podejście do szkoły publicznej. Nie twierdzą, że przed pandemią rodzice jej ufali, ale po okresie lockdownu nieufność stała się ustawieniem fabrycznym. Szkoła nie tyle musi dziś przekonywać rodziców, że robi coś dobrze, ale że nie robi wszystkiego źle. Mamy zatem postępującą prywatyzację edukacji, z jednoczesnym zapadaniem się szkoły publicznej, bo w sytuacji braku zasobów oraz zaufania – nie ma mowy o jej prawidłowym funkcjonowaniu.

Znikające pokolenie

Podobny proces dotknął Kościoła – możliwość śledzenia nabożeństw w domu otworzyła drogę albo do zmiany zwyczajów religijnych, albo do całkowitego porzucenia praktyk, zwłaszcza po tym, jak parafie wróciły do przedpandemicznej normalności. Nie jest w moim odczuciu przypadkiem, że odsetek osób uczęszczających na niedzielną mszę świętą spadł między 2019 a 2022 rokiem z 37 proc. do 29 proc., czyli o jakąś jedną piątą. Abstrahując od wpływu skandali seksualnych, sama pandemia pchnęła naprzód

→ procesy sekularyzacyjne, co szczególnie mocno dotknęło młodych. Jako pokolenie w zasadzie zniknęli z Kościoła.

Młodzież ma też – słabsze albo silniejsze – poczucie, że została przez resztę społeczeństwa oszukana. Kiedy inne restrykcje były obchodzone i państwo niespecjalnie przejmowało się ich egzekwowaniem, szkoły zostały zamknięte na amen, a młodzież uwieczniona w domach i pozbawiona kontaktów z rówieśnikami. Tyle że nic to nie dało – wobec braku konsekwencji w innych obszarach ofiara młodych okazała się bezsensowna.

Nie powinno być zatem wielkim zaskoczeniem, że młodzi – klasyfikowani jako pokolenie Z – w badaniach sprzed pandemii charakteryzowali się silniejszymi postawami prowsólnotowymi niż ich poprzednicy, a po pandemii stali się w dużym stopniu cynicznymi indywidualistami, dbającymi tylko o swój interes. Wbrew obiegowej opinii, jeśli wierzyć badaniom prowadzonym regularnie m.in. przez CBOS, młodzi mają w głębokim poważaniu zmiany klimatyczne i nie sympatyzują z działaczami Ostatniego Pokolenia. Nie chcą się po raz kolejny samoograniczać – wolą żyć pełnią życia. Czują to także liderzy polityczni, którzy wycofują się z ambitnych polityk klimatycznych. Mówiąc nieco ironicznie, Greta Thunberg po pandemii nie zostałaby już gwiazdą mediów. Dziś podstawowe obawy dotyczą technologii, zmian społecznych, lęku przed skutkami niekontrolowanej migracji oraz zagrożenia wojną – niekoniecznie „zielonych” tematów.

Katalizator rozpadu więzi

Ma to oczywiście wpływ na postawy polityczne. Wzrost poparcia dla partii takich jak Konfederacja, głoszących pochwałę indywidualizmu, a jednocześnie wytrwale krytykujących wszelkie lockdowny, jak również polityki klimatyczne, wydaje się czymś logicznym. Ma to również przełożenie na inne decyzje;

Pandemia pchnęła naprzód procesy sekularyzacyjne, szczególnie wśród młodych. **Jako pokolenie w zasadzie zniknęli z Kościoła.**

trudno choćby nie dostrzec postpandemicznego tąpnięcia w liczbie zawieranych małżeństw, jak i we współczynniku dzietności. Tak, negatywne trendy demograficzne towarzyszą nam od lat, ale pandemia stała się ich potężnym katalizatorem.

Nie można również ignorować faktu, że okres zamknięcia nie tylko nie sprzyjał budowaniu związków i relacji społecznych, ale wytworzył też nowe formuły zaspokajania potrzeb. W tym tych seksualnych, i to niespecjalnie służąc prokreacji. Ostatnio w „Tygodniku” ukazał się wywiad z prof. Mateuszem Gołą o zjawisku, które sam określam mianem epidemii pornografii (nr 9/2025). Czasy covidowego zamknięcia miały chronić nas przed jednym wirusem, ale ułatwiły rozprzestrzenianie się innych. Wystarczy spojrzeć na pandemiczny skokowy wzrost przychodów niektórych platform internetowych, by przekonać się, że porno na dobre zagościło w naszych domach i głowach. Także tych najmłodszych, bo jeśli wierzyć badaniom, pierwsze stałe kontakty z treściami pornograficznymi dotyczą dziś już dzieci w wieku 7 lat. To zaś będzie mieć dewastujące skutki nie tylko dla ich psychiki, ale też zdolności do tworzenia trwałych związków, stanowiących podstawową przesłankę, w której pojawiają się dzieci.

No dobrze – mamy zauważalne i jak się wydaje dość trwałe zmiany w takich obszarach jak edukacja, podejście do zmian klimatycznych, postawy religijne i polityczne, demografia. Gdzie jeszcze widać inne trwałe skutki pandemii? Pomijając takie kwestie jak modele spędzania wolnego czasu czy wzorce zakupowe, ważnym dziedzictwem pandemii jest też strukturalne podważenie zaufania do nauki oraz wyników badań z jednej strony, a dojście do głosu polityki „zdrowego rozsądku” z drugiej.

Współczesny człowiek, doświadczający coraz większej złożoności świata, próbuje radzić sobie z niepewnością poprzez szukanie autorytetów. Media, w tym zwłaszcza telewizje informacyjne, odpowiadają na to zapotrzebowanie, goszcząc dziesiątki ekspertów wypowiadających się na przeróżne tematy. Nierzadko nie mają oni większego pojęcia o materii, w jakiej się wypowiadają, ale najczęściej nie ma to fundamentalnego znaczenia.

Prorocy prawdy „obiektywnej”

W pandemii, kiedy nagle wiedza stała się istotna, bo kompletnie nie wiedzieliśmy, co robić, opinie ekspertów stały się głównym punktem odniesienia i dla politycznych decydentów, i dla przeciętnego Kowalskiego. Problem polegał na tym, że nawet naukowcy specjalizujący się w tematyce chorób zakaźnych mieli problem z udzieleniem wiarygodnych, kompleksowych odpowiedzi na pytania, które nurtowały odbiorców. Nie był szczególnie zaskakujący fakt, że eksperci takimi odpowiedziami nie dysponowali – wszak wirus był nowy i potrzebowaliśmy czasu, by go rzetelnie zbadać. Frustrujące było co innego.

Przez ostatnie lata świat nauki wytworzył wokół siebie nimb świętości, a naukowcy weszli w rolę proroków obiektywnej prawdy. Ten brak pokory w pandemii bardzo się na nas wszystkich zemścił. Skoro nauka nie dawała satysfakcjonujących odpowiedzi, zaczęliśmy poszukiwać ich gdzie indziej. To otworzyło przestrzeń do popularyzacji różnych teorii spiskowych, upraszczających skomplikowane zjawiska do jednej przyczyny, lub do promocji myślenia „zdroworozsądkowego”. Sprzyjały mu algorytmy mediów społecznościowych, w których prawdą jest to, co się lepiej klika.

W duchu angielskiego źródłosłowu zdrowy rozsądek – *common sense* – to taki sens lub logika, które są najbardziej rozpowszechnione. Tyle że prawda się nam nie zobiektywizowała, ale zdemokratyzowała, a i to tylko pozornie – w końcu o powszechności nie decydują użytkownicy, lecz twórcy algorytmów. Nie ma żadnego przypadku w tym, że polityczna rewolucja, którą przynosi nam Donald Trump z Elonem Muskim, odbywa się pod sztandarem „zdrowego rozsądku”. Skoro pandemia rozmontowała autorytet i na-



DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA” co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

uki, i państwa, które poruszało się we mgle, zakazując ludziom wchodzenia do lasów, droga do rządów technologicznych oligarchów stała się otworem.

Powrót przemocy

Tak dochodzimy do chyba najpoważniejszej konsekwencji pandemii. Silne wkroczenie instytucji państwa na arenę w 2020 r. otworzyło drogę dla realizacji dwóch scenariuszy.

Jednym z nich była reinstytucjonalizacja rzeczywistości publicznej i powrót państwa słabnącego wcześniej pod naporem sił globalnego kapitalizmu. W uproszczeniu, instytucje są narzędziem, które umożliwia wyrównywanie szans oraz eliminuje przemoc w relacjach międzyludzkich. Jeśli ktoś pamięta Polskę lat 90., zanim przeszliśmy proces instytucjonalizacji wymuszony wejściem do UE, powinien rozumieć, co mam na myśli. Słabość instytucji skutkuje „Dzikim Zachodem” i „wolną amerykanką”. Jeśli miałbym powiedzieć, co stało się największym plusem integracji ze strukturami unijnymi, to nie byłyby nimi fundusze europejskie, ale cały skrypt instytucjonalny, który ucywilizował nasze relacje wewnętrzne.

Drugi scenariusz był przeciwny – deinstytucjonalizacja, dalszy demontaż państwa i powrót przemocy na poziomie międzynarodowym, jak i wewnątrz krajowym.

Na nasze nieszczęście, wygrał ten drugi, po części dlatego, że państwo nie spełniło pokładanych w nim obietnic. W konsekwencji świat zaczął się pograżać w anarchii i chaosie, a ład instytucjonalny, kojarzony z dziedzictwem zachodniej demokracji liberalnej, na naszych oczach się rozpada. Nie wiem, jak długo stary świat będzie się bronić. Nie przesądzam też ostatecznego wyniku tej rywalizacji, którą dziś najmocniej obserwujemy za oceanem. Mam jednak obawę, że w podręcznikach historii w XXII wieku (o ile świat do tego czasu przetrwa) to właśnie pandemia będzie uznana za jedno z najważniejszych wydarzeń, które fundamentalnie zmieniły pierwszą połowę XXI stulecia.

© MARCIN KĘDZIERSKI

Autor publikuje w „Tygodniku” od 2022 roku.



AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Szkoła Podstawowa nr 3 w Białymstoku, 2 września 2020 r.

Zróbmy oświacie audyt!

JAROSŁAW PYTLAK, DYREKTOR SZKOŁY:

Trzydzieści lat temu do prowadzenia placówki potrzebnych było kilka segregatorów, teraz musi ich być kilkadziesiąt. Trzeba zajrzeć do środka i ocenić, które mają sens, a które przeszkadzają nam w pracy.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Będzie Pan „Rafałem Brzoską edukacji”?

JAROSŁAW PYTLAK: Jeśli już, to w najlepszym razie wice-Brzoską: deregulatorem „na odcinku” szkolnictwa (*śmiech*). Ale i to nie najlepsze określenie: to grupa ekspertów powinna rozstrzygnąć, czy polska edukacja potrzebuje deregulacji.

Z takim hasłem wystąpił Pan na swoim blogu „Wokół szkoły”.

Najpierw, wykorzystując szum wokół hasła „deregulacja”, dałem faktycznie nieco prowokacyjny blogowy wpis. Później zauważyłem na stronie fundacji

pana Brzoski, że zbierane są pomysły na uproszczenie prawa i poszukuje się ludzi do tego zadania. Wśród wymienionych dziedzin znalazłem szkolnictwo. Wysłałem zgłoszenie.

Później wystąpił Pan w podkaście „Rzeczpospolitej”, a Rafał Brzoska zaprosił Pana do współpracy. Na czym ma polegać?

Komisja Brzoski koncentruje się na wyszukiwaniu prostych korekt prawa, ale oświacie bardziej potrzebny jest przegląd przepisów, odnalezienie luk, sprzeczności. Zbieranie sugestii i ich →

→ konsultowanie widziałbym jako moją rolę minimum. Jednak rozstrzygnięcie formy i zakresu współpracy jest dopiero przed nami.

Na blogu napisał Pan, że 30 lat temu do prowadzenia szkoły potrzebnych było kilka segregatorów, teraz musi ich być kilkadziesiąt. Jest Pan pewien, że niczemu nie służą?

Absolutnie nie jestem pewien! Często się okazuje, że coś, co jednemu – dyrektorowi czy nauczycielowi – wydaje się absurdalne lub szkodliwe, komuś innemu dobrze służy albo buduje jego poczucie bezpieczeństwa. Przez ostatnie dekady zmieniliśmy się ze społeczeństwa relacji w społeczeństwo usług. Niemal niczego nie da się już załatwić „na gębę”, posiłkując się zaufaniem – do większości spraw potrzebujemy aktów prawnych.

Np. tzw. ustawa Kamilka, wymuszająca na instytucjach zapisy o ochronie dzieci, to efekt masy nadużyć.

Dla mnie ten akt prawny jest porażką społeczeństwa. To smutne, że w taki formalny sposób musimy zabezpieczać dzieci. Ale najwyraźniej perswazja i ludzka przyzwoitość to dzisiaj zbyt mało. Co nie zmienia faktu, że ta ustawa wymagała oczyszczenia z największych absurdów, o których w swoim czasie było głośno w mediach. Przewidywanie skutków nowych regulacji nie jest mocną stroną naszych legislatorów.

A wracając do segregatorów, nie wyciągnie pan ode mnie zręcznego hasła: „wyrzucmy je za okno!”. Prawo oświatowe wpływa na życie ponad 600 tys. nauczycieli, prawie pięciu milionów uczniów i jeszcze więcej rodziców – w sumie to kilkanaście milionów Polaków. Dlatego powtórzę: nie jestem pewien, że deregulacja jest pierwszą rzeczą, którą należy zrobić.

To co należy zrobić?

Należy pilnie zafundować prawu oświatowemu audyt. Wziąć te segregatory i obejrzeć każdy z nich. A potem oce-

Zmieniliśmy się
ze społeczeństwa relacji
w społeczeństwo usług.
**Niemal niczego nie da się
już załatwić „na gębę”,
posiłkując się zaufaniem**
– do większości spraw
potrzebujemy aktów
prawnych.

nić, które mają sens, a które przeszkadzają w pracy. Wykrzyć sprzeczności i luki – bo i takich mamy sporo.

Dajmy jakieś przykłady.

Niech pan się przyjrzy bazom danych, które zbierają oświatowe statystyki, a także obowiązkom ich gromadzenia przez szkoły. Jest System Informacji Oświatowej, który zbiera – na potrzeby państwa – mnóstwo informacji. Gdy SIO powstał, obiecywano, że jako dyrektor nie będę już musiał wypełniać innych papierów o charakterze statystycznym. A muszę! I nie mogę danych wpisanych do SIO automatycznie przenieść do arkuszy wypełnianych dla GUS-u. Muszę to robić ponownie, bo te dwie bazy nie są zintegrowane.

Co więcej, SIO się rozrasta – pęcznieje jak w japońskich filmach o potworach! Coraz więcej czasu pochłania obsługa tej bazy. Obliczyliśmy w szkole, że to co najmniej jedna trzecia etatu – a nikt nie dał na to złamanego grosza. U mnie akurat tym wpisywaniem danych zajmuje się zastępca dyrektora, ale w placówkach mniejszych musi to robić dyrektor. I robi, jak się pan domyśla, zawsze kosztem czegoś innego, np. kontaktu z nauczycielami, uczniami itd.

To nie wszystko. My w Warszawie mamy jeszcze coś, co się nazywa ODPN – rejestr uczniów służący wypłacaniu dotacji jednostkom oświaty niepublicznej.

Nie ma on łączności z SIO. A jest jeszcze, proszę pana, SIOEO, osobna część SIO, poświęcona egzaminom zewnętrznym...

Zaraz oszaleję od samego słuchania!

Powiem panu, tytułem pointy do tego wątku, że nie uważam wcale tych wszystkich rejestrów za niepotrzebne. Sądzę jedynie, że powinny się nawzajem „wizytować” i że powinno się zacząć szanować czas pracy nauczycieli i dyrektorów, co obecnie mało kogo obchodzi. Ma być zrobotyzowane, zawsze są w nim sformułowania typu: „dyrektor zorganizuje”, „dyrektor zapewni”, ale już nikt za bardzo nie myśli, czy będzie w stanie temu podołać.

Przykład z Pana bloga: religia. Nowa władza – moim zdaniem akurat słusznie, z myślą o uczniach niechodzących na tę lekcję – zdecydowała, że katecheza może się odbywać wyłącznie na początku i końcu dnia zajęć. Ale ma to swoje konsekwencje.

Takie mianowicie, że dyrektor musi dokonać niemożliwego: liczba pierwszych i ostatnich lekcji w planie dnia jest przecież skończona, w dodatku wchodzi w życie inny nieobowiązkowy przedmiot – edukacja zdrowotna, który też nie może wypaść w środku dnia. I może nawet dałoby się to wszystko jakoś poukładać, gdyby w roku szkolnym poprzedzającym ten, którego będzie dotyczył nowy plan, dyrektor mógł zapytać rodziców, czy ich dzieci planują chodzić na religię.

Ale nie może, bo?

Bo to by łamało prawo, na czele z konstytucją! W pewnej szkole dyrektorka takie deklaracje zebrała, opisano to w gazecie i rozległy się protesty. Być może słuszne z punktu widzenia praw obywatelskich, tylko nikt nie pomyślał wcześniej, że dyrektorzy będą chcieli zbierać takie deklaracje nie po to, by zaganiać dzieci na religię, ale żeby być w stanie sensownie zaplanować pracę. Koniec końców, w interesie dzieci przecież!

Inne przykłady nadregulacji?

Wystarczy na to prawo spojrzeć, by się zorientować, jak się rozrosło. W ustawach zdarzają się punkty z dwiema literkami i dwiema cyframi, oznaczenia w rodzaju – nie przytaczam wiernie – „artykuł

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

trzydzieści cztery ustęp z punkt dwadzieścia siedem a i b”.

Dziś nawet doświadczeni dyrektorzy często potrzebują wsparcia prawnego. Pół biedy, jak mają do niego dostęp, ale to wcale nie jest reguła. Ja doszedłem do ściany dwa lata temu i od tego czasu korzystam z usług kancelarii prawnej, z którą podpisaliśmy umowę. W szkole niepublicznej udało się znaleźć na to fundusze. Taka możliwość powinna być jednak dostępna dla wszystkich, ale na razie to raczej marzenie ściętej głowy.

Język prawa oświatowego jest trudny?

Na pewno nie odbiega od języka reszty polskich przepisów prawa.

To nie jest komplement.

Oczywiście, że nie!

Nadregulacja zmniejsza autonomię nauczycieli. Dobrym przykładem jest chyba decyzja nowej władzy, by odgórnie ograniczyć zadania domowe.

W jednym z wywiadów pani minister – nie pamiętam już, czy była to sama Barbara Nowacka, czy któraś z jej zastępczyni – niemalże na jednym wdechu powiedziała, że zadekretowanie ograniczenia prac domowych było niezbędne i że nie ma mowy o regulacjach dotyczących korzystania w szkole ze smartfonów, ponieważ odgórne ingerencje w funkcjonowanie szkół są bez sensu. Najwyraźniej nie ma reguł, są tylko poglądy aktualnie rządzących.

Porozmawiajmy o reformie edukacji. Można ją czytać jako plan deregulacji podstaw programowych. Zostały już nieco okrojone, a od 2026 r. mają być do spodu zmienione.

Okrojenie treści szczegółowych w podstawach programowych było dobrym ruchem i odpowiedzią na zapotrzebowanie społeczne. Jednak reforma programowa planowana na rok 2026 ma wprowadzić nową jakość. Znając ogłoszone już projekty dwóch podstaw programowych nowych przedmiotów: edukacji zdrowotnej oraz edukacji obywatelskiej, mam obawy, że nie będzie to deregulacja, ale zwiększenie ingerencji w autonomię nauczyciela.

Projekt podstawy programowej edukacji obywatelskiej zawiera m.in. ponad



ARCHIWUM PRYWATNE

JAROSŁAW PYTLAK jest od ponad trzydziestu lat dyrektorem Zespołu Szkół STO na warszawskim Bemowie. Z wykształcenia biolog, uczył chemii, biologii i przyrody. Ekspert edukacyjny, autor podręczników, twórca bloga „Wokół szkoły”.

pięćdziesiąt obszernych wymagań szczegółowych, w większości łączących wiedzę i zastosowanie w praktyce. Gdy zacząłem w 2000 r. uczyć przyrody, pierwsza podstawa programowa tego przedmiotu mieściła się na jednej stronie – projekt podstawy edukacji obywatelskiej zajmuje tych stron ponad dwadzieścia. Jeśli to jest nowy wzorzec, kolejne podstawy mogą pobić rekord objętości ustanowiony przez PiS-owską ministrowie edukacji Annę Zalewską. To nie będzie żadna deregulacja, tylko działanie w duchu maksymalnej regulacji!

Dlaczego każda kolejna oświatowa władza obiecuje zmniejszenie biurokracji, zwiększenie autonomii, a kończy się tak jak zwykle?

Bo te hasła się dobrze sprzedają, a bardzo trudno je wprowadzić w życie. I druga odpowiedź: każda władza robi to samo, bo może robić. Nauczyciele są już tak zmęczeni, że większość zastosuje się do nowych regulacji bez względu na to, jaka będzie ich sensowność.

Proszę powiedzieć w kilku zdaniach – dlaczego nowa reforma jest według Pana niekorzystna?

Po pierwsze, nie rozwiązuje żadnego ważnego problemu polskiej oświaty – akurat podstawy programowe takim problemem nie są, bo cały czas nasi uczniowie wypadają dobrze w międzynarodowych

wych badaniach porównawczych. Po drugie, jest oparta na wątpliwym fundamencie, jaki stanowi profil absolwenta [chodzi o dokument będący swego rodzaju preambułą do mających wchodzić w życie od 2026 r. nowych podstaw programowych – red.]. Po trzecie, jest robiona zbyt szybko. MEN powołuje się na różne kraje, które wprowadzały podobne zmiany. Tyle że tam albo szykowano je przez dziesięciolecia, albo były wdrażane dawno temu i od tej pory zdążono je już kilka razy poprawić. Wreszcie po czwarte: nauczyciele nie są podmiotem tej reformy – mają być wyłącznie wykonawcami.

Tak jest z każdą reformą.

Tylko że ta wyróżnia się całkowitym brakiem zaufania do nauczycieli. Zamiast uwierzyć, że wystarczą krótkie, syntetyczne podstawy programowe, do których światlejsze jednostki dopiszą podręczniki i programy nauczania, kreuje się podstawy, które *de facto* już są gotowymi i szczegółowymi programami. Owszem, w podstawie programowej edukacji obywatelskiej są wymagania szczegółowe do wyboru przez nauczyciela. Ale nawet w tym przypadku jest kilkadziesiąt gotowych propozycji, żeby broń Boże sam nie musiał niczego wymyślić. Widać w tym przekonanie, że sami nauczyciele tak naprawdę chcą biurokratycznych „gotowców”.

A nie chcą?

Na pewno nie wszyscy. Część chce, bo są zmęczeni, przeciążeni. Zresztą, mechanizm sam się napędza: skoro im nie ufamy, to oni – przynajmniej część – będą tacy, jacy myślimy, że są. Reforma nie bierze pod uwagę tego, że główną przyczyną krachu polskiej szkoły jest nie kryzys podstaw programowych, tylko kryzys zawodu nauczyciela. Trzeba najpierw wzmocnić nauczycieli, a potem im zaufać. Biurokratyczne ramy dają tylko złudzenie skuteczności.

Planowana reforma opiera się na założeniu przyjętym przez grupę decydentów, że wystarczy dać nauczycielom wytyczne „zgodne z ustaleniami nauki” i już będzie dobrze. Nie będzie.

©© Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Autor jest dziennikarzem „Tygodnika” od 2002 r.

Zetki i zetka

MAREK RABIJ

Rząd szykuje powszechne szkolenie wojskowe, a przy tym zapewnia, że nie planuje przywrócenia poboru. Jednak po wyborze nowego prezydenta plany mogą ulec radykalnej zmianie.

MA BYĆ INTENSYWNI, ALE CIEKAWIE Mi miło. Każdy pełnoletni obywatel Rzeczypospolitej – jak ogłosił niedawno Donald Tusk – będzie mógł w wybranym przez siebie miejscu i czasie zgłosić się na szkolenie wojskowe. Kurs będzie można podzielić na etapy, a nawet odbyć go w trybie weekendowym. Wojsko pokaże, jak strzelać, krzyć się, bandażować ranę, ale już bez atrakcji w rodzaju musztry pod okiem drącego się trepa czy porannych manewrów ze ścieleniem łóżka. Armia potrzebuje prywatnego czasu obywateli, nie może go więc marnować.

Plan szkoleń ma być gotowy do końca roku, ale zapisy ruszą jeszcze tej wiosny. Dzięki temu – jak tłumaczył premier – już w przyszłym roku Wojsko Polskie nauczy podstaw wojennego rzemiosła co najmniej sto tysięcy obywateli. W ciągu kilku lat armia zgromadzi w ten sposób pół miliona rezerwistów.

Donald Tusk nie odpowiedział tylko na jedno pytanie. Co zrobi rząd, jeśli oferta powszechnych szkoleń wojskowych spotka się z powszechną obojętnością obywateli?

W okopach woli premiera

W gruncie rzeczy program zaproponowany przez Tuska jest modyfikacją czegoś, co funkcjonuje w Polsce od maja 2022 r. Mowa o dobrowolnej, rocznej zasadniczej służbie wojskowej, do której może przystąpić każdy pełnoletni i niekarany obywatel z minimum podstawowym wykształceniem. W ciągu trzech lat do służby w tej formule zgłosiło się niespełna 120 tysięcy chętnych. Zainteresowanie rośnie, bo tylko w 2024 r. wojsko

dostało 63 tys. podań, jednak aż 18,5 tys. ochotników zrezygnowało przed rozpoczęciem służby lub zostało odrzuconych przez wojsko, głównie ze względów zdrowotnych. Gdyby więc zeszłoroczne dane uznać za miarę realnego zainteresowania Polaków szkoleniem wojskowym, okaże się, że rząd w swoich planach przeszacował je ponad dwukrotnie.

Dwunastomiesięczna służba to oczywiście poważniejsze zobowiązanie od czterotygodniowego szkolenia, które w dodatku można podzielić na etapy. Jednak żołnierze dobrowolnej służby zasadniczej ją również mogą przerwać i wznowić w dowolnym momencie. Wraca tym samym pytanie – czy przeszkolenie pięciuset tysięcy Polaków z podstaw żołnierki w zaledwie kilka lat będzie wykonalne bez sięgnięcia po zawieszony w 2008 r. pobór? Aby osiągnąć ten plan wyłącznie w oparciu o ochotników, wojsko co roku musiałyby, obok zainteresowanych dobrowolną zasadniczą służbą wojskową, szkolić dodatkowo ponad 60 tys. cywilów.

Donald Tusk emanuje w tej sprawie urzędowym optymizmem. W serwisie X pozwolił sobie nawet na ironiczny wpis: „Poinformowałem właśnie panie i panów ministrów, że członkowie rządu i ich urzędnicy także przejdą przeszkolenie. Dobrowolne. Co zostało przyjęte z pełnym zrozumieniem”. Udział w szkoleniu osobiście zadeklarował z kolei szef MSZ Radek Sikorski oraz minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz. Obaj politycy odslonili jednak – niechący – najsłabszy element planu swojego pryncypała.

Szef MON skończy w tym roku 44 lata. Sikorski 23 lutego obchodził 62. urodziny.

Siwa rezerwa

W wywiadzie udzielonym niedawno kanałowi „Wolski o Wojnie” szef sztabu generalnego gen. Wiesław Kukuła oszacował liczebność polskiej armii na 550 tys. osób. MON w tym samym czasie podał, że w szeregach Wojska Polskiego służy 206 tys. osób, dlatego sztab generalny doprecyzował, że wspomniane przez Kukulę 550 tys. uwzględnia także rezerwistów. Oznacza to, że blisko 38-milionowa Polska dysponuje dziś zasobem mobilizacyjnym na poziomie 344 tys. osób, które nie skończyły 55. roku życia (63. w przypadku oficerów), a w przeszłości służyły już w wojsku. Rosyjska armia, która

w polskiej doktrynie militarnej uznawana jest dziś za największe i zarazem najbardziej realne zagrożenie, liczy tymczasem już niemal 1,5 mln osób. Co roku, w ramach poboru, szkoli około 130 tys. młodych mężczyzn.

W obliczu krytycznego zagrożenia dla państwa Polska może oczywiście ogłosić powszechną mobilizację, sięgając po wszystkich pełnoletnich mężczyzn do 60. roku życia, uznanych za zdolnych do pełnienia takiej służby i nieposiadających innych przydziałów mobilizacyjnych (np. elektrycy, kolejarze czy personel medyczny). W ub. roku w Polsce żyło 10,4 mln mężczyzn w wieku 18-60 lat. Problem w tym, że w tej grupie aż 4 mln stanowią osoby w wieku powyżej 45 lat, które już w perspektywie najbliższej dekady wypadną poza ramy mobilizacyjne. Rządowy program dobrowolnych szkoleń wojskowych, w których wezmą udział też kobiety, wzmocni więc odporność społeczeństwa na rozmaite kryzysy (szkolenia obejmą także elementy pierwszej pomocy i działań w ramach obrony cywilnej), ale trwale nie rozwiąże problemu posuchy kadrowej w polskiej armii.

Na wypadek wojny jednostki dziś obsadzone żołnierzami zawodowymi powinny zostać wzmocnione rezerwistami, których nie trzeba będzie szkolić od zera.



Ukraińskiej armii, która w 2021 r. liczyła jeszcze 246 tys. osób, udało się w trzy lata rozrosnąć niemal trzykrotnie, do 880 tys. żołnierzy, ale głównie dzięki obowiązkowej zasadniczej służbie wojskowej, którą przywrócono po ataku Rosji w 2014 r.

Zapłaćcie, to przyjdę

Analiza na zlecenie Senatu RP, którą w 2023 r. przygotował dr Michał Piekarski z Instytutu Studiów i Bezpieczeństwa Uniwersytetu Wrocławskiego, pokazuje zresztą, że nawet w czasie pokoju trzystutysięczna polska armia, którą zamierzamy nadal zbudować, potrzeba będzie co roku aż 61,5 tys. nowych żołnierzy – tylko po to, żeby jej szeregi nie zaczęły topnieć. W samym korpusie zawodowym fluktuacja kadr sięgnie 9 tys. osób rocznie. Aby osiągnąć wspomnianą liczebność na poziomie 300 tys. w ciągu najbliższej dekady, Wojsko Polskie powinno powiększać stan osobowy aż o 11 tys. osób rocznie. Tymczasem, jak podaje GUS, w Polsce mieszka tylko nieco ponad 2 mln mężczyzn w wieku 20-29 lat. Rezygnując z poboru, uzawodowiona armia będzie musiała rywalizować o tych ludzi na czysto wolnorynkowych zasadach.

Jako przykład dr Piekarski podaje kierowców z uprawnieniami do pro-

wadzenia ciężarówek. Wojsko Polskie w ciągu dekady wzbogaci się o co najmniej 500 kołowych wyrzutni rakietowych amerykańskiego systemu Himars oraz koreańskiego Czunmu. Jeśli do każdej z nich armia zechce przeszkolić tylko dwie załogi, jej zapotrzebowanie na kierowców z prawem jazdy C+E, i to tylko w wojskach raketowych, wzrośnie aż o tysiąc osób. Pensja zawodowego szeregowego sięga dziś ledwie 4,7 tys. zł na rękę. Podoficer inkasuje dodatkowo powyżej 1,2 tys. zł. Rynek cywilny, któremu również brakuje kierowców, płaci tymczasem średnio dwa razy więcej. Pytanie, którą ścieżką kariery podąży niezafascynowany militariami 18-latek, jest w tej sytuacji pytaniem retorycznym.

Bilet, nie zaproszenie

Z nieoficjalnych informacji płynących z MON wynika, że do polityków stopniowo dociera, iż przywrócenie „zetki”, czyli powszechnej zasadniczej służby wojskowej, jest w polskich realiach demograficznych nie do uniknięcia. Obawy budzi zwłaszcza wchodzące w dorosłość pokolenie Z, skoncentrowane na swoich potrzebach i samorozwoju. Jeśli Wojsko Polskie za kilkanaście lat nie ma znowu obudzić się pod zbyt krótką kołderką kadrową, „zetki” po prostu muszą być do

wojska wcielone siłą. Na razie temat blokują oczywiście zbliżające się wybory, ale po wybraniu gospodarza Pałacu Prezydenckiego, rząd zapewne do niego wróci. O powrocie poboru dyskutują dziś także Niemcy, Włochy, Hiszpania. Łotwa już to zrobiła.

Trzeba przyznać, że ostatnie zawirowania wokół stabilności NATO sprawiły, że w Polsce nieoczekiwanie otworzyło się szersze okienko społecznego przyzwolenia. Na początku marca instytut badawczy IBRiS zapytał, czy „w związku z obecną sytuacją międzynarodową w Polsce powinna być przywrócona obowiązkowa służba wojskowa”. Zdecydowanie za takim pomysłem opowiedziało się 21,9 proc. ankietowanych, a 33,1 proc. odpowiedziało, że pobór powinien „raczej” powrócić. Po raz pierwszy w dziejach współczesnej Polski zwolenników przywrócenia poboru było więcej niż przeciwników. Wśród ankietowanych, którzy w badaniu opowiedzieli się przeciwko powrotowi „zetki”, przeważali jednak mężczyźni w wieku 18-29 lat. Już choćby to pokazuje, że na masowy pozytywny odzew młodszej części społeczeństwa nie ma co liczyć.

Problem w tym, że w ciągu 18 lat, jakie minęły od ostatniego poboru do armii, także państwo zatraciło większość zdolności niezbędnych do sprawnego mobilizacji. Przepisy pod karą co najmniej trzech lat więzienia nakazują zmobilizowanym zgłoszenie się do wojska w ciągu sześciu godzin od odebrania zawiadomienia. W praktyce może być mniej różowo. Zamieszanie wprowadził Sejm, który w ramach prac nad nową ustawą o ewidencji ludności w 2010 r. przymierzał się do zniesienia obowiązku meldunkowego. W ostatniej chwili wydłużono obowiązywanie tego przepisu do 2014 r., ale wczasy wykreślono z ustawy sankcję karną za brak meldunku. A potem zmienił się rząd, ekipa PiS utrzymała obowiązek meldunkowy, ale zapomniała o karze grzywny, ograniczenia wolności lub nagany za brak jego dopełnienia. Osoby w wieku poborowym, które chcą zniknąć z radarów, mogą to więc →



PAWEŁ WODZIŃSKI / EAST NEWS

Inauguracja projektu „Trenuj jak żołnierz”, poszerzonej 16-dniowej wersji szkoleń dla ochotników znanych z projektu „Trenuj z wojskiem”, w 1. Warszawskiej Brygadzie Pancernej w Warszawie Wesolej.

→ uczynić całkowicie bezkarnie, i korzystają z tej furtki często.

NIK w 2018 r. przyjrzał się samej procedurze kwalifikacji wojskowej – w analizowanym 2016 r. na tzw. komisję nie stało się aż 16,2 proc. wezwanych. W województwach podlaskim i warmińsko-mazurskim, czyli na potencjalnie najgorętszym odcinku polskiej granicy, absencja sięgnęła aż 26 proc. Największym zaskoczeniem we wnioskach pokontrolnych była jednak liczba osób, które państwo doprowadziło siłą przed komisję. Policji zlecono taką interwencję wobec zaledwie 339 osób. Udało się doprowadzić 54.

Ale kto ich przeszkoli?

Od urzędników MON można też usłyszeć nieoficjalnie, że sama generalicja jest w kwestii poboru podzielona. Szef sztabu generalnego gen. Wiesław Kukuła stoi ponoć na stanowisku, że armii wystarczy rezerwa zbudowana z ochotników, o ile tylko wojsko podejrze do tematu odpowiedzialnie i nie zmarnuje tych kilku tygodni wyrwanych obywatelowi z życiorysu. Atrakcyjne szkolenie ma być przyciąganiem wielu chętnych.

Na przeciwnym biegunie plasują się sztabowcy, którzy zauważają, że jeśli armia na poważnie weźmie się za kształcenie tysięcy cywilów, to zabraknie jej kadr do szkolenia żołnierzy zawodowych i pełniących dobrowolną służbę. Wyrzycielem poglądów tej grupy jest m.in. emerytowany płk Piotr Lewandowski, który na kanale „Historia Realna” boleśnie przybił do podłogi zapo-

Jeśli Wojsko Polskie
za kilkanaście lat
nie ma znowu obudzić się
pod zbyt krótką
kołderką kadrową,
**pokolenie Z po prostu
musi być do wojska
wcielone siłą.**

wiedzi premiera. Jego zdaniem szkolenia dla cywilów muszą odbywać się w weekendy, bo tylko wtedy nie będą kolidować z trybem pracy wojska. Za przepracowaną sobotę i niedzielę instruktorom będą się należały dwa dni wolne, przez które z kolei wypadną z rozkładu szkoleń w jednostkach. W tej sytuacji, kwitował Lewandowski, żaden dowódca nie oddeleguje do szkolenia cywili dobrych fachowców.

– Podziwiam generała Kukulę za umiejętność utożsamiania się z planami kolejnych ministrów obrony – nie hamuje złośliwości jeden z polskich generałów, zastrzegając anonimowość – ale poruszamy się w sferze pobożnych życzeń. Armii przybywa żołnierzy zawodowych, wkrótce tysiące Polaków mają się pojawić na szkoleniach, wszystko ma działać jak w szwajcarskim zegarku. I tylko „malkontenci” widzą, że trwa exodus doświadczonych zawodowych podoficerów

i oficerów. Czyli ludzi, którzy coś potrafią i mogliby dzielić się tą wiedzą z początkującymi.

W zeszłym roku, jak wynika z danych MON, mundur zrzuciło 19,3 tys. osób, w tym niemal 9,3 tys. żołnierzy zawodowych. Z każdego dziesięciu przechodzących w stan spoczynku tylko sześciu kończyło służbę w związku z przejściem na emeryturę. Pozostali nie widzieli dla siebie przyszłości w mundurze. A wojsko, mimo pęczniejącego budżetu na obronność, nie znalazło sposobu na to, by ich zatrzymać. – Tworzenie dwóch równoległych systemów szkolenia, dla ochotników i żołnierzy zawodowych, tylko pogłębi ten kadrowy chaos – uważa cytowany generał. – Jeśli chcemy masowo przeszkolić Polaków, musimy przywrócić pobór.

Jak więc mogłaby wyglądać nowoczesna polska „zetka”, gdyby faktycznie doszło do odwołania poboru? Trop podsunął sam premier, wskazując na model szwajcarski i szwedzki, gdzie kilkumiesięczną obowiązkową służbę pełni się w wybranym przez siebie terminie, a potem co jakiś czas bierze udział w szkoleniach.

Powołując się na szwajcarskie doświadczenia, premierowi zdarzyła się zresztą znamienna pomyłka: stwierdził, że Helweci nie mają poboru. W rzeczywistości służba wojskowa w Szwajcarii była i jest obowiązkowa. © MAREK RABIJ

Autor jest dziennikarzem „TP” od 2017 roku.

REKLAMA



Fundacja
Dorastaj z Nami

Pomóż dzieciom Bohaterów

Przeznacz 1,5% podatku

w podziękowaniu za służbę ich Rodziców

KRS: 0000 36 12 65

OLGA

Drenda:

Czy warto odginać



„DUŻO ŚMIECHU, TROCHĘ SMUTKU, TO historia o mamutku” – taka była niedyś uroczą książka Wiktora Woroszyńskiego, z kapitalnymi ilustracjami Józefa Wilkonina. Psotny i skłonny do fantazjowania mamutek Lutek jako jedyny przeżywa tam nadzieję wielkiego lodowca. I za każdym razem myślę sobie o nim, kiedy słyszę o przedsięwzięciach, które mają na celu przywrócenie do istnienia tych prehistorycznych zwierząt, czy, jak czasami się mawia, „odginięcie” (de-extinction). Zawsze nadstawiam wówczas czujnie uszu, choć od razu deklaruje, że bez entuzjazmu.

Ambicja odtworzenia mamuta włochatego powraca co jakiś czas. Niedawno w laboratorium w Dallas, prowadzonym przez prywatne przedsiębiorstwo Colossal, powstały zmodyfikowane genetycznie włochate myszy. Oczywiście, jako stworzenia puchate i urocze, natychmiast spodobały się w internecie, co przyczyniło się znacząco do rozgłosu eksperymentu. Wyhodowanie tych gryzoni o czuprynach przypominających chow-chow stanowi próbę testowania w skali mysiej cech właściwych dla mamuta (nie „kopiowanie” mamucich genów, a znajdowanie podobnych wariantów u myszy – to doprecyzowanie na wypadek, gdyby komuś wyobraźnia odruchowo podsunęła odcinek „South Parku” o genetycznie zmodyfikowanej domowej słońsiówce). Mysi eksperyment ma na celu zidentyfikowanie mutacji genetycznych odpowiedzialnych za odporność na zimno na poziomie umożliwiającym swobodne przeżycie w tundrze.

Słoń, a może niewłochaty mamut.



OLGA DRENDA

Oczywiście od tego etapu daleko do skali mamuciej. Według planów firmy Colossal, potencjalny zwierz odpowiadałby zresztą raczej znanemu nam świniodzikowi niż dosłownemu mamutowi włochatemu. Nie ma bowiem planów, a raczej możliwości, odbudowy gatunku drogą klonowania. Po zmapowaniu właściwych mutacji genetycznych miałyby być one docelowo zaaplikowane najbliższemu (choć i tak odległemu) żyjącemu krewnemu wymarłego gatunku, czyli słońsiowi indyjskiemu. Najważniejsze i często padające pytanie brzmi: „właściwie po co”. Postęp nauki często uruchamia fantazje bliskie wyobraźni religijnej, podpowiada, że człowiek będzie zdolny czynić cuda przypisywane tradycyjnie bogom czy świętym: uzdrawiać, przywracać do życia zmarłych, czytać w myślach czy przenosić się w czasie, niezależnie od tego, czy jest to realnie wykonalne, czy nie; nasza wyobraźnia i tak działa na podzespołach mitu. Podobnie, jak sądzę, jest w przypadku mamuta, choć inicjatorzy eksperymentu z „odginięciem” przekonują, że widzą w nim dosłownie wielkiego sprzymierzeńca w walce z kryzysem klimatycznym i w utrzymaniu wiecznej zmarzliny poprzez wpływ na florę tundry.

Jak wspominałam, zawsze zwracam uwagę na pogłoski o próbach odtworzenia mamuta. Nie dlatego, że marzy mi się, żeby znów chodziły po Ziemi, czy dlatego, że wierzę w ich zbawcze dla klimatu właściwości. Przeciwnie; zawsze, gdy o tym myślę, wydaje mi się to najsmutniejszym eksperymentem, jaki można wymyślić. Neomamut zostałyby przecież powołane do wyobcowania i samotności. Plejstocенskie środowisko już nie istnieje, nie ma natury, w której mamut mógłby swobodnie żyć, mimo prób stworzenia eksperymentalnego parku na Syberii. A przede wszystkim, gdyby eksperyment zakończył się powodzeniem, pierwszy pojedynczy osobnik – którego nieznanne jeszcze warunki rozwoju i dorastania musiałyby zapewne mieć długość słońsiową – musiałby żyć całkowicie samotnie, bez stada, którego obecność dla dawnych mamutów była naturalna. Nie wiadomo bowiem, z jakim powodzeniem udałoby się laboratoryjnie dotwarzać kolejne mamuty. Jeśli w ogóle mówimy o udanym przeżyciu do dorosłego wieku, co zapewne jest najbardziej ryzykowną stroną „odginania”.

Nie jest to bowiem pierwsza próba, a ta, o której się dowiedziecie, okazuje się wyjątkowo przygnębiająca. Kilka lat temu drogą klonowania udało się bowiem odtworzyć wymarłego koziorożca. Jedynie na chwilę – wada genetyczna sprawiła, że sklonowane zwierzę żyło bardzo krótko, tym samym czyniąc gatunek jedynym, który wymarł dwa razy. Włącz-wyłącz, wygiń-odgiń. Droga do odtworzenia mamuta to zatem, odwrotnie niż u Woroszyńskiego, tylko trochę śmiechu (z pociesznych włochatych myszek, które być może staną się domowymi ulubieńcami), ale przede wszystkim – bardzo, bardzo dużo smutku. ©

Olga Drenda jest etnologką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”. Współpracuje z „Tygodnikiem” od 2015 r., od 2022 r. jest felietonistką.



ŚWIAT

PARYŻ PUKA DO WARSZAWY

Zagrożenie z Rosji i oddalanie się USA od Europy sprawiają, że relacje polsko-francuskie przeżywają miodowy miesiąc. Polityczny, wkrótce może militarny. Czy przekuje się to w trwały sojusz? Nasz autor rozmawiał z politykami i dyplomatami obu stron.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA I WARSZAWY

PONAD PÓLTORA WIEKU TEMU FRANCUSKI romantyk Victor Hugo pisał o Francji i Polsce jako „dwóch siostrach, które walczą razem o cywilizację europejską”. Sceptyk mógłby zarzekać, że owe siostry nieczęsto chodziły tymi samymi drogami. Bo też ich interesy geopolityczne nie zawsze były zbieżne.

Wprawdzie przez wieki Polaków często fascynowała Francja – ale bez większej wzajemności. Z rzadkimi wyjątkami, jak w czasach Solidarności, gdy polska bezkrwawa rewolucja trafiła idealnie w emocje Francuzów, wychowanych w kulcie „wolności, równości i braterstwa”.

Liczni francuscy i polscy obserwatorzy, z którymi „Tygodnik” rozmawiał w tych

dniach, zgadzają się, że właśnie dzisiaj dochodzi do zwrotu na linii Polska–Francja. Skupia się on na kwestiach polityki, dyplomacji i bezpieczeństwa, ale może mieć wpływ także na kulturę i gospodarkę [patrz ramki na kolejnych stronach – red.].

Tym razem zainteresowanie jest obustronne. Co więcej: od kiedy trzy lata temu Rosja rozpoczęła pełnoskalową inwazję

Ministrowie obrony Polski i Francji, Władysław Kosiniak-Kamysz i Sébastien Lecornu, podczas spotkania szefów resortów obrony Polski, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch w Helenowie pod Warszawą, 13 stycznia 2025 r.

na Ukrainę, Paryż coraz częściej patrzy na Warszawę z nadzieją i zabiega o jej poparcie na forum europejskim.

Kac po caracalach

Kolejne lata rządów Prawa i Sprawiedliwości, aż do lutego 2022 r., były okresem faktycznego „zamrożenia” relacji politycznych między Paryżem a Warszawą. Zaważyła na tym mocno tzw. sprawa caracali, wspominana do dziś traumatycznie przez francuską dyplomację.

Przypomnijmy: w 2016 r. rząd PiS zerwał wynegocjowaną już z Francją umowę na zakup dla polskiej armii 50 francuskich śmigłowców caracal H225M, produkowanych przez koncern Airbus Helicopters. W ramach porozumienia offsetowego, powiązanego z kontraktem, miało powstać w Polsce kilka tysięcy miejsc pracy. Jednak z dnia na dzień rząd PiS ogłosił, że wybrał ofertę amerykańskich śmigłowców Black Hawk.

Koniec końców rząd polski w 2021 r. zobowiązał się do wypłaty odszkodowania w wysokości 80 mln zł za jednostronne wypowiedzenie kontraktu. Jednak mocno nadszarpnięte zaufanie między oboma krajami długo trzeba było odbudowywać.

Macron i próby „resetu”

Podejście Paryża w tej kwestii nie powinno dziwić, bo własny przemysł zbrojeniowy jest oczkiem w głowie Francuzów. Chlubią się nim także dlatego, gdyż za jego przyczyną są w znacznym stopniu niezależni – także od importu uzbrojenia z USA. W tym również, gdy idzie o produkcję i serwisowanie swojej broni atomowej (w odróżnieniu od Wielkiej Brytanii, która jest uzależniona od Stanów).

Według najnowszych, ogłoszonych właśnie analiz sztokholmskiego instytutu SIPRI, Francja zajmuje drugie miejsce wśród eksporterów uzbrojenia na świecie (na francuską broń przypada blisko 10 proc. globalnej sprzedaży sprzętu militarnego). Wprawdzie daleko za bezsprzecznym liderem, Stanami Zjednoczonymi (43 proc.), ale przed trzecią w tym zestawieniu Rosją (prawie 8 proc.).

Ponadto aż do wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie, Paryż i Warszawę dzieliło podejście do Rosji. Niemal od początku swojej prezydentury – zaczęła się ona w 2017 r., a więc trzy lata po tym, jak Rosja anektowała Krym i rozpoczęła wojnę w Donbasie – Emmanuel Macron podejmował wielokrotnie próby politycznego „resetu” z Moskwą.

Z drugiej strony – przeszkodą w relacjach polsko-francuskich było łamanie praworządności przez rząd PiS i jego ciągłe walki z Brukselą.

Przełom po obu stronach

Nowe otwarcie stało się możliwe dzięki temu, że najpierw w 2022 r. prezydent Francji zmienił kurs wobec Rosji, a jesienią 2023 r. w Polsce do władzy doszedł prounijny rząd Donalda Tuska.

– Ze strony francuskiej za przełom uznać można wystąpienie Emmanuela Macrona w maju 2023 r. Nawet jeśli nie wprost, przyznał się on wówczas do winy, uznając, że Zachód „zapomniał” posłuchać ostrzeżeń przed Rosją płynących z Europy Wschodniej – mówi „Tygodnikowi” Pierre Buhler, były francuski ambasador w Warszawie (w latach 2012-16). – To była także aluzja do znanej wypowiedzi jego poprzednika, prezydenta Chiraca, który w 2003 r. wytknął Europie Środkowo-Wschodniej, jakoby „straciła okazję, żeby siedzieć cicho” [kiedy kraje naszego regionu poparły inwazję amerykańską w Iraku – red.].

W swojej książce pt. „Polska, historia pewnej ambicji. Zrozumieć polski moment”, która właśnie ukazała się we Francji, Pierre Buhler podkreśla, że ze względu na swoją strategiczną pozycję tuż za linią frontu Polska stała się „zwornikiem bezpieczeństwa europejskiego”.

Wrażenie na Francuzach robią rozmiary polskich wydatków na obronność, dochodzące już do 5 proc. PKB. Stąd w ostatnich miesiącach francuskie media donoszą regularnie o „Polsce, która staje się nową potęgą militarną w Europie”.

Także za sprawą takich medialnych przekazów Francuzi postrzegają nas dziś nie jako petenta (jak jeszcze wczoraj czy też przedwczoraj), ale jako poważnego partnera.

Batalia o okręty

Nie miejmy złudzeń: są sentymenty i są interesy.

Paryż liczy na to, że dzięki zbliżeniu z Polską uda mu się doprowadzić także do finalizacji poważnych kontraktów. Problemem jest jednak to, że Polska za rządów PiS podjęła strategiczną decyzję o masowym zakupie uzbrojenia w USA i Korei Południowej.

W tej sytuacji Francuzi mają ograniczone pole działania. Jest tu jednak pewna „nisza”.

Francuski przemysł zbrojeniowy szczyty się jakością swojej floty podwodnej. Gigantem w tej dziedzinie jest Naval Group – firma, która stara się obecnie o wygranie kontraktu na dostawę trzech okrętów podwodnych klasy Scorpène dla polskiej armii. Jednak wśród jej silnych konkurentów są Niemcy, Szwedzi i Włosi.

Od wielu tygodni Francuzi negocjują tę sprawę na szczeblu rządowym z Polską. Według źródeł „Tygodnika” także o tej sprawie rozmawiali w środę 12 marca w Paryżu ministrowie obrony Sébastien Lecornu i Władysław Kosiniak-Kamysz. Kolejna runda rozmów ma się odbyć w Warszawie podczas spodziewanej tam wkrótce wizyty francuskiego ministra. Proponowana przez Francuzów kwota transakcji nie jest znana.

Skorpeny na Bałtyku?

Według informacji dziennika „Rzeczpospolita” na wstępnym etapie faworytami tego wyścigu są europejscy konkurenci Francji. Ale z informacji „Tygodnika” wynika, że to oferta francuska ma obecnie bardzo duże szanse na wygraną.

– Okręty podwodne klasy Scorpène przebijają zdecydowanie konkurentów pod względem bojowym. Są uzbrojone w rakiety manewrujące, które mogą razić cele odległe o tysiąc kilometrów. A wobec groźby ataku ze wschodu polska marynarka wojenna na Bałtyku potrzebuje wzmocnić swoją siłę odstraszania – mówi źródła „Tygodnika” zbliżone do polskich decydentów.

Poza tym, oprócz walorów technicznych, decydująca może okazać się polityka. Paryż i Warszawa mają wkrótce podpisać nowy dwustronny traktat, skupiony właśnie na kwestiach obrony i bezpieczeństwa. – W sytuacji, gdy Polska chce realnie umocnić współpracę z Francją, odrzucenie tak poważnej francuskiej propozycji byłoby kłopotliwe – można nieoficjalnie usłyszeć ze strony polskiej. →

Polska bliżej Airbusa

→ Są też inne oznaki rosnącej pozycji Polski w oczach Francji.

Według dziennika „Le Monde”, polskie władze chciałyby, aby do Polski wszedł kapitał największego dziś producenta lotniczego w Europie, koncernu Airbus. Udziały w nim mają Francja, Niemcy i Hiszpania. Koncern produkuje nie tylko samoloty cywilne, ale i wojskowe, tak więc dokooptowanie polskiego udziałowca miałyby ważne skutki dla europejskiego przemysłu obronnego. W Polsce Airbus ma już cztery zakłady produkcyjne.

W końcu lutego „Le Monde” podał, że na razie Airbus nie dał zielonego światła, pamiętając upokorzenie z caracalami. Pierwszym krokiem do zbliżenia między koncernem a Polską miałyby być duże zamówienie ze strony polskiej armii. Według francuskiej gazety, Warszawa jest zainteresowana kupnem od Airbusa 2-4 samolotów-cystern A330 MRTT oraz 6-8 samolotów transportowych A400M.

Transakcja przetarłaby drogę do ścisłej współpracy.

– Gdyby Polska stała się częścią Airbusa, byłby to bardzo dobry sygnał dla Paryża. Oznaczałoby to, że Warszawa chce „zeuropeizować” produkcję swojego uzbrojenia – mówi „Tygodnikowi” dr Amélie Zima, szefowa programu „Bezpieczeństwo europejskie i transatlantyczne” we Francuskim Instytucie Spraw Międzynarodowych (IFRI).

Broń i pieniądze

Tak Francja, jak i Polska deklarują, że chcą rozwijania europejskiej produkcji zbrojeniowej. Jednak Francuzi zarzucają Polakom, że ci nie zamierzają zrezygnować z kupowania większości sprzętu poza granicami Unii, wcześniej przede wszystkim w USA, a obecnie także w Korei Południowej.

Ta kwestia komplikuje współpracę, także na forum unijnym, gdzie toczy się wciąż dyskusja np. o programie EDIP, który miałby w przyszłości finansować

wydatki na uzbrojenie w krajach członkowskich.

– Stanowisko francuskie jest stałe: pieniądze z funduszy europejskich powinny iść tylko do europejskich przedsiębiorstw, niezależnie od tego, czy są one francuskie, niemieckie, polskie, czy jeszcze inne. To bardzo ważne dla przyszłości Europy – mówi „Tygodnikowi” reprezentant francuskiego przemysłu zbrojeniowego (prosił o anonimowość).

W przeciwieństwie do Paryża, Warszawa, jak i inne stolice krajów Unii, nie widzi problemu w tym, żeby część pieniędzy z EDIP czy z innych unijnych funduszy przeznaczać na wydatki zbrojeniowe także za Atlantykiem. To obecna linia sporu. Ale można przypuszczać, że skończy się on wreszcie jakimś kompromisem.

Zwrot strategiczny

Armie Francji i Polski należą dziś do najliczniejszych na kontynencie: francuska ma ok. 200 tys. żołnierzy w czynnej służbie; Wojsko Polskie jest nieco liczniejsze.

Polski hydraulik przeszedł do historii

Był do niedawna jednym z symboli Polski nad Sekwaną: mityczny „polski hydraulik”. Postać, która weszła do codziennego języka. Jeszcze kilka lat po wejściu Polski do Unii na wieść, że pochodzi z Polski, słyszałem od Francuzów: „Polska, ach tak, oczywiście! Polski hydraulik!”.

SKĄD SIĘ WZIĘŁA? Figurę „hydraulika” wykreował (bardzo skutecznie, choć internet był jeszcze w powijakach) ultra-konserwatywny polityk Philippe de Villiers, zaciekle wróg Unii. W ten sposób chciał przestraszyć Francuzów napływem taniej siły roboczej z Europy Środkowej. W odpowiedzi Polska Organizacja Turystyczna w Paryżu wypuściła w 2005 r. żartobliwą (i skuteczną) kampanię reklamową, w której

przystojny hydraulik (a naprawdę model) zachęcał: „Zostaję w domu. Przyjeżdżajcie jak najliczniej!”.

TAK BYŁO KIEDYŚ. Dziś „polski hydraulik” ułotnił się z mediów i języka. Francuska prasa, ale i ludzie na ulicy widzą często Polskę jako mocnego partnera i kraj rosnącej szybko gospodarki. Tak jak poważny dziennik ekonomiczny „Les Echos”, który jesienią 2023 r. pisał, że „Polska przeszła metamorfozę po 30 latach cudu ekonomicznego”. Gazeta podkreśla, że w dużej mierze za sprawą unijnych środków nasz kraj w ciągu 20 lat przesunął się z 9. na 6. miejsce pod względem łącznego PKB w Unii, wyprzedzając Belgię, Austrię, a ostatnio Szwecję.



Model Piotr Adamski jako „polski hydraulik” w kampanii reklamowej. Czerwiec, 2005 r.

JEDNAK OSTRZEGA SIĘ też nad Sekwaną, że Polska – m.in. z racji uzależnienia od importowanych technologii i słabej demografii – może wkrótce wpaść w „pułapkę średniego dochodu”. Według „Les Echos” Polska wciąż „rozwija czerwony dywan przed inwestorami”, choć nie jest już, jak kiedyś, miejscem o niskich kosztach produkcji (Francja to obecnie czwarty inwestor zagraniczny w Polsce).

ALE TAKŻE do Francji wchodzi, nawet jeśli na razie na małą skalę, polscy inwestorzy. W 2021 r. firma InPost Rafała Brzoski przejęła (za kwotę 513 mln euro) swojego francuskiego odpowiednika Mondial Relay. Ciekawe więc, kto lub co będzie kojarzone z Polską za kilka czy kilkanaście lat. Bo w każdym razie „polski hydraulik” przeszedł już do historii. © SZŁ

Bardziej niż liczbą, francuska armia wyróżnia się pod względem swojej wszechstronności, operacyjności i technologii. Może się pochwalić 180 okrętami wojennymi, w tym lotniskowcem o napędzie atomowym „Charles de Gaulle”, dziewięcioma okrętami podwodnymi (część z nich przenosi rakiety atomowe i stanowi element francuskiego nuklearnego odstraszania) oraz ponad dwustu samolotami bojowymi (Mirage i Rafale).

Jeśli Warszawa stała się dla Paryża bardzo interesującym partnerem, to także dlatego, że w ostatniej dekadzie polityczno-militarny punkt ciężkości Francji przeniósł się z Afryki do Europy Środkowo-Wschodniej. Jak podaje instytut IFRI, po raz pierwszy od 20 lat więcej żołnierzy francuskich stacjonuje dziś poza Francją w różnych krajach Europy niż na kontynencie afrykańskim.

– Francuscy decydenci od dłuższego czasu chcieli, żeby ich siły militarne były bardziej obecne na flance wschodniej NATO, ale część z nich była operacyjnie związana w Afryce – mówi „Tygodnikowi” Pierre Haroche, specjalista ds. bezpieczeństwa europejskiego z Uniwersytetu Katolickiego w Lille.

Jednak w ostatniej dekadzie francuskie bazy wojskowe w Afryce Subsaharyjskiej były zamykane, m.in. w następstwie zamachów stanu w niektórych państwach Sahelu, po których władzę obejmowali politycy nastawieni prorosyjsko. – Dlatego mamy do czynienia z przenoszeniem się jednostek francuskich do wschodniej części Europy – dodaje Haroche.

Nazywa on ten strategiczny zwrot „fundamentalną zmianą we francuskiej kulturze militarnej”.

Francuzi do Polski?

Prezydent Macron jako pierwszy z europejskich przywódców wspominał, jeszcze w 2024 r., o możliwości wysłania wojsk lądowych NATO do Ukrainy. Teraz, po objęciu władzy w USA przez Donalda Trumpa, Francja wraz z Wielką Brytanią wysunęła propozycję wysłania misji stabilizacyjnej po ewentualnym zakończeniu wojny.

Propozycję odrzuconą – na razie? – przez Polskę w sposób dość kategoryczny, co wywołało, jak można usłyszeć w kuluarach, zdziwienie nad Sekwaną. Ta kwestia była jednym z przedmiotów rozmów Macrona i Tuska w czasie bardzo szybkiej

Rozmówca „Tygodnika” twierdzi, że nieoficjalne rozmowy Polska-Francja o broni atomowej toczyły się już w 2024 r.

wizyty prezydenta Francji w Warszawie 12 grudnia ub. roku.

Można się spodziewać, że ta dyskusja wróci, gdy perspektywa pokoju się przybliży, a kształt i cele misji stabilizacyjnej będą jaśniejsze.

Oprócz ewentualnej misji w Ukrainie pojawia się, na razie jako luźny pomysł, inna opcja: wysłania do Polski stałej jednostki francuskiej na wzór tych, które stacjonują już obecnie w ramach NATO w Rumunii i Estonii. W tym pierwszym kraju Francuzi kierują od 2022 r. wielonarodową misją Sojuszu.

– Na razie pozostajemy w kręgu spekulacji, nie ma żadnych decyzji rządowych. Ale wzmocnienie przez Francję flanki wschodniej w Polsce byłoby logiczne w kontekście coraz większej obecności Paryża w tym regionie – komentuje Haroche.

Podobnego zdania są autorzy wspomnianego raportu ośrodka IFRI (ma on dobitny tytuł: „Polska, pierwsza armia Europy do 2035 roku?”).

„Parasol” a sprawa polska

Wyjątkowym atutem francuskiej armii jest broń atomowa – jedyna taka w Europie obok brytyjskiej. Dlatego z tak dużym odzewem spotkała się wypowiedź Macrona o rozpoczęciu „debaty strategicznej” w Europie o możliwości rozciągnięcia francuskiego „parasola atomowego” na inne kraje.

Zainteresowanie tą ofertą wyraziły Niemcy głosem przyszłego kanclerza Friedricha Merza. Jest jednak oczywiste, że wśród głównych adresatów słów francuskiego prezydenta są kraje znajdujące się najbliżej frontu wojny, jak Polska i państwa bałtyckie.

Pierre Haroche twierdzi, że nieoficjalne rozmowy między Paryżem a Warszawą w tej kwestii toczyły się już w ubiegłym roku. – Przed powrotem Trumpa kraje flanki wschodniej miały problem z przy-

znaniem, że ochrona amerykańska nam nie wystarcza, bo odebrano by to jako brak ich zaufania do USA. Ale dzisiaj sprawy się zmieniają. Choć nadal nie ma mowy o wyborze: albo jedna osłona, albo druga, gdyż chodzi o zachowanie i jednej, i drugiej – mówi Haroche.

Kwestia konkretów

Pierre Haroche uważa, że propozycja Macrona otwiera różne możliwości. Należy jednak raczej wykluczyć, aby Paryż mógł składować swoje główne jądrowe na terytorium krajów sojusznicznych.

– Można sobie natomiast wyobrazić wspólne ćwiczenia lotnicze na terytorium Polski czy innych krajów wschodniej flanki NATO, z użyciem samolotów wyposażonych w ładunki jądrowe – uważa politolog.

Inni specjaliści, bardziej ostrożni, ostrzegają polskich przywódców przed „nadmiernym entuzjazmem” wobec oferty rozciągnięcia francuskiego „parasola jądrowego”. Ale zdaniem autorów raportu IFRI, debata strategiczna na temat atomu może być „rzeczywistą ścieżką do umocnienia relacji polsko-francuskiej, zwłaszcza w ramach Trójkąta Weimarskiego (czyli formatu Polska-Francja-Niemcy).

Tak czy inaczej, kwestia „użyczenia” „parasola jądrowego” innym europejskim krajom dzieli Francuzów, także politycznie (przeciwni temu są liderzy silnych opozycyjnych partii: nacjonalistycznej prawicy Marine Le Pen, jak i radykalnej lewicy Jean-Luc Mélenchon). Choć w społeczeństwie widać tu wyraźną większość: według sondażu Instytutu Elabe z 12 marca 59 proc. ankietowanych uznało, że „w interesie ich kraju jest ochrona innych państw europejskich, zwłaszcza za sprawą broni jądrowej”.

Traktat w Nancy

Formalizacją obecnego ocieplenia stosunków między Paryżem a Warszawą ma być traktat podpisany tej wiosny w Nancy.

Wybór miasta nie jest przypadkowy – symbolizuje związki polsko-francuskie. Nancy związane jest z Polską przez postać XVIII-wiecznego króla Stanisława Leszczyńskiego. Po tym, jak przegrał on rywalizację o koronę z Augustem III Saxe, uszedł do Francji i osiadł w Nancy; tu też został pochowany, w miejscowej katedrze. Centralnym miejscem miasta jest →

→ Plac Stanislas, nazwany na jego cześć. Jego córka Maria Leszczyńska jest znana Francuzom jako żona króla Francji Ludwika XV.

Data podpisania traktatu nie została jeszcze publicznie podana. Według informacji „Tygodnika”, potwierdzonej przez obie strony, ma się to stać między kwietniem a czerwcem. Prawdopodobnie jeszcze przed majowymi wyborami prezydenckimi w Polsce.

Tajemnicza pozostaje treść dokumentu, mimo że prace nad nim ciągną się od ponad roku. Wiadomo jedynie, że nacisk kładzie się na kwestie bezpieczeństwa i obronności. Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski mówił w lutym dziennikarzom w Paryżu ogólnie, że przygotowując traktat, obie strony pracują nad „wzmocnieniem zapisów wzmacniających nasze bezpieczeństwo”. Nie precyzował, jak konkretnie.

– Chodzi o to, żeby znalazły się w tekście mocne deklaracje. Nie ma w tej kwe-

stii żadnego tabu, bo świat wokół szybko się zmienia. Na przykład byłoby dobrze, gdyby i Francja, i Polska zadeklarowały, że włączą się wspólnie w rozbudowę europejskiego przemysłu zbrojeniowego – mówią „Tygodnikowi” źródła dyplomatyczne wysokiej rangi.

Nasze źródła wykluczają, aby w traktacie mogły znaleźć się konkretne gwarancje dotyczące ewentualnego rozciągnięcia francuskiego „parasola jądrowego” na Polskę – jest to kwestia, która wykracza poza relację dwustronną.

Łyżka dziegciu

Nowy traktat polsko-francuski mógłby umocnić natomiast współpracę w dziedzinie wywiadowczej i cyberbezpieczeństwa, ożywić wymianę kadry oficerskiej. Z kolei Polska – zdaniem francuskich ekspertów – mogłaby podzielić się swoimi doświadczeniami w dziedzinie tworzenia obrony terytorialnej.

W tym całym „miesiącu miodowym”, jaki wydaje się obecnie trwać między Paryżem a Warszawą, autorzy raportu Francuskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych dostrzegają jednak także łyżkę dziegciu: obawiają się, że traktat pozostanie „umową-zombie”, jeśli nie pójdą za nim od razu konkrety, także finansowe.

W takim przypadku niespodziewana wiosna w relacjach polsko-francuskich skończyłaby się równie szybko, jak się zaczęła. Wszystko zależy od tego, czy obie strony potrafią wykorzystać tę wyjątkową koniunkturę. © SZYMON ŁUCYK

Korzystałem z raportu ośrodka IFRI z lutego 2025: Amélie Zima, Léo Périat-Peigné „Pologne, première armée d’Europe en 2035?”, na stronie: www.ifri.org/fr

Autor jest naszym korespondentem we Francji. W „Tygodniku” debiutował w 2004 roku.

Od Świątek do Orlińskiego

Sportowcy czy ludzie kultury – z kim Francuzom kojarzy się dziś Polska? Jakie twarze są tutaj polską soft power?

Gdy mowa o odleglejszej historii, króluje oczywiście nierozłączna dwójka: Fryderyk Chopin i Maria Skłodowska-Curie (we Francji zwykle „zapomina się” o jej panieńskim nazwisku, trudnym zresztą do wymówienia). Nie ma w tym nic dziwnego, zważywszy na francuskie korzenie kompozytora i małżeństwo noblistki z francuskim fizykiem.

STARSZE POKOLENIE Francuzów (60+), pytane o nasz kraj, przywołuje postaci związane z okresem Solidarności: Wałęsę, Jana Pawła II, a niektórzy też „generała w czarnych okularach” (zwykle mają problem z przypomnieniem sobie nazwiska). W tej generacji żywa jest również pamięć o twórcach kultury: Krzysztofie Kieślów-

skim (przypominanym przez retrospektywy we francuskich kinach), Andrzeju Wajdzie, Jerzym Grotowskim, Tadeuszu Kantorze.

A z jakimi nowymi twarzami kojarzy się dziś Polska? Zapytałem o to ośmioro paryżan różnych zawodów w wieku ok. 30 lat (wszyscy uczą się polskiego, część ma polskie partnerki lub partnerów). Poza Donaldem Tuskiem wymieniali najczęściej sportowców: Roberta Lewandowskiego i Igę Świątek. Za to nie kojarzyli prawie dzisiejszej Polski ze światem kultury; jedna tylko osoba wskazała Agnieszkę Holland, kolejna Romana Polańskiego.

CZY NAPRAWDĘ nasza kultura jest dziś tutaj tak słabo znana? Wszak Olga Tokarczuk, ceniona tu przez krytyków, ma grono oddanych czytelników. Wkrótce, 21 marca, znów będzie gościł w Paryżu, by odebrać doktorat honoris causa Sorbony.

Jak mówi „Tygodnikowi” Kamil Barbarski, tłumacz literatury polskiej na francuski, na tamtejszym rynku spośród naszych współczesnych autorów dobrze sprzedają się kryminały, głównie za sprawą Zygmunta Miłoszewskiego i Jakuba Szamałki, a także twórczość Andrzeja Sapkowskiego. – Pod względem literackim Francja to głównie kraj powieści i komiksów. Niewiele osób czyta poezję i non-fiction – mówi Barbarski. Tłumacz zaznacza, że jest to prestiżowy rynek literacki i każdy chciałby tu zaistnieć. Aby osiągnąć sukces, trzeba się mocno (auto)promować.

WŚRÓD POLSKICH artystów młodego i średniego pokolenia – tu powołuje się na informacje z Instytutu Polskiego w Paryżu – rynek paryski podbili artysta grafik Jan Bajtlik, projektujący dla domu mody Hermès (niegdyś publikował ilustracje w „Tygodniku”) i malarzka Ewa Juszkiewicz (dom mody Louis

Vuitton zaprosił ją do współpracy).

Twarzami polskiego teatru są tu od wielu lat Krystian Lupa i Krzysztof Warlikowski. W świecie muzyki pewną popularnością, także poza kręgiem melomanów, cieszy się kontratenor i jednocześnie tancerz break dance Jakub Józef Orliński. Wystąpił na ceremonii otwarcia olimpiady i często gościł w telewizji w popularnych talk showach.

GDY IDZIE O FILM, mocno obecne są wspomniana Holland i Małgorzata Szumowska. Dobrą prasę i frekwencję w kinach miał we Francji dokument Maćka Hameli o uchodźcach z Ukrainy „Skąd dokąd”. A zorganizowany przez Instytut Polski w Paryżu festiwal „Kinopolska” wyrobił już sobie mocną markę wśród tutejszych kinomanów. W ostatniej, siedemnastej edycji przyciągnął prawie 2 tys. widzów i ma już nawet lokalne edycje w Tuluzie i Bordeaux.

© SZYMON ŁUCYK z Paryża



Emmanuel Macron wita Donalda Tuska przed szczytem przywódców europejskich w Pałacu Elizejskim. Paryż, 17 lutego 2025 r.

Francja i Polska dawno nie były tak blisko

ÉTIENNE DE PONCINS, AMBASADOR FRANCJI W POLSCE:

Traktat, który niedługo podpiszemy, ma być dokumentem ambitnym. Możemy razem wiele zrobić zwłaszcza w dziedzinie bezpieczeństwa i energetyki.

SZYMON ŁUCYK: Za rządów PiS nasze relacje obfitowały w napięcia. Przypomnijmy tzw. sprawę caracali z 2016 r., gdy polski rząd w ostatniej chwili anulował przetarg wygrany przez koncern Airbus na zakup francuskich śmigłowców.

ÉTIENNE DE PONCINS: Ta sprawa miała dla Francji wymiar traumatyczny. Kiedy negocjuje się za plecami i w ostatniej chwili rezygnuje się z kontraktu po wcześniejszym zobowiązaniu się do umowy, to musi zostawić ślady. Tak się stało w relacjach polsko-francuskich.

Jednak z drugiej strony w tym samym czasie Polacy nie ufali do końca Francji, bo uważali, że jej władze były zbyt wyrozumiałe wobec Rosji.

Najważniejsze jest to, że dziś podejście zmieniło się po obu stronach. Po tym, jak Rosja zaczęła pełnoskalową inwazję na Ukrainę, Francja zdała sobie sprawę, że Polska miała rację, ostrzegając przez wiele

lat przed zagrożeniem rosyjskim. Przyznał to wprost prezydent Emmanuel Macron w swoim przemówieniu na forum GLOBSEC w Bratysławie w maju 2023 r. Dziś rozumiemy też, że Warszawa słusznie alarmowała w kwestii budowy gazuociągu Nord Stream 2 oraz uzależnienia Europy od rosyjskiego gazu.

Gdy byłem ambasadorem Francji w Kijowie, w pierwszym roku inwazji bardzo podziwiałem Polaków za gościnne przyjęcie ukraińskich uchodźców. Także i teraz cała logistyka uzbrojenia dla Ukrainy przechodzi przez Rzeszów.

Spojrzenie francuskie na Polskę całkowicie się zmieniło od czasu utworzenia rządu Donalda Tuska jesienią 2023 r. Prezydent Macron i polski szef rządu dobrze się znają i rozumieją. Polska interesuje dziś Francuzów także ze względu na swój coraz większy wpływ polityczny w Europie i imponujące rezultaty gospodarcze. Polsko-francuska wymiana handlowa osiągnęła w 2024 r. imponujący poziom

31 miliardów euro, przy czym Francja odnotowała deficyt handlowy w wysokości jednego miliarda.

Wkrótce ma być podpisany francusko-polski traktat w Nancy. Czego oczekuje po nim Paryż?

Po pierwsze, chcielibyśmy zapisać w traktacie dwustronnym tę fazę zbliżenia między naszymi krajami i jednocześnie aktualizować poprzednią umowę z 1991 r. Zależy nam na tym, żeby to był dokument ambitny, zwłaszcza w kwestii bezpieczeństwa, obrony oraz energetyki. Jestem przekonany, że możemy wiele wnieść do Polski, bo 95 proc. energii elektrycznej, która jest produkowana we Francji, to energia o niskiej emisji dwutlenku węgla, czyli z atomu lub odnawialnych źródeł. Francuski koncern EDF stara się właśnie o kontrakt na budowę drugiej elektrowni jądrowej w Polsce. Jednocześnie wielkie grupy francuskie są zainteresowane rozbudową elektrowni wiatrowych na Bałtyku.

Jak by Pan ocenił to, co się dzieje obecnie między Paryżem a Warszawą?

Myślę, że relacje między Polską a Francją są dziś najbliższe od wielu dekad. Może nawet od czasów Solidarności, kiedy to społeczeństwo francuskie miało ogromną sympatię dla Polaków. Przypominam sobie koniec lat 90., gdy jako ówczesny „numer dwa” ambasady Francji w Warszawie miałem okazję poznać wybitne postaci Solidarności, na przykład Bronisława Geremka.

27 państw Unii można porównać do konfiguracji planet, które są w ciągłym ruchu. Oczywiście istnieją wielkie planety, jak Francja, Niemcy, Włochy. Ale dzisiaj Polska jest w wyjątkowo korzystnym położeniu. Pewnie wysunęła się przed Hiszpanię. Można wręcz powiedzieć, że przeżywamy teraz „polski moment” w Europie.

© Rozmawiał SZYMON ŁUCYK

ÉTIENNE DE PONCINS (ur. 1964) jest zawodowym dyplomatą. Z wykształcenia historyk, absolwent elitarnej szkoły administracji publicznej ENA, od 2023 r. pełni funkcję ambasadora w Polsce. Wcześniej, w latach 2019-23, był ambasadorem w Kijowie. Autor kilku książek o unijnym prawie i traktatach.



12TH BRIGADE / COVER IMAGES / EAST NEWS

Każdego dnia obie walczące strony używają tysięcy dronów różnych typów. Na zdjęciu: żołnierze ukraińskiej 12. Brygady Gwardii Narodowej z wyprodukowanymi w Ukrainie dronami, wzorowanymi na irańskich dronach typu „szahed”. Okolice Torečka, 11 marca 2025 r.

Lekcje z wojny

PATRYCJA BUKALSKA

Polityka, broń, technologia, strategia: czego uczą nas trzy lata wojny Rosji przeciw Ukrainie? Pytamy o to Petera Caddicka-Adamsa, brytyjskiego oficera rezerwy, analityka i historyka.

PATRYCJA BUKALSKA: Ostatnie tygodnie, od objęcia na nowo urzędu przez Donalda Trumpa, mijają pod znakiem gwałtownych i często zupełnie niespodziewanych zmian. Wydaje się, że w tym chaosie Europa przebudziła się i postanowiła w końcu działać, zwiększyć wydatki na obronności i się dobrościć. Wielka Brytania przewodzi tym wysiłkom. Czy nie jest jednak za późno?

PETER CADDICK-ADAMS: Nie, myślę, że to wszystko nadal jest możliwe. Choć akurat uważam, że prawdziwym przywódcą Europy jest obecnie Polska. Wasze wy-

datki na obronność pokazują, jak trzeba to robić. Premier Donald Tusk mówi o potrzebie własnego arsenału odstraszania nuklearnego. To byłoby bardzo efektywne odstraszanie. Gdyby Ukraina zatrzymała swój arsenał nuklearny w 1994 r., nie byłibyśmy w takiej sytuacji jak teraz – Ukraina nie zostałaby zaatakowana przez Rosję, nie potrzebowałyby amerykańskich i brytyjskich gwarancji.

Powodem obecnej sytuacji jest fakt, że przed laty, po rozpadzie Związku Sowieckiego, Zachód postanowił się wtrącić, obawiając się, że w związku z korup-

cją w Ukrainie broń jądrowa mogłaby wpaść w niepowołane ręce. Nie ustanowił jednak znaczących gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy.

Co więcej, gdy później podczas różnych wystąpień, w tym na konferencji o bezpieczeństwie w Monachium w 2007 r., Putin otwarcie ostrzegał Zachód, co zamierza zrobić, zachodni politycy to zignorowali. Za to przyjmowali u siebie rosyjski kapitał i gangsterów, którzy zdomowili się w europejskich miastach. To nasza wina.

Co teraz możemy zrobić?

Wielka Brytania zapowiada zwiększenie wydatków na obronność do 2,5 proc. PKB. Jednak to za mało, a i o tym zdecydowano z wielkim ociąganiem...

Zwłaszcza że taki poziom rząd w Londynie zamierza osiągnąć dopiero w 2027 r. To za dwa lata!

Otóż to. Senssem zwiększonych wydatków – czego nie rozumieją kraje takie jak Belgia, Hiszpania czy Portugalia

– jest także wysłanie pewnej wiadomości, skierowanej właśnie do Rosji. Wiadomości mówiącej o naszej sile woli. O tym, że inwestujemy w obronę i będziemy się bronić. Polska wydaje ponad 4 proc. PKB, prawda? Od dawna powtarzam, że taki powinien być też cel Wielkiej Brytanii. Tyle wydawała zresztą kilkadziesiąt lat temu, podczas zimnej wojny. To taki powrót do przeszłości – i do stosownej sumy wydatków.

Na co powinniśmy wydawać te pieniądze?

Jest kilka obszarów, które trzeba wziąć pod uwagę: ląd i morze, przestrzeń kosmiczna, w której poruszają się satelity, przestrzeń cyfrowa, w której toczy się walka z cyberatakami na naszą infrastrukturę oraz z dezinformacją. Wszystkie te obszary wymagają inwestycji. Tu nie chodzi tylko o liczbę żołnierzy w mundurach, których można wysłać na front. Ale też nie o jakiś wielki komputerowy system. Te wydatki trzeba rozsądnie podzielić. Przy czym po tym, jak Ameryka wycofała – chwilowo, ale pokazując jednak, że jest gotowa to zrobić – swoje wsparcie wywiadowcze dla Ukrainy, Europa musi zbudować swój własny system. Coś, co nie będzie Starlinkiem, coś, co dostarczy tak samo dobrych danych, jak robią to Amerykanie.

Tu ciekawym przypadkiem są Francuzi, którzy zawsze chcieli iść swoją drogą: nie chcieli kupować amerykańskiego sprzętu, tylko własny, z własnych fabryk. Zachowali swój przemysł zbrojeniowy jako integralną część swojego systemu obrony. Jeśli Ameryka wyłączy swoje wsparcie, to Francuzi będą na to odporni. Podczas gdy nasze samoloty wielozadaniowe F-35 codziennie wymagają najnowszych komputerowych aktualizacji z USA.

Czy zatem Brytyjczycy powinni wzmocnić swój własny przemysł zbrojeniowy?

Absolutnie tak. Jeden z brytyjskich posłów, Nick Timothy z Partii Konserwatywnej, napisał ostatnio, że nie ma sensu samo zwiększanie wydatków na obronność, jeśli nie będzie to iść w parze z ponownym ożywieniem brytyjskiej zbrojeniówki, do której kierowane będą te pieniądze. Być może też np. stocznie i huty powinny ponownie znaleźć się we wła-

śności publicznej, tak abyśmy nie musieli kupować statków z Korei i stali z Indii. Państwo musi mieć nad tym kontrolę. Trzeba inwestować w państwowe zakłady zbrojeniowe.

Jest też jeszcze inna kwestia: jeśli kupujemy uzbrojenie od producenta zewnętrznego, a chcielibyśmy wysłać je Ukrainie, to może zdarzyć się tak, że producent zechce to zablokować – zasłaniając się czy to swoją neutralnością, czy to niedopuszczeniem do transferu technologii, nawet gdyby chodziło tylko o jedną niewielką część. Tak było po 2022 r. z uzbrojeniem kupowanym od neutralnej Szwajcarii, a w pewnej chwili także od Niemiec.

Zmiana obecnej sytuacji nie jest prosta, ale jest w tym także szansa na rozwój naszego przemysłu, naszych technologii. Pytanie, czy Europa jest w tym wystarczająco spójna...

No właśnie, czy Europa może uzyskać militarną autonomię?

Im jakiś kraj jest bliżej Rosji, tym większa jest w nim świadomość zagrożenia i świadomość potrzeby zwiększenia wydatków na obronę. Im dalej, tym mniej pilne się to może wydawać – popatrzmy na Grecję czy Portugalię. To musi być owa „koalicja chętnych”, o której mówił nasz premier Keir Starmer. Nie może to być po prostu Unia Europejska jako instytucja, bo przecież do Unii należą także Słowacja i Węgry, które mogą blokować pewne działania.

Z pewnością Europa musi się nauczyć mówić wspólnym głosem, a to może być problemem, więc musimy znaleźć nowy model. Nie będzie to raczej Unia Europejska, bo nie ma przecież unijnego ministra spraw zagranicznych czy ministra obrony. Potrzebny będzie jakiś inny model nowego sojuszu obronnego, europejskiej organizacji obronnej. Przy czym mogłaby ona obejmować także Australię, Japonię i Kanadę.

Co dalej z NATO?

NATO oczywiście jest naturalnym kandydatem na lidera, a Stany Zjednoczone nie mogą tak po prostu opuścić Sojuszu. Podczas prezydentury Joego Bidena ówczesny senator Marco Rubio – obecnie sekretarz stanu – złożył ponadpartyjny projekt ustawy, zgodnie z którym prezydent USA nie może autoryzować wyjścia Stanów z NATO, lecz potrzebuje do tego

uchwały Kongresu lub głosów dwóch trzecich Senatu. Taka większość jest poza zasięgiem Republikanów, gdyby chcieli coś takiego przeprowadzić.

Jednak kwestie formalne obecności w Sojuszu to jedno, a praktyka to drugie. Stany mogą przecież pozostać formalnie w NATO, a równocześnie mogą odmówić wysłania swoich żołnierzy lub udzielenia wsparcia finansowego czy jakiegokolwiek innego. Właśnie dlatego Europa musi znaleźć jakąś alternatywę.

Dla Wielkiej Brytanii to dodatkowo trudna sytuacja, bo wszystko to dzieje się teraz po bardzo toksycznym brexicie. Żeby wrócić do Europy, Londyn musi wziąć odpowiedzialność za działania Europy. Wspólnie z Francuzami, a być może także z Niemcami.

Wracając na brytyjskie podwórko – jakie tutaj są wyzwania?

Lada dzień ma zostać opublikowany raport w sprawie strategicznego przeglądu obronnego Wielkiej Brytanii. Spodziewam się, że będzie bardzo krytyczny wobec wszystkich rządów, w tym obecnego, i że znajdzie się w nim rekomendacja, aby poziom wydatków na obronność był wyższy niż 2,5 proc.

Przejdźmy na ukraińskie pole walki. Służył Pan wiele lat w brytyjskiej armii jako zawodowy oficer. Jakie wnioski możemy wyciągnąć z trzech lat wojny w Ukrainie? Jak zmieniły się strategię i technologie?

Najważniejszym elementem są obecnie drony. Po trzech latach walk w Ukrainie działania wojenne z wykorzystaniem dronów osiągnęły taki poziom zaawansowania, jaki spodziewaliśmy się osiągnąć dopiero za jakieś 15 lat. Postęp technologiczny jest tutaj niezwykle szybki. Dochodzi teraz nawet do walk dronów pomiędzy sobą.

Ponadto 7 grudnia 2024 r. Ukraińcy przypuścili całkowicie zautomatyzowany lądowy atak robotów na małą rosyjską pozycję – naziemne drony uzbrojone były w karabiny maszynowe, wykorzystano też drony powietrzne. Rosjanie próbowali zablokować ukraiński atak, wysłali własne drony, ale na koniec się wycofali i Ukraińcy zajęli tę pozycję.

Dlaczego to takie istotne wydarzenie?

→ To pierwszy przypadek ataku przeprowadzonego i na ziemi, i z powietrza z udziałem ludzi jedynie w roli operatorów. Olbrzymi sukces technologiczny, choć na małą skalę. Operatorzy dronów byli daleko, obserwując pole walki na ekranach swoich laptopów i tabletów, i koordynując działanie dronów. Co zresztą jest bardzo trudne, bo trzeba także uważać, aby nie zestrzelić własnych dronów albo nie unieszkodliwić ich swoimi zagłuszarkami.

Przy czym mówimy tutaj o sytuacji na linii frontu, gdzie obie strony używają codziennie tysiące dronów kamikadze krótkiego zasięgu.

Ponadto drony używane są też przez obie strony do ataków w głębi kraju. Ostatnio, po tym jak Rosja nasiliła ataki lotnicze, Ukraińcy zestrzelili co noc nawet po sto kilkadziesiąt takich dronów dalekiego zasięgu.

Tak będą wyglądać działania w przyszłych wojnach?

Sądzę, że za jakieś 10 lat siły powietrzne każdego liczącego się państwa będą miały więcej bezzałogowych statków powietrznych niż tych obsługiwanych przez ludzi. Do tego dochodzą satelity, które dają bardzo dokładny obraz sytuacji. Politykom to się może podobać, bo nie będą ryzykować życiem swoich żołnierzy, posyłanych do ataku.

Rosjanie i tak chyba nie przejmują się stratami ludzkimi.

Tu ciekawym przypadkiem jest region Kurska. Ukraińcy weszli tam w sierpniu 2024 r., aby odciągnąć uwagę sił rosyjskich od Donbasu i by musiały one skoncentrować się na obronie swojego terytorium. To nie zadziałało, Ro-

Obok NATO potrzebny jest nam dziś model nowego sojuszu: **europajska organizacja obronna.**

sanie dalej parli do przodu w części centralnej frontu, wysłali za to na odcinek kurski żołnierzy z Korei Północnej, którzy ponieśli tam duże straty, ale niewiele zdziałali.

Dopiero teraz Rosjanie ogłaszają postęp w regionie Kurska. Jednak zapewne również za cenę olbrzymich strat ludzkich. Uważa się, że na każdego rannego lub zabitego Ukraińca przypada pięciu Rosjan.

Na korzyść Ukrainy działają też wielkie rosyjskie straty w sprzęcie, np. w czołgach. Ukraińcy przejmują te uszkodzone rosyjskie czołgi, naprawiają i wykorzystują. Do tego dochodzi produkcja dronów. No i oczywiście najbardziej doświadczonymi operatorami dronów są teraz Ukraińcy.

Jeśli Wielka Brytania i inne kraje europejskie będą chciały wydać na wojskowe drony trochę pieniędzy, to najlepiej, jeśli z tą sprawą zwrócą się do Ukrainy. Najlepszym sposobem na włączenie dronów we własne siły zbrojne, na zbudowanie ich doktryny i taktyki, jest skorzystanie z ukraińskich doświadczeń.

Dotychczas to ukraińscy żołnierze szkolili się na Zachodzie.

W Wielkiej Brytanii przeszkoliliśmy ich jak dotąd aż 50 tysięcy. Gdyby jednak zapytać brytyjskich instruktorów, jak to

wygląda, to przyznaliby, że jest na odwrót: ci Ukraińcy, którzy doświadczyli walki, tłumaczą Brytyjczykom, jak ona naprawdę dziś wygląda. To istotne także w sferze taktyki, bo nasza taktyka dotyczyła w ostatnich czasach raczej walki ze słabszym przeciwnikiem, jak w Iraku czy Afganistanie, a nie z przeciwnikiem, który jest równie dobrze wyposażony i zmotywowany co my. Takie szkolenia działają więc w dwie strony.

Myślę, że gdybyśmy od początku, już trzy lata temu, dawali Ukrainie wszystko to, czego potrzebowała, ta wojna już by się skończyła. Tymczasem Zachód pod przywództwem Waszyngtonu, w tym też z udziałem Londynu, robił wszystko z opóźnieniem. Obawiano się, że przekazanie np. samolotów czy pocisków manewrujących będzie uznane przez Rosję za eskalację. W końcu i tak je dostarczono, ale bardzo późno. Takie wyhamowanie pomocy zaszkodziło Ukrainie i pomogło Rosji.

Jaki scenariusz Pan teraz przewiduje?

Ta wojna nie zakończy się nagle tylko dlatego, że prezydent Donald Trump tego chce. Nawet jeśli zaczynają się teraz negocjacje i nawet jeśli już sam ten fakt może budzić jakiś optymizm, to trwałego pokoju nie da się wynegocjować szybko.

Trump mówi o kończeniu wojen tak, jakby kończył wycieczkę do lasu. On nigdy nie był w strefie wojny, nie rozumie żołnierzy. Jako młody człowiek unikał powołania do wojska. Chodzi mu o okazje biznesowe, a także o Pokojową Nagrodę Nobla – bo tej nie kupi za pieniądze. Zależy mu też na czasie, bo jego prawdziwe wyzwanie jest na Pacyfiku, musi zdecydować, co dalej z Chinami, jaką przyjąć tu politykę. Spieszy się, chce wykazać się postępowaniem w realizacji swoich wyborczych obietnic.

Tymczasem pokój będzie możliwy tylko wtedy, gdy będzie ku temu wola po obu stronach. Dlatego obawiam się, że wojna jeszcze potrwa.

©© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Wywiad przeprowadzono 11 marca

Autorka jest redaktorką działów Świat i Historia, w „Tygodniku” debiutowała w 2001 roku.



JEREMY MILES / MATERIAŁY PRASOWE

DR PETER CADDICK-ADAMS (ur. 1960) jest analitykiem i historykiem wojskowości. W 1979 r. wstąpił do armii brytyjskiej, w której dosłużył się stopnia majora. Uczestnik licznych kampanii i misji pokojowych. Wykładał w brytyjskiej Akademii Obrony Narodowej (UK Defence Academy). Był oficjalnym historykiem NATO w Bośni oraz historykiem Wielkiej Brytanii podczas wojny w Iraku. Autor wielu książek, z których po polsku ukazała się „Monte Cassino. Piektło dziesięciu armii”. Jego najnowsza książka „Winston Churchill” ukazała się w 2024 r.

Koagulator dla Arsena

WOJCIECH PIĘCIAK

Czytelnicy „Tygodnika” znów pomogli ukraińskim obrońcom. „Dziękujemy wam, dziękujemy narodowi polskiemu” – mówią lekarki ze szpitala polowego, do którego trafią ranni spod Pokrowska.

TO BYŁ SZCZĘŚLIWY DZIEŃ DLA ARSENA, chirurga z punktu stabilizacyjnego (tj. małego szpitala polowego) na froncie charkowskim: dziś nie miał jeszcze żadnego poważnie rannego. Mimo to Arsen wydaje się zafrasowany: chciał zrobić nagranie, pokazać, jak wykorzystuje nowy koagulator, który podarował mu czytelnik „Tygodnika”.

– Bardzo uniwersalny aparat – kładzie czule rękę na sprzęcie, który wędrował do niego kolejnymi etapami spod Warszawy aż tutaj (to kolejne wsparcie dla jego szpitala, możliwe dzięki wysiłkowi naszych czytelników: podczas naszego wyjazdu w grudniu stabpunkt Arsena otrzymał agregat prądotwórczy).

CZTERY TAKIE koagulatory – tj. elektroniczne urządzenia chirurgiczne, w szpitalach polowych stosowane głównie do zamykania ran (a w szpitalach tyłowych także do innych operacji) – podarował teraz właściciel firmy produkującej taki sprzęt. Prócz Arsena trafiły do dwóch podobnych stabpunktów w obwodzie chersońskim i na pograniczu rosyjskiego regionu kurskiego (jest tam dziś szczególnie dużo ofiar), a także do dużego szpitala na zapleczu frontu w Donbasie, dokąd trafiają ranni ewakuowani spod Pokrowska.

„Dziękujemy wam, dziękujemy narodowi polskiemu” – mówią na przesłanym nagraniu poruszone lekarki z tego szpitala (łącznie w ostatnich trzech latach do ukraińskich szpitali – frontowych i na tyłach – trafiło już 14 koagulatorów, podarowanych przez naszego czytelnika).



Od lewej: Arsen w punkcie stabilizacyjnym z koagulatorem i Oksana (z prawej), 21-letnia porucznik z brygady walczącej pod Charkowem z agregatami. Luty-marzec 2025 r.



Od lewej: artylerzysta na pozycji na pograniczu ukraińskiego obwodu sumskiego i rosyjskiego kurskiego oraz lekarz ze szpitala polowego, do którego trafiają ranni z Donbasu.

Tym razem – podczas kolejnego wyjazdu na Ukrainę z transportem zorganizowanym dzięki zbiorce wśród czytelników i czytelników „Tygodnika” – mieliśmy, prócz tych koagulatorów, także 10 mobilnych agregatów z inwerterem (trafiły do punktów medycznych i jednostek na froncie) i pięć zestawów tzw. noszy próżniowych (służą do ewakuacji rannych w trudnych warunkach) oraz jeden agregat o bardzo dużej mocy.

DWAJ MĘŻCZYŹNI w słusznym wieku, którzy przyjechali po niego na umówione spotkanie, wyglądali na zmęczonych. Ten trochę młodszy, w stopniu oficera, był całkiem siwy. Starszy, łysiejący podoficer, pod znoszony mundur ubrał cywilny kolorowy polar; poranek był mroźny. Nie wyglądali na ludzi z elitarniej jednostki obrony przeciwlotniczej. Ale nimi byli: to oni zestrzelili, prócz licznych rakiet lecących na ukraińskie miasta, także „rosyjski awacs” (samolot



ARCHIWUM WOJCIECHA PIĘCIAKA '24



radioelektronicznego zwiadu) i bombowiec strategiczny. Swoimi antyrakietami dosięgli obie wrogie maszyny jeszcze nad terytorium Rosji.

Życie przeciwlotników, zwłaszcza tych na zapleczu frontu, to ciągle napięcie i ruch: muszą się stale przemieszczać, by uniknąć wykrycia. Rosjanie na nich polują, zniszczenie ukraińskiej obrony przeciwlotniczej to ich priorytet. Dlatego prosili o mocny agregat, który byłby stabilnym źródłem prądu dla ich sprzętu, ale taki, który łatwo jest przewozić. Kupiliśmy go za pieniądze podarowane przez czytelników „Tygodnika” – dziś broni wschodniej Ukrainy. © P

Ukraina stawia nadal opór, trwa więc nasza akcja, prowadzona we współpracy ze Stowarzyszeniem Inicjatywa Sąsiedzka (szczegóły zbiórki: inicjatywasasiedzka.org).

Autor debiutował w „TP” w 1989 r. tekstami o rewolucji demokratycznej w NRD.



WIARA

Rozmowa na Wielki Post (3)

ŻYJ OD NOWA

IZABELA MOŚCICKA,

ZAŁOŻYCIELKA CENTRUM POMOCY SIOSTROM ZAKONNYM:

Od pierwszych rozmów z siostrami mówię każdej z nich:
teraz możesz wszystko.

ANNA GOC: Jak się zaczyna nowe życie?

IZABELA MOŚCICKA: Od pytania: czy „życie po” jest możliwe. Pytają o to zwłaszcza te kobiety, które odchodzą z zakonu po wielu latach.

Jak Ty sobie odpowiadałaś?

Życie po jest nie tylko możliwe, ale jest też najpiękniejszą wersją życia, jaką miałam.

Tego jednak nie wie się od razu.

Po wyjściu z zakonu wyruszyłam w drogę, na Camino. Poszłam sama. Jedna ze znajomych sióstr zapytała, czy nie bezpieczniej, gdyby ktoś mi towarzyszył. Może i bezpieczniej, ale potrzebowałam poczuć, że mogę poradzić sobie sama. Wtedy zrozumiałam, jak bardzo zmienił mnie zakon, jak odebrał mi wiarę we własne siły, talenty, zasoby. Od kilku lat je odzyskuję.

I pomagasz w tym innym kobietom.

Spotykam je właśnie w tym momencie. Raczej kryzysu niż nowego początku. Choć zabrzmi to być może dziwnie, lubię ten moment w mojej pracy. Od pierwszych rozmów z siostrami widzę ich potencjał.

Mówisz im o tym?

„Od teraz możesz wszystko” – mówię każdej z nich. Wspólnie zastanawiamy się, co chciałyby robić. Siostry czasami wymieniają rzeczy, którymi się interesują. Jednak szybko się ze swoich pomysłów wycofują.

Dlaczego?

Wydaje im się, że to, co chcą robić, nie jest dość ważne. Zachęcam je wtedy, by uwierzyły w swoje pomysły. Pytam, co chciała by robić w życiu. Dla kobiet, które przez dwadzieścia lat były w zakonie i miały jasno określone obowiązki, odpowiedź nie jest prosta. Jeśli nie wiedzą, dopytuję, jakie skończyły studia, czy mają zawód, albo czy jest coś, co lubią robić.

IZABELA MOŚCICKA

– założycielka Centrum Pomocy Siostram Zakonnym oraz prezesa Fundacji Przy Stole. Prowadzi blog i podcast, poruszając tematy związane z duchowością i bezpieczną przestrzenią wiary, wolną od nadużyć.

Jak dużo sióstr zakonnych kończy studia?

Historie sióstr w zgromadzeniach są różne, jednak większość z nich do złożenia ślubów wieczystych, czyli przez pierwsze osiem lub dziewięć lat w zakonie, nie studiuje. Są tuż po maturze, czyli w najlepszym czasie na dalszą naukę, mimo to zakony żeńskie zwykle nie inwestują w ich rozwój. W przeciwieństwie do zakonów męskich czy księży, którzy przygotowując się do kapłaństwa, ciągle studiuje.

Po ślubach siostry wybierają kierunki, które mogą się im przydać we wspólnocie. Jeśli zakon prowadzi przedszkola albo szkoły, siostry studiuje pedagogikę. Rzadko decydują się na kierunki, które je interesują. Pozbawione wykształcenia mają obawy, czy po opuszczeniu wspólnoty poradzą sobie na rynku pracy.

Niewiele kobiet ma doświadczenia wychodzenia z zamkniętych wspólnot. Do czego mogłabyś to porównać?

Im dłużej przyglądam się własnej historii i pracuję z kobietami z doświadczeniem życia w zakonie, tym częściej wydaje mi się, że decyzja o wyjściu z zakonu jest nieporównywalna z żadnym innym doświadczeniem. W Centrum Pomocy Siostram Zakonnym staramy się wypracować nowe narzędzia pomocy, bo te, które są wykorzystywane w ośrodkach interwencji kryzysowej, bywają niekompletne albo niewystarczająco przydatne dla kobiet odchodzących z zakonu.

Dlaczego?

Siostry zwracają się do nas na różnym etapie. Niektóre podjęły już decyzję o odejściu z zakonu, inne zastanawiają się nad tym, ale są też takie, które otrzymują nasze wsparcie i zostają w swoich wspólnotach.

Zwykle zaczynają od opowiedzenia swojej historii. Chcą ją zrzucić, nie być już z nią same. I wiedzą, że przychodzą do miejsca, w którym ktoś im wierzy i nie muszą za wiele wyjaśniać. Życie w zakonie ma swoje reguły, które dla osób z zewnątrz mogą być niezrozumiałe. Poczucie i działalność siostry przełożonej, która decyduje o każdym fragmencie życia siostr, bywa przez nie porównywana do relacji, w której słabsi i ich potrzeby są unieważniani.

Są w tych historiach wątki, które przypominają wyjście z więzienia. Jedna z sióstr przyznała, że nie wie, jak zrobić zakupy, bo nie potrafi posługiwać się kartą kredytową. Inna nie wiedziała, że są portale internetowe z ofertami pracy lub mieszkań do wynajęcia.

Jak to możliwe, że siostry nie wiedzą, jak zapłacić kartą kredytową?

W niektórych zgromadzeniach jest podział pracy i te siostry, które odpowiadają za robienie zakupów, nie mają z tym kłopotu, ale pozostałe – mogą mieć. Jeśli siostra wstąpiła do zakonu na początku lat dwutysięcznych, może nie znać wielu nowych udogodnień.

Nie wyręczamy jednak sióstr w szukaniu mieszkania, pokazujemy raczej, jak to zrobić i towarzyszymy im. Zależy nam na tym, by siostry się uniezależniły i odzyskały wolność wewnętrzną, o którą trudno po wyjściu z zakonu.

Czyli?

Żeńskie wspólnoty bywają silnie zhierarchizowane i hermetyczne. Z określonymi zasadami, wspólnymi wartościami. Decyzje, co siostry mogą, a czego nie powinny robić, podejmują zwykle przełożone. Pamiętam, jak próbowałam przekonać przełożoną, że chodzenie na basen jest zdrowe.

Nie chciała się zgodzić?

Nie, więc zaczęłam kombinować, jak tam pójść po kryjomu. Nie wolno tak wielu rzeczy, że w końcu zaciera się granica między tym, co jest naprawdę złe, a co jest na przykład nietaktowne.

Nie jestem specjalistką od wszystkich zakonów w Polsce, ale poprzez Centrum mam kontakt z siostrami z wielu z nich. W ubiegłym roku wsparliśmy 37 kobiet, czyli poznawaliśmy średnio jedną historię tygodniowo. Różna to była pomoc – dłuższa, polegająca na towarzyszeniu w procesie uniezależnienia się, i krótsza – skonsultowanie dokumentów albo wysłanie CV.

Z opowieści sióstr wynika, że w wielu wspólnotach nie jest jasne, na czym powinno koncentrować się życie zakonne. Po Soborze Watykańskim II życie konsekrowane nie zostało zdefiniowane na nowo. Być siostrą zakonną znaczy „być wybraną”. Co to znaczy? Nie bardzo wiadomo.

↳ Jak to rozumiesz?

W mojej wspólnotcie powtarzano nam, że siostra zakonna jest wybrana do relacji z Jezusem. I że ta relacja jest wyjątkowa. Siostra jest trochę wyżej niż świecka kobieta. Wyżej, to znaczy – bliżej Pana Boga.

Więcej się wtedy od siebie wymaga?

Myśli się o sobie lepiej – jako o kimś, kto jest ponad resztą. W wielu wspólnotach ta narracja jest podbijana.

Siedziałyśmy z jedną z odchodzących sióstr w mojej kuchni. Powiedziała, że w ten wieczór po raz pierwszy zdjęła habit i wyszła na miasto. Dotąd zakładała go wszędzie. Pod nim siostry noszą podkoszulkę i halkę, więc gdy go zdejmują, czują się jakby były w samej bieliźnie.

Moment zdania habitu jest symbolicznym wyjściem ze wspólnoty.

Opowiedz o nim.

Jedną z pierwszych rzeczy, której siostry są uczone, jest unifikacja – wszystkie chodzą w takich samych habitach. Ustalane są kolory dodatków – swetrów, plecaków, sandałów. Do Centrum przyszła raz siostra w trampkach. Założenie ich miało coś z buntu, było zaznaczeniem swojej odrębności. I z pewnością przez część sióstr zostało uznane za nielegalne.

Mnie było łatwiej oddać habit, bo w czasie wakacji, na które wyjeżdżałam z bratem i jego przyszłą żoną, chodziłam na plażę w świeckim ubraniu. W jednym z naszych domów mój pokój był tuż obok łazienki. Wychodziłam więc do niej bez habitu. „Dzień dobry pani” – mówiła wtedy jedna z sióstr, by okazać swoją dezaprobatę. Gdy pukało się do jej pokoju, prosiła o chwilę i otwierała w pełnym umundurowaniu zakonnym.

W nowicjacie byliśmy uczone, że najlepiej być w habitcie zawsze. Gdy chodziłam na basen, młodsze siostry wyznały, że nie wyobrażają sobie, jak mogą zdjąć habit i wejść do wody w stroju kąpielowym.

Jak wygląda zdanie habitu?

Siostry przychodzą podpisać dokumenty w habitcie, świeckie ubrania mają w siatce. Potem idą do pokoju obok, przebierają się i oddają przełożonej habit.

Jedna z sióstr, która zdecydowała się odejść z zakonu tuż przed osiągnięciem wieku emerytalnego, opowiedziała mi, że pożegnała się ze swoim habittem w celi. Rozpięła welon, uprasowała, złożyła jak

kawałek materiału, podobnie habit i poszła podpisać dokumenty w świeckim stroju.

Zdjęcie habitu jest odsłonięciem, nie tylko ciała. Siostry w habitcie są bardziej rozpoznawalne, ale pod welonem i habittem mogą też ukryć ciało.

A welon?

Zdjęcie welonu to odsłonięcie włosów. Fryzura odróżnia kobiety, welon – podobnie. W tłumie welon widać od razu, dlatego zdjęcie go sprawia, że siostry czują się mniej wyjątkowe.

Większość sióstr nie chodzi do fryzjera. Zdarza się, że po wyjściu z zakonu proszą, by im towarzyszyć. Pamiętam fryzjerkę, która była przerażona, bo włosy siostry były zniszczone, sterczały nierówno przyszytych. Noszenie welonu, a niektóre siostry robią to nawet wtedy, gdy są same w celi, jest dla skóry głowy mało przyjemne, nawet niezdrowe. Większość welonów jest ze sztucznego poliestru, tylko niektóre zgromadzenia mają bawełniane. Są też plastikowe elementy wpinane w czepki, by usztywnić welon i nadać mu kształt.

Być siostrą zakonną znaczy „być wybraną”.

Co to znaczy?

Nie bardzo wiadomo.

Jak myślisz – po co są reguły, które szkodzą zdrowiu?

Im mniej jest potrzeb, im więcej umęczenia, tym lepiej.

Ostatnio zwróciła się do mnie siostra, którą znam od wielu lat, opowiedziała, że w jej zgromadzeniu siostry się biczują. Noszą także paski, które ranią ciało. Nazywała je współczesnymi włosiennicami.

Czym to się różni od samookaleczenia ciała?

W ich wspólnotcie biczowanie i noszenie włosiennicy jest rozumiane jako coś wyjątkowego – im bliżej jesteś Boga, tym więcej czasu masz na biczowanie.

Dużo zależy od tego, w jaki sposób tego typu sprawy są przedstawiane i jak sio-

stry je rozumieją. Nierzadko są to wspólnoty w jakimś stopniu zamknięte, a więc siostry nie mają szans na skonfrontowanie tego, co dzieje się wewnątrz, z kimkolwiek na zewnątrz.

Założmy, że nasza przyjaciółka, siostra albo córka, decyduje się zamieszkać z nową grupą. Zrywa albo ogranicza kontakt. Prosi: nie przyjeżdżajcie do mnie, nie dzwońcie, nie piszcie, bo to mi nie służy. Równocześnie pozwala okaleczać swoje ciało. Czy to nie wzbudziłoby naszych wątpliwości i obaw? Czy nie interweniowalibyśmy? Wystarczy jednak, że to dzieje się w zakonie i obawy być może nie mijają, ale słabną.

Gdzie siostry mogą zgłaszać sytuacje przemocy?

Większość zgromadzeń w Polsce to zgromadzenia na tzw. prawie papieskim, czyli nad przełożoną generalną jest tylko papież i Stolica Apostolska. Dużo mniej jest zgromadzeń na tzw. prawie biskupim, gdzie nad zgromadzeniem pieczęć ma biskup.

Szeregowa siostra może zgłosić nieprawidłowości swojej przełożonej: lokalnej, a jeśli to nic nie da, kolejno prowincjalnej i generalnej. Sytuację przemocy – Dykasterii ds. Instytutów Życia Konsekwentnego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego.

Wiele z tego, co dzieje się wewnątrz niektórych wspólnot, nie wychodzi poza nie.

Czy siostry mówią, dlaczego wstępowały do zakonu?

Najczęściej przyznają, że chciały służyć Bogu i innym ludziom. Podejmują tę decyzję zwykle tuż po maturze. Gdy wstępowałam do zakonu, myślałam o tym podobnie. Teraz widzę to w kategoriach zasobów. Nie mam i nigdy nie czułam zasobów do tego, żeby być żoną, ale mam takie, które pozwalają mi prowadzić miejsce otwarte dla innych ludzi.

Problem zaczyna się wtedy, gdy wspólnota pozbawia nas tego, w czym jesteśmy dobre. Gdy czujemy się samotne, bo siostry nie zauważają tego, co dzieje się w życiu jednej z nas. Gdy umierała moja mama, więcej wsparcia dostałam od obcych niż od moich sióstr.

Jak zostać przy sobie?

Nie jestem pewna, czy we wspólnotcie zakonnej to możliwe. W mojej nie było.

Siostry są formowane do tego, żeby myśleć podobnie.

Zdarza się, że nie potrafią nazwać tego, co dzieje się w ich zakonie. Przyznają na przykład, że dostały od przełożonej zadania, z którymi sobie nie radzą. Próbuje o tym mówić, ale ich głosu nikt nie słyszy. Jednocześnie zapewniają, że dostają od innych siostr wsparcie. Zadanie pytania, na czym wobec tego polega to wsparcie, może okazać się pomocne i trzeźwiące.

Jest takie?

Nie zawsze i nie od razu. Bliska znajoma odwiedziła mnie, gdy byłam jeszcze w zakonie. Musiałam ją przeprosić, bo wybiła godzina przeznaczona na modlitwę i siostry szły do kaplicy. „Nie umiałabym się tak modlić na akord” – skomentowała. Zaprzeczyłam, że to nie jest „modlitwa na akord”. Na co ona zapytała: czyli możesz nie iść teraz do kaplicy i pomodlić się później? I wtedy zdałam sobie sprawę, że ma rację.

Takie pytania rozbijają, ale są potrzebne.

Jak rozumiane jest odejście?

Siostra, która odchodzi, zdradza Pana Jezusa. Wspólnota pokutuje za nią. Wybiera się jeden dzień, który siostry przeżywają o chlebie i wodzie.

Siostry, które odchodzą, mierzą się z pytaniem: „kim jestem?”. I jaka jest teraz moja relacja z Panem Bogiem. Pamiętam ten moment. Poszłam na wieczorną adorację, uklękłam w kościele i nagle myśl: „kim ja Boże jestem przed Tobą?”. Dotąd myślałam o sobie, że jestem nazaretanką. A teraz?

?

Teraz, po wielu latach już wiem, kim jestem.

Chciałabym zebrać historie kobiet, które odeszły. Pokazać, że one nie kończą się na odejściu i że są tylko opowieścią o przemocy w zakonie. Mają też drugą część – życie po. A w tym życiu po jest dziewczyna, która po wyjściu z zakonu dostaje się na aktorstwo, jest kobieta, która zakłada firmę z księgowością i prowadzi ją z sukcesem. Są kobiety, które nie znikają, one żyją. © ANNA GOC

Autorka debiutowała w „Tygodniku Powszechnym” w 2012 r.



Pieter Huys, *Piekiło*, ok. 1570 r.

Zstąpił do piekieł

PAWEŁ RAKOWSKI

Czy miejsce wiecznego potępienia, o którym mówi religia, znajduje uzasadnienie w tekstach biblijnych?

ZACZNIJMY OD TEGO, CO NA KARTACH Ewangelii mówi o nim Jezus. Kierując się tylko Jego słowami, można by pytać, czy ktokolwiek już znalazł się w piekle albo czy kiedykolwiek w nim będzie. A nawet postawić pod znakiem zapytania jego istnienie.

Pierwszą rzeczą jest ustalenie słownictwa odnoszącego się do zaświatów w pismach powstałych po Jezusie. Znajdziemy w nich kilka określeń o szerokim znaczeniu. Najczęściej pojawiającym się słowem jest „hades”, powszechnie kojarzony z mitologią grecką. Pamiętajmy jednak, że choć Ewangelie zostały spisane po grecku, to jednak wyrażały semicki sposób myślenia, dlatego znaczenia słowa „hades” nie należy szukać w greckich mitach, ale w hebrajskich opowieściach o Szeolu.

Szeol i hades

Szeol (hades) oznaczał miejsce pobytu zmarłych, ale też używany był do opisu śmierci jako takiej. W pierwszym znaczeniu była to podziemna, odizolo-

wana kraina, do której żywi nie mają wstępu. W opowiadaniach biblijnych zmarli czasem jednak kontaktują się z żyjącymi – między Szeolem a krainą żyjących nie ma przepaści.

W tradycji hebrajskiej Szeol nierzadko był też poetycką metaforą śmierci, a nawet szerzej – określeniem stanu człowieka żyjącego, który doświadcza choroby lub innego nieszczęścia, odbierającego mu życiowe siły. Z takiego Szeolu można być przez Boga wyswobodzonym za życia, jak to się przydarzyło psalmiście, który pisał: „dosięgły mnie pęta Szeolu, popadłem w ucisk i udrękę. Ale wezwałem imienia Pańskiego: »O Panie, ratuj me życie!«” (Ps 116, 3-4).

Idea Szeolu przez kolejne wieki ulegała przemianom pod wpływem nowych pojęć teologicznych, takich jak zmartwychwstanie czy sąd ostateczny. Zobaczyć to można choćby w przypowieści o Łazarzu i bogatym człowieku (Łk 16, 19-31). Po śmierci pierwszy trafia na łono Abrahama, drugi do biblijnego

→ Szeolu. W tym przypadku Szeol jest przedstawiony jako miejsce kary i wiecznego cierpienia dla bogacza, który w dodatku został już na zawsze oddzielony od Łazarza, zgodnie z tym, co mówi Abraham: „Nikt, choćby chciał, stąd do was przejść nie może ani stamtąd do nas się przedostać”. Przypowieść ta jest jednym z dowodów, że z czasem zaczęto w judaizmie odróżniać miejsca przebywania sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Jedno stało się miejscem nagrody, drugie – kary.

Ogień piekielny

Bardziej odpowiednim słowem biblijnym na określenie wiecznej karni wydaje się „gehenna”. Tego słowa nie znajdziemy w języku greckim. Jest transkrypcją hebrajskiego wyrazu *gehinnom*. I jedynym terminem, który odnosił się wyłącznie do zaświatów.

Jego źródłosłów nawiązuje do konkretnej i znanej lokalizacji – Doliny Hinnom koło Jerozolimy. Było to miejsce osławione śmiercią dzieci złożonych w ofierze na cześć boga Molocha (2 Krl 23, 10). W wielu komentarzach biblijnych znajdziemy też informację, że dolina ta była również miejskim śmietnikiem, na którym nieustannie płonął ogień. Tak miało powstać znane współczesnej kulturze wyobrażenie ognistego piekła. Teoria ta nie została jednak nigdy potwierdzona przez badania archeologiczne.

Dużo ważniejsze wydaje się, że w tradycji żydowskiej gehenna stała się synonimem miejsca wiecznej kary dla niesprawiedliwych. A to już idea bliska późniejszej, chrześcijańskiej wizji piekła. Warto jednak pamiętać, że gehenna czeka grzeszników dopiero po sądzie ostatecznym. Do tego czasu miejsca wiecznego potępienia nie ma.

Czy Jezus nauczał o piekle

Co zatem z przypowieścią o Łazarzu i bogacz? Czy hades z tego fragmentu Ewangelie nie byłby już piekłem w rozumieniu chrześcijańskim?

W przypowieściach, jak wiemy, czytamy o wydarzeniach nierzeczywistych, najczęściej z fikcyjnymi bohaterami. Tak więc nawiązanie do hadesu może być zabiegiem retorycznym, próbującym nakłonić słuchaczy, by stali się bardziej uważni na cierpiących i potrzebujących. Aby taką przemianę wywołać, Jezus sięgał po mocne słowa i obrazy.

W pytaniach o piekło chodzi nie tylko o los ludzi po śmierci, ale też o nasz obraz Boga.

Nie ulega jednak wątpliwości, że w centrum nauczania Jezusa są potrzebujący, a nie hades jako taki.

Innym tego przykładem jest eschatologiczna mowa Jezusa o ponownym przyjsciu Syna Człowieczego, by tych, którzy nie nakarmili głodnych, nie napoili spragnionych, nie przyjęli przybyszów czy nie odwiedzili chorych, odesłać w ogień wieczny (kolejny synonim miejsca potępienia). Czy treścią Dobrej Nowiny jest tu głoszenie nauki o potępieniu, czy raczej mamy do czynienia, po raz kolejny, z zabiegiem motywującym ludzi do dbania o potrzebujących?

W Biblii znajdziemy jeszcze dwa słowa odnoszące nas do zaświatów. Pierwsze to *abyssos*, czyli „otchłań”, w której uwięzione są złe duchy i potwory, w tym morskie, bo *abyssos* może dotyczyć zarówno otchłani ziemi, jak i morza. Z kolei w Drugim Liście Piotra pojawia się, wyjątkowo i tylko raz, czasownik pochodzący od rzeczownika *tartaros*, czyli mitycznego Tartaru, w którym Bóg uwięził grzesznych aniołów w oczekiwaniu na sąd ostateczny (2 P 2, 4).

Dokąd zstąpił

Choć autorzy biblijni czerpią ze słownictwa mitologicznego nawiązującego do świata umarłych, to jednak żadna z narracji biblijnych nie rozgrywa się w Szeolu czy gehennie (w przeciwieństwie do mitologii).

W Biblii osoby z zaświatów odwiedzają czasem żyjących na ziemi, jak chociażby Elias i Mojżesz na górze Tabor podczas przemienienia Jezusa (Mk 9, 2-9) czy duch proroka Samuela, wywołany przez kobietę z Endor na prośbę króla Saula (1 Sam 28, 3-25). Ale nigdy żaden z żyjących nie udaje się z wizytą do świata zmarłych. To jedna z podstawowych różnic pomiędzy opowiadaniem biblijnym a mitologią grecką.

Czas Wielkiego Postu, przygotowujący nas do świąt wielkanocnych, skłania do pytań, gdzie Jezus, który umarł i po trzech dniach zmartwychwstał, przeby-

wał po swojej śmierci? W Liście do Efezjan czytamy, że „zstąpił do niższych części ziemi” (Ef 4, 9). Tradycja chrześcijańska przyjęła te słowa jako prawdę wiary. W łacińskiej wersji apostołskiego Credo wyznajemy, że Chrystus po śmierci zstąpił „ad inferos”. A więc dokąd?

Łacińskie „ad inferos” oznacza „do świata podziemnego”, czyli świata zmarłych (tym słowem tłumaczony jest np. hebrajski Szeol). Mamy jednak w łacinie jeszcze inne, podobnie brzmiące wyrażenie – „ad infernum”, które znaczy „do piekła”, miejsce przebywania potępionych.

To ważne w kontekście teologicznym rozróżnienie. Zstąpienie Chrystusa „do piekieł” – jak mówi polskie tłumaczenie apostołskiego wyznania wiary, zdaje się wprowadzać w błąd. Bo Jego zejście „ad inferos” nie oznaczało wejścia do miejsca potępionych („ad infernum”).

Nadzieja pustego piekła

Biblijny obraz rzeczywistości po śmierci nie jest spójny. Z katolickiej perspektywy problematyczny jest temat sądu ostatecznego. Jeśli przyjąć biblijne przekonanie, że miejsce wiecznego potępienia czeka na ludzi dopiero po tym sądzie, to logiczny wydaje się wniosek, że piekła jeszcze nie ma. Jeśli powstanie, to dopiero po powrocie Syna Człowieczego. Z tego napięcia zrodziła się chrześcijańska idea sądu, jaki czeka na nas zaraz po naszej śmierci.

Piekło przestano też rozumieć jako miejsce, a zaczęto w nim widzieć stan człowieka oddzielonego od Boga przez odrzucenie zbawienia.

Pytanie o piekło jest więc nie tyle pytaniem o los ludzi po śmierci, lecz o obraz Boga. Patrząc z tej perspektywy, jak należałoby rozumieć zwycięstwo Jezusa nad śmiercią oraz konsekwencjami grzechu, skoro znalazłby się przynajmniej jeden człowiek, który odrzuciłby cały ten boski wysiłek, by zbawić człowieka?

Jakiś czas temu papież Franciszek podzielił się z wiernymi refleksją, że lubi myśleć o tym, iż piekło jest puste. Choć podkreślił, że jego słowa nie są dogmatem wiary, tylko osobistym pragnieniem, wydaje się, że są znakiem zmiany, jaka dokonuje się w teologii katolickiej, w której nadzieja na puste piekło jest coraz bardziej obecna. © PAWEŁ RAKOWSKI

Autor debiutował w „Tygodniku” w 2021 roku.



Żywa Pracownia. Wolontariusze „Zupy na Plantach” przygotowują posiłki, które zawiozą bezdomnym. Kraków, 13 lutego 2025 r.

Towarzysze z ulicy

TEKST: ADA CHOJNOWSKA ZDJĘCIA: JACEK TARAN

Zupa jest już właściwie tylko symboliczna – gotują ją raz w miesiącu. Fundacja Zupa na Plantach skupia się dziś bardziej na innych działaniach: prowadzi program mieszkaniowy, koordynuje wyjazdy na pustostany.

DA SIĘ POMÓC KAŻDEMU?

– Zależy co masz na myśli, mówić o pomocy.

– Na przykład wyprowadzenie z bezdomności...

– Jeśli tak będziemy podchodzić do sprawy, szybko się rozczarujemy. Wyjście z bezdomności to bardzo długi i skomplikowany proces. Naszym głównym celem nie jest wyciąganie ludzi z ulicy, ale bycie z nimi. Wrażliwe towarzyszenie ludziom, którzy żyją w skrajnie trudnej sytuacji, jest wartością samą w sobie.

Piotr Żyłka doskonale pamięta pierwsze wyjście na ulicę, z kilkoma znajomymi. Był rok 2016, wyjątkowo zimny listopad. Dwaj mężczyźni stali pod Bramą Floriańską. Pretekst do rozmowy – papieros. Trochę pytań o to, jak się mają, czy mają gdzie w miarę bezpiecznie spędzić

noc. Słuchanie. Mężczyźni pokierowali dalej, na skwer, który dziś nosi imię Andrzeja Wajdy. Tam miało być więcej takich jak oni. Byli. Znów papieros, opowieści o ulicznej codzienności.

– Wróćcie jeszcze? – usłyszeli na koniec.

Zmiana na miarę

Tak zrodziła się Zupa na Plantach, dziś dobrze znana fundacja, a wtedy grupa osób, którą łączyło przekonanie, że ludzi żyjących na ulicy warto wysłuchać, próbować lepiej zrozumieć, traktować z szacunkiem i zobaczyć, co z tego wyniknie. Gotowali więc zupę i przywozili ją na krakowskie Planty – najpierw raz, potem dwa razy w tygodniu. To było miejsce spotkań, poznawania się, także dla ich „podopiecznych”, żyjących w różnych punktach Krakowa, w pustosta-

nach, na działkach, w altanach śmietnikowych i kanałach ciepowniczych pod ulicami. Bo przecież nie zadzwonią do siebie, nie umówią się w kawiarni, nie wyjdą na obiad do restauracji. A na Plantach są u siebie.

– Każda osoba to inna historia. Jeśli chcemy pomóc, musimy być jak najbliżej człowieka, próbować go poznać, zawiązać nić zaufania. Dlatego naszym głównym narzędziem działania jest dawanie drugiemu człowiekowi czasu. Jeśli się regularnie spotykamy, możemy zauważyć, że ktoś ma w sobie siłę i zasoby, żeby zaważać o zmianę w swoim życiu. Naszą rolą jest wtedy takiej osobie podpowiedzieć, gdzie może znaleźć profesjonalną pomoc, i wspierać ją w tym, by z niej skorzystała – tłumaczy Piotr Żyłka.

Zmiana dla każdego może znaczyć coś innego. Dla jednego będzie to pierwsza od lat wizyta u lekarza, dla drugiego wejście w proces ubiegania się o mieszkanie socjalne. U jeszcze innego będzie to próba odbudowania relacji z bliskimi, zmierzania się z własnymi emocjami albo nałogami.

Twarze bezdomności

Alkohol to jeden z najczęściej powtarzających się tematów w rozmowie o bezdomności. Zofię Chmaj, wolontariuszkę Zupy, wyjątkowo irytują stwierdzenia, że każdy pije, i że sobie na bezdomność „zasłużył” albo ją „wybrał”.



Piotr Żyłka, założyciel fundacji „Zupa na Plantach”. Kraków, 30 stycznia 2025 r.

→ – Nie zawsze jest tak, że najpierw jest alkohol, a potem trafia się na ulicę. Czasem jest zupełnie odwrotnie. Aż nasuwa się pytanie: gdybyś ty trafił na ulicę, czy twoją pierwszą reakcją nie byłoby właśnie sięgnięcie po butelkę? – mówi.

W Zupę zaangażowane były jej mama i siostra. Tłumaczy, że ona także miała w sobie potrzebę „zrobienia czegoś bardziej przydatnego niż siedzenie w pracy przed komputerem”. Przyznaje, że jest osobą dość skrytą i nie nawiązuje łatwo kontaktów, dlatego Zupa, jako pretekst do spotkania, stała się ważną częścią jej życia. Pozwala budować relacje z ludźmi, o których – jej zdaniem – mało kto dziś myśli i pamięta.

– A jeśli nawet pamięta, to najczęściej krytykuje lub traktuje jak przedmiot, który można przestawić i wyrzucić, bo nie pasuje do wizji miasta. A przecież sytuacje są naprawdę różne. Każdemu wydaje się, że jest królem życia, dopóki jakos sobie radzi. Nikt z nas przecież nie wie, co może się zdarzyć w przyszłości – dodaje.

Podobnie jak Piotr podkreśla, że każda historia jest inna. Bezdomność może mieć oblicze kobiety, która uciekła od katującego ją partnera, przestępca, który po więziennej odsiadce nie wie, jak wrócić do poprzedniego życia, czy dorosłego, który nie mógł liczyć na wsparcie systemu po młodości spędzonej w domu dziecka i przerosło go zderzenie z trudną rzeczywisto-

ścią. Na ulicy są też osoby skrzywdzone seksualnie, z zaburzeniami psychicznymi, uzależnione od różnych substancji i takie, które zламаła jakaś osobista tragedia, na przykład śmierć bliskich.

Eksperci z za biurka

Tych historii słyszą wiele. Nie tylko na Plantach, bo Zupa jest dziś już tylko symboliczna – gotują ją raz w miesiącu. Od wybuchu pandemii fundacja skupia się bardziej na innych działaniach – prowadzi program mieszkaniowy, rozbudowała tzw. wyjazdy na pustostany.

– Był lockdown, miejsca pomocy się pozamykały, zmniejszyła się dostępność posiłków, trzeba było zmienić sposób działania i w jakiś inny sposób dotrzeć do osób w kryzysie. Stwierdziliśmy, że będziemy częściej wyjeżdżać w teren – wspomina Katarzyna Cholewa, kolejna wolontariuszka Zupy. Jest lekarką, osobą w kryzysie pomagała jeszcze na studiach, w Przychodni Lekarskiej dla Ludzi Bezdomych i Ubogich. Do Zupy trafiła, bo nie chciała czekać, aż ktoś sam zgłosi się po pomoc. Chciała wyjść na ulicę, tam, gdzie osoby w kryzysie żyją na co dzień. Zrobić dla nich coś więcej, niż tylko opatrzyć ranę, przykleić plaster, dać lekarstwo – po prostu ich poznać.

Dziś Katarzyna jest jedną z osób koordynujących wyjazdy. W każdy czwartek wolontariusze ruszają w miasto, odwiedzając kolejne osoby doświadczające bez-

domności. Przywożą im ciepłą herbatę, kanapki, czasem książkę czy czekoladę. Jednak nie o samą pomoc materialną chodzi. Jak tłumaczy Piotr, takie spotkania, w mniejszym niż na Plantach gronie, stwarzają szansę do dłuższych rozmów i głębszego poznania się, co może zaowocować dalszymi działaniami.

– Ale nie musi – zastrzega. – Może ktoś będzie potrzebował pilnej, doraźnej pomocy, może ktoś zdecydować, że chce iść do MOPS-u, poszukać innego wsparcia. Wtedy jesteśmy, wskażemy kierunek. Ale tylko, jeśli osoba w kryzysie sama będzie tego chciała. Naszą podstawową zasadą jest to, że nikogo do niczego nie zmuszamy. Ekspertów, którzy doskonale wiedzą „co powinieneś zrobić, jeśli chcesz zmienić swoje życie”, a nie potrafią usłyszeć drugiego człowieka, nikt na ulicy nie potrzebuje.

Ulica nie szpital

Czekać, aż osoby w kryzysie same przyjdą po pomoc, nie chciała też Maria Maciaszek – lekarka, specjalistka chorób wewnętrznych. Przez lata zaangażowana w Stowarzyszenie Lekarzy Nadziei, później kierująca Przychodnią Lekarską dla Ludzi Bezdomych i Ubogich, w końcu stwierdziła, że pora iść tam, gdzie być może nikt nie dociera. I nie selekcjonować, kto na pomoc zasługuje, a kto nie, bo może jest pod wpływem albo znów przychodzi z tym samym problemem.

– Część społeczeństwa nie zauważa osób w kryzysie, część nimi gardzi, wręcz nie traktuje jak ludzi. Mało kto zdaje sobie sprawę, ile na ulicy jest człowieczeństwa, wrażliwości i mądrości – mówi.

Na początku pomagali na Plantach, świadcząc doraźną pomoc medyczną przy Zupie. Szybko jednak okazało się, że potrzeby są znacznie większe. Pojawili się w kolejnym miejscu – noclegowni przy ul. Makuszyńskiego. Zaczęli działać na coraz szerszą skalę. Do Przystani Medycznej, jak nazwali swoją organizację, dołączały kolejne osoby: lekarze, ratownicy, pielęgniarki, studenci medycyny. Ale nie tylko.

– Na Plantach to była partyzantka: plecak opatrunkowy na plecy i kombinujemy – wspomina początki Jędrzej Kubala, informatyk. Kurs kwalifikowanej pierwszej pomocy zrobił w 2016 r. w harcerstwie, przed Świątowymi Dniami Młodzieży. Do Przystani trafił przez koleżankę, pielęgniarkę. Dziś pomaga nie tylko na dyżurach, ale i organizacyjnie, bo spraw do ogarnięcia nie brakuje. W Przystań zaangażowanych jest już ponad setka wolontariuszy, a partyzantka zamieniła się w, jak mówi Jędrzej, samonapędzającą się maszynę. To nakręca dalsze działania, choć warunki łatwe nie są. Ulica to nie oddział szpitalny – nie ma izby przyjęć, sal operacyjnych, łóżek, sprzętu. Dlatego większość interwencji to opatrunki: na owrzodzenia, rany po urazach czy pogryzieniach. Na ulicy nawet drobne skaleczenie potrafi stać się przyczyną poważnych problemów. Pojawiają się też odmrożenia, stopa cukrzycowa czy inne schorzenia, z którymi trzeba pacjenta posłać dalej.

Spotkania i rozmowy

Pomoc medyczna to jednak tylko część działań Przystani. Tak jak w przypadku Zupy, Maria podkreśla, że to także nawiązywanie relacji, rozmowy, budowanie zaufania. Być może pchnięcie kogoś do pozytywnej zmiany, nawet najmniejszej.

– Bez tego się nie da – mówią w Przystani. – Opatrunek na ranę możemy nałożyć, ale jej przyczyna może leżeć znacznie głębiej. I dopóki człowiek, który żyje poza systemem, nie poczuje, że komuś na nim jednak zależy, tą przyczyną się nie zajmie.

Zygmuntowi Czyżyskiemu, studentowi medycyny, te spotkania i rozmowy dają najwięcej. W Przystani działa od 3 lat



ELIZA SKRYCKA

Zupa w Polsce

KRAKOWSKA ZUPA NA PLANTACH była inspiracją dla kilkunastu innych „Zup” w różnych miastach Polski, m.in. na Głównym (Poznań), na Wolności (Wrocław), na Pietrynie (Łódź), w Kato (Katowice), za Ratuszem (Bielsko-Biała), na Skwerze (Kielce) czy Spotkań przy Zupie (Szczecin). Rzeszowska Zupa na Placu została założona przez wolontariuszkę, która wcześniej działała w Krakowie, a po przeprowadzce rozpoczęła działalność w swoim mieście. Z kolei gdańska Zupa na Monciaku powstała w tym samym czasie co inicjatywa krakowska, trudno więc mówić o inspiracji.

– Nie jesteśmy formalnie potączeni, ale gdy powstawały kolejne Zupy, to często ludzie z innych miast najpierw przyjeżdżali do nas, by pogadać, zobaczyć, jak to robimy. Albo my jechaliśmy do nich i dzieliliśmy się know-how – mówi Piotr Żyłka, dodając, że rezygnacja z instytucjonalizacji Zup była świadomą decyzją.

– Zdarzały się pytania czy sugestie, byśmy się wspólnie zorganizowali, ale my wolimy być jak najbliższe ludzi, a nie zajmować się zarządzaniem rozrastającą się instytucją. Każde miasto ma też inną specyfikę i lepiej, jeśli decyzje podejmują tam ludzie, którzy dobrze znają lokalne uwarunkowania.

i jak przynajmniej, dziś nie wyobraża sobie już bez niej życia.

– Praca w sterylnych warunkach szpitala ma odmienną specyfikę. Wyjście na ulicę, udzielenie pomocy, a jednocześnie nawiązanie relacji innej niż *stricte* lekarz-pacjent, daje nową perspektywę. Nie wyobrażam sobie, by nie widzieć tych ludzi, nie rozmawiać z nimi, nie nawiązać kontaktu. Nic nie może się równać z uczuciem, gdy spotykamy pacjenta, któremu dwa lata wcześniej opatrzyli-

śmy owrzodzenie i nawet nie wyobrażaliśmy sobie, że z tego wyjdzie. A on chodzi, chce się z nami spotkać, spędzić czas, porozmawiać.

Nie wszystkie chwile są jednak radosne. Słyszymy to i w Zupie, i w Przystani. Najtrudniejsze? To zawsze śmierć. Na ulicy spotyka się ją częściej, co nie znaczy jednak, że łatwiej się z nią pogodzić.

Bezradność

– Zdarza mi się myśleć, że robię za mało, że może powinienem pomagać jeszcze inaczej, lepiej. Trzeba to sobie poukładać. Nie można się w tym pomaganiu przekraczać – mówi Zofia.

Bo ulica to trudna przestrzeń, która wymaga wrażliwości, ale nie za wiele. Łatwo się wypalić.

Piotr nie kryje, że nie zawsze radził sobie z emocjami. Trudnych sytuacji było wiele, do tego mnożyły się wyzwania organizacyjne, na Planty potrafiło przyjść ponad 200 osób, wszystko trzeba było ogarnąć. Chwila wytchnienia przyszła z pandemią, z czego osoby odpowiedzialne za Zupę wyciągnęły ważny wniosek: trzeba dbać nie tylko o innych, ale i o siebie. Zupa przeorganizowała swoje działania, a wolontariusze mają od tamtego czasu możliwość korzystania ze wsparcia psychologicznego.

Dla Jędrzejki najtrudniejsza jest bezradność. Przypomina sobie pacjenta mieszkającego pod jednym z mostów. Zagrożenie życia, konieczny SOR. Jędrzejki przekonał się wtedy, co z człowiekiem potrafi zrobić bezdomność. Mężczyzna nie chciał iść do szpitala, bo kiedyś źle go tam potraktowano, nie udzielono pomocy.

Inna historia – kobiety po gwałcie, którą udało się zawieźć na SOR, ale w szpitalu nie chciała powiedzieć, co się stało. Bała się postępowania, zeznań. Z mężczyzną, który ją zgwałcił, mieszkała na pustostanie.

– Nie mogliśmy nic zrobić – mówi Jędrzejki.

– Niemoc bywa przytłaczająca – dodaje Katarzyna. Przytacza historię z 2018 r. Mężczyzna, do którego docierali z Zupą, mówi, że jego partnerka fatalnie się czuje, nie jest w stanie się ruszać. Pojechali na miejsce. Namiot pod mostem, kobieta mocno cierpi, boli ją brzuch. W szpitalu okazało się, że to ciąża. Następnego dnia kobieta urodziła.

– Pytam ją, czy niczego nie zauważyła? Czy miała okres? Odpowiada mi, →



Przystań Medyczna. Wolontariusze – Jędrzej Kubala i Zygmunt Czyżycki oraz dr Maria Maciaszek w biurze organizacji. Kraków, 5 lutego 2025 r.

→ że nigdy nie miała regularnych miesięcy. Na ulicy zdarza się to często, trudne warunki, złe odżywianie – wyjaśnia Katarzyna.

Wszystko wyglądało na historię z happy endem. Kobieta z dzieckiem trafiła do domu samotnej matki, partner odwiedzał ją regularnie, potem udało się im wynająć mieszkanie. Wolontariusze świętowali z nimi pierwsze urodziny dziecka, miały być chrzciny. Ale doszedł alkohol, kobieta rozstała się z partnerem.

– Nie wiem, gdzie teraz jest, gdzie jest jej były partner. Wiem tylko, że dziecko trafiło do domu dziecka – opowiada Katarzyna. – Trudno oczekiwać, że każda historia skończy się happy endem. Zwłaszcza na ulicy.

Cierpliwość i akceptacja

Maria wspomina, że jej też na początku wydawało się, że to takie proste: pójdą, pomogą... Bo przecież na ulicy wszyscy tylko czekają, żeby do nich wyciągnąć rękę. Rzeczywistość okazała się inna. Maria przyznaje, że bywała sfrustrowana bezsilnością. Czasem chciała rozszarpać jednego czy drugiego, gdy miesiącami naprawiała mu życie, a on znowu wracał do punktu wyjścia. Z biegiem lat i kolejnymi rozmowami przyszło zrozumienie, że nie każdy jest gotowy, nie każdy chce, nie każdy może lub potrafi. Że bezdomność jest znacznie bardziej skomplikowana i nie da się kogoś tak po prostu „naprawić”.

– Na pewno przybyło nam pokory, cierpliwości i akceptacji dla drogi drugiego człowieka – mówi dziś szefowa Przystani.

I ona, i Piotr zastanawiali się, jak na bezdomność wpłynęła pandemia i wojna w Ukrainie. Ale liczba mieszkańców ulicy jest mniej więcej stała. Zmieniają się jedynie twarze – jedne znikają, pojawiają się nowe, niektórzy wracają po latach.

– Przybywa natomiast ludzi, którzy dbają o to, by osoby w kryzysie były lepiej odżywione, ubrane, zaopiekowane – mówi Maria.

Piotr zaznacza jednak, że Kraków to nie „Eldorado dla bezdomnych”, jak kiedyś usłyszał. Owszem, duże aglomeracje przyciągają, bo łatwiej w nich o anonimowość, a bezdomność to także poczucie wstydu. Mówi, że kiedy Zupa startowała, osiem lat temu, ktoś zapytał go o największe problemy ulicy. Wymienił brak pracy, środków do życia i dachu nad głową, używki. Dziś odpowiada inaczej.

– Samotność. Kiedy jesteś poturbowany przez życie i lądujesz na ulicy, a do tego dojdzie samotność, cholernie trudno jest nie poddać się myśli, że nic nie jesteś wart. A długotrwały brak poczucia własnej wartości prowadzi do wniosku, że już nic dobrego się w twoim życiu nie wydarzy – mówi.

I dodaje: – Odbudowywanie poczucia godności, wiary we własne siły i w to, że jeszcze nie wszystko stracone – to jest prawdziwie wyzwanie. Dużo trudniejsze niż danie komuś pracy czy dachu nad głową.

© ADA CHOJNOWSKA

Debiut Autorki na łamach „TP”

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

Kluby „Tygodnika Powszechnego” życzą redaktorom, autorom i wszystkim pracownikom pisma *wspaniałego jubileuszu, na miarę tych 80 niezapomnianych lat. Trwajcie dla nas, dając świadectwo czasom, w których żyjemy.*

- **KRAKÓW**, sobota 22 marca godz. 18.00, Celebracja jubileuszu pisma „80 lat Tygodnika Powszechnego w naszych wspomnieniach”, Piwnica Powszechna (Pijarska 5/20)

- **KATOWICE**, piątek 21 marca godz. 18.00, spotkanie autorskie z ks. prof. Alfredem Wierzbickim wokół tomiku poezji „Szyszka pinii”, sala Parnassos Biblioteki Śląskiej (Plac Rady Europy 1), transmisja online

- **SŁUPSK**, poniedziałek 24 marca godz. 17.00, spotkanie autorskie z Ignacym Dudkiewiczem wokół książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem”, miejska biblioteka publiczna (ul. Grodzka 3)

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

O. WACŁAW

Oszajca: Marzenie o idealnym Kościele



MÓWI SIĘ, ŻE JEŚLI CHCEMY ODNOWIĆ Kościół, trzeba wreszcie „uznać Jezusa za naszego Pana i Zbawiciela”, „zakochać się w nim do nieprzytomności” i skupiać przy świętych kapłanach i biskupach, wtedy Bóg sam dalej poprowadzi tę odnowę i stworzymy Kościół bez

żadnej skazy czy zmarszczki. Ale żeby stworzyć taką sterylnie czystą wspólnotę, najpierw trzeba zapomnieć, że Jezus nie po to wciąż gromadzi „rozproszone dzieci Boga”, żeby z nich i dla nich tworzyć rezerwat, gdzie jego wybrańcy jak zahipnotyzowani będą żyć niczym w bajce. Z historii Kościoła wiemy jednak, że ci budowniczości, gdy się tylko zorientują, że robota im nie idzie, więc raczej wcześniej niż później, zaczynają się nienawidzić i zmuszać Boga, przy pomocy „wstawienniczych” modłów, by uwiarygodnił ich wysiłki „znakami i cudami”. A jako że Bóg nie chce tej modlitwie ulec, wymuszają na sobie i innych składanie tzw. świadectw, by siebie i innych przekonać, że jednak Bóg ich wybrał i przez nich działa. Szkopuł w tym, że te świadectwa tylko dlatego są wiarygodne, że niemożliwe do sprawdzenia.

Bóg jednak robi swoje i jego Duch, budząc rozum i sumienie, wprowadza tych entuzjastów kryształowego Kościoła w „ciemną noc” – najpierw zmysłów, a potem umysłu. Rozczarowani „milczeniem Boga” i tępotą mniej od nich oświeconych popadają w bezsilność, strach i żal do wszystkich, z Bogiem na czele. Nie chcąc utracić resztek marzenia o idealnym świecie, zbudowanym według ich pomysłu, zaczynają szukać winnych, stąd swoisty „kult” diabła, moda na egzorcyzmy i potrzeba wroga. Kto nie jest nasz, jest „grzesznikiem większym od nas”, którego trzeba unicestwić.

Wiele na ten temat miałyby do powiedzenia Franciszki i nie tylko one. W rezultacie ci katarzy naszego wieku opuszczają Kościół, tracąc tym samym szansę na to, o czym marzą – na przywrócenie Kościoła ludziom i przez to Bogu. A przecież nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Tak jak „przemija postać tego świata”, przemija też postać Kościoła, gdyż Kościół że światem jest związany nierozdzielnie. Przecież to ten świat, piękny i szkaradny, jest domem Boga. Kościół nie potrzebuje ratunku, gdyż jego byt zabezpiecza Bóg. Ma być „szpitalem polowym”, w którym ludzie odzyskują nie tylko nadzieję, ale umiejętność wyprowadzania dobra również ze zła. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike. W „Tygodniku” publikuje od 1995 r.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Sprawdzian dla modlitwy



„PROŚCIE, A BĘDZIE WAM DANE; SZUKAJCIE, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam. Albowiem każdy, kto prosi, otrzymuje; kto szuka, znajduje; a kołaczącemu otworzą. Gdy któregoś z was syn prosi o chleb, czy jest taki, który poda mu kamień? Albo gdy prosi o rybę, czy poda mu węża? Jeśli więc wy, choć źli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim dzieciom, to o ileż bardziej Ojciec wasz, który jest w niebie, da to, co dobre, tym, którzy Go proszą. Wszystko więc, co chcielibyście, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie. Albowiem to jest istota Prawa i Proroków” – Ewangelia miniego czwartku (Mt 7, 7-12).

Jednym z ważnych kluczy otwierających tę Ewangelię jest fragment: „każdy, kto prosi, otrzymuje”. Użyte tu greckie słowo *lambano* może oznaczać „otrzymywać”. Częściej jednak oznacza tyle, co „przyjmować”, „wziąć”. Możliwe więc jest tłumaczenie: „każdy, kto prosi, przyjmuje”. Potrzebujemy modlitwy, aby przyjmując Boże dary! Dlatego, że nierzadko w pierwszej chwili to, co daje nam Bóg, nie wydaje się nam łatwe do przyjęcia. Mamy wrażenie, że wcale nie otrzymujemy tego, o co prosiiliśmy. Modlitwa nie „czaruje rzeczywistości”, nie odwraca pojęć – nie nazywa kamieni chlebem ani węży rybami... Modlitwa ustanawia relację zaufania między nami a Bogiem. Z ręki Ojca może przychodzić wyłącznie dobro. Tak więc, tylko wtedy, kiedy się modłę, będę umiał przyjmować Boże dary. Kto wie, być może to jest nawet jeden z ważniejszych sprawdzianów mojej modlitwy: zamiast uparcie wmawiać Bogu, co uważam dla siebie za absolutnie konieczne, może lepiej starać się usłyszeć Jego słowo, którym objaśnia mi to, co otrzymuję i co mnie spotyka...

Nasza perykopa podpowiada nam jeszcze drugie kryterium jakości naszej modlitwy. Ukryte jest ono w dołączonej do rozważań o modlitwie złotej zasadzie: „wszystko więc, co chcielibyście, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie”. To znaczy: prawdziwa modlitwa uzdalnia mnie i przynagla do dobrego czynu. Doświadczyłem miłości Ojcowskiej i chcę się nią dzielić z innymi. W drugą stronę można powiedzieć: nie chcę prosić o to, czego sam nie mam ochoty dać!

Widać, jak dalece modlitwa spotyka się z życiem – objaśnia je i uruchamia. Jeśli tego nie czyni – czy jest jeszcze modlitwą? ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości. W „Tygodniku” publikuje od 1990 r.

WOJCIECH

Bonowicz: Wdzięczność



„NO I OBRZYDZILI MI SŁOWO »wdzięczność«,” mówi Bożenka, a ja przytakuję, bo myślę dokładnie tak samo. Takie piękne słowo – i nagle stało się w ustach polityków czymś podobnym do uderzenia w poli-

czek. „Bo nie byli dość wdzięczni...”, „Bo nie okazują dostatecznej wdzięczności...”. Już nawet ktoś zdążył zrobić wśród Polaków ankietę: „Czy Ukraina okazuje Polsce odpowiednią wdzięczność?”, i oczywiście pokazała ona, że większość uważa, iż nie okazuje. Po co tę ankietę zrobiono, nie wiem, chyba po to, żeby jeszcze bardziej podgrzać temat relacji polsko-ukraińskich. Jakby nie dość było szkód narobionych przez rosyjską propagandę, a także przez Mentzena i jemu podobnych.

Trzeba nazwać rzecz po imieniu: to jest małostkowe, a w momencie, w jakim jesteśmy – wręcz niegodne. Rozumiem rozmaite emocje, rozumiem rany przeszłości, rozumiem, że czasem realni uchodźcy nie pasują do wyobrażenia o uchodźcach. Owszem, w polityce także nasi sojusznicy popełniają mogą błędy: nie wykonać pewnych gestów, nie pomyśleć przed wykonaniem innych. Jest jednak czymś doprawdy okropnym domagać się wdzięczności od tych, którzy od kilku lat desperacko i z poświęceniem bronią się przed znacznie potężniejszym agresorem. Od tych, którzy musieli – wcale nie chcieli, nie planowali tego, zmusiła ich do tego rosyjska agresja – rozproszyć się po świecie, a są wśród nich tacy, którzy stracili wszystko i którzy każdego dnia drżą o swoich bliskich na froncie. Człowiekowi, który wie, że już do końca życia on i jego rodzina będą ścigani przez Rosjan i nie zazną spokoju, mówić: „W ogóle nie jesteś wdzięczny... Okaż więcej szacunku...”? Okropne. Okropne i okrutne.

Nieprzewidywalność w polityce jest męcząca, ale jeszcze do zniesienia. Brutalizacja języka i obyczajów – znacznie gorzej, bo podcina to, bez czego nie sposób zbudować niczego trwałego: zaufanie. Brak fundamentalnej kindersztuby, obcesowość, mieszanie z błotem, bullying (nękanie? zastraszenie? znęcanie się? nie ma dobrego polskiego słowa). Tak ma teraz wyglądać światowa polityka? Tyle było gadania o wartościach, a teraz nagle ci, którzy tak chętnie o wartościach rozprawiali, tłumaczą na wyścigi, że polityka to przede wszystkim gra interesów. Ze obcesowość i mieszanie z błotem to tylko forma,

„zajmowanie pozycji negocjacyjnych”. No cóż, chyba jednak nie tylko. Żeby było jasne: z serca życzę amerykańskiemu prezydentowi powodzenia w negocjacjach z Rosją. I życzę naszym rodzimym „trumpistom”, żeby się nie musieli za niego wstydić. Mam jednak głębokie przekonanie, że droga, jaką się odbiera, by osiągnąć cel, nie jest bez znaczenia. Jeżeli jest się aroganckim wobec aroganckich, to w porządku. Jeżeli jest się aroganckim wobec tych, którzy dzielą z grubsza te same wartości i chcą współpracować, to już w porządku nie jest, ale można od biedy przymknąć oko. Jeżeli jest się aroganckim wobec słabszych i zdesperowanych – to już wstyd.

A poza wszystkim: wizja, iż cały świat „wykorzystuje” Stany Zjednoczone i zachowuje się „niewdzięcznie” – wizja, która takie zachowanie ma usprawiedliwiać – jest głęboko nieprawdziwa.

Na temat wdzięczności jest piękny fragment w powieści Wiesława Myśliwskiego „Kamień na kamieniu”: „Jeszcze gospoda była prawie naprzeciwko gminy, po drugiej stronie drogi, to aby przez drogę. I wiadomo, wdzięczność nie rachuje, ty mnie tyle, to i ja tobie tyle, to mało kiedy skończyło się na jednym półlitrze. Bo wdzięczność nie kieszeń, ale dusza. A żeby nie wiem kto jak chytry był, to po półlitrze musi wyleźć z niego dusza. A wtedy to już dusza stawia, dusza płaci i od duszy do duszy jak przez próg do człowieka. Prócz tego zawsze się dosiadł ten czy tamten, bo jak nawet nie miał być za co wdzięczny, to chciał być wdzięczny na wszelki wypadek. Potem znowu ktoś i ktoś, i nieraz kto tylko był w gośpodzie. Bo kto nie chce być duszą, a nie tylko ciałem?”.

Tak właśnie jest: wdzięczność nie rachuje „ty mnie tyle, to i ja tobie tyle”. Wdzięczność to „nie kieszeń, ale dusza”. Chcesz być duszą, człowieku? Zastanów się, bo może się okazać, że nie masz nic więcej prócz kieszeni.

Jak Bożenka mi powiedziała o tym, co się stało ze słowem „wdzięczność”, to mi się zaraz przypomniało, że już raz w naszej powojennej historii coś podobnego się wydarzyło. Mianowicie, kraj pokryły „pomniki wdzięczności”, wiadomo, dla kogo. Taka była oficjalna wykładnia: że należy być wdzięcznym, a jeśli ktoś ma wątpliwości, niech spojrzy na pomnik. I piękne słowo „wdzięczność” – piękne, bo pochodzące od „wdzięku” – zaczęło się ludziom źle kojarzyć. Większość tych pomników nie tak dawno wyburzono, ale niektóre jeszcze stoją. I tak sobie myślę, słuchając tego czy owego: czy będziemy teraz stawiać nowe? I czy aby zaspokoją one apetyt tego, który dziś tak głośno wdzięczności się domaga? ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”. Debiutował na łamach „Tygodnika” w 1994 roku.

Czas mamy akurat dojmująco historyczny, każdy dzień unieważnia to, co było pewne jeszcze wczoraj. Jak w takim czasie obchodzić jubileusz 80-lecia pisma, które już tyle widziało? Przecież nie tak, żeby zajmować się tym, co już było. W czasie historycznym tylko przyszłość jest interesująca. Dobra tradycja „Tygodnika Powszechnego” każe się zająć przede wszystkim nią.



80!

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

ŚWIĘTUJEMY URODZINY:
80 LAT TEMU UKAZAŁ
SIĘ PIERWSZY NUMER
„TYGODNIKA”

RADOŚĆ MA PRZYSZŁOŚĆ

Na co dzień pracujemy dla Was tak, by całe nieprzebrane bogactwo świata opowiedzieć jasno i klarownie, by nieważne nie przesłaniało ważnego, by to, co lekkie i radosne, miało dostęp do Waszej uwagi, ale nie odbierało jej wrażliwości na powagę i ciężar ludzkich losów. Na czas jubileuszu postanowiliśmy zrobić sobie i Wam prezent, który odpowiada tej Tygodnikowej misji. Poprosiliśmy nasze znakomite Autorki i znakomitych Autorów, żeby podzielili się swoimi powodami do radości. I najlepiej, żeby to były radości, które mają przyszłość. Co nas cieszy i będzie cieszyć? Zastanówmy się, a potem dajmy to innym. Niech to będzie nasza elementarna odpowiedź na historyczny czas.

Piotr Mucharski, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”.
Debiutował na łamach w 1990 r.

OLGA DRENDA
JAKUB DYMEK
DARIUSZ ROSIAK
RYSZARD KOZIOŁEK
ZUZANNA RADZIK
TOMASZ STAWISZYŃSKI
AGATA KAŹMIERSKA
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
ELIZA KĄCKA
MAREK BIEŃCZYK
BARTOSZ MINKIEWICZ

O TYM, CO NAS DZISIAJ CIESZY

Zmierzch kombinatorów

OLGA DRENDA

Ciesz się mnie społeczny klej. Jest bezpieczniej, życzliwiej, swobodniej. Normalniej.

W „ZAPISKACH NA BILETACH”, zebranych tekstach z podróży po wczesnomilennijnej Polsce, Michał Olszewski wspomina współpasażera z pociągu, który woził ze sobą własnoręcznie skonstruowaną blokadę do drzwi. Chcąc się zdrzemnąć, blokował przedział od środka, uniemożliwiając włamanie potencjalnym napastnikom. Pasażer ten radził sobie w sposób spektakularny, ale zgodny z wiedzą potoczną, która zalecała ostrożność, gdyż podróż pociągiem, zwłaszcza nocnym, oznaczała wówczas ryzyko rozboju. Potwierdzały to statystyki ogólnej przestępczości, o wiele wyższej niż dziś.

Statystyki łatwo znaleźć w rocznikach, lecz wiedzę potoczną zapisze jedynie czujny badacz-etnolog, pisarz lub reporter – a więc zwyczajnie siadania na torbie, przygniatań jej głową, chowania gotówki w wewnętrznej części ubrania lub charakterystyczne zapytania: „czy może mi pan rzucić okiem na bagaż?”. W pociągu i autobusie, na ulicy – zagrożenia; w pracy – wykorzystywanie; w urzędzie – upokorzenia; na przystanku – „na co się gapisz?”. Taki obraz umowne 20 lat temu wyłaniał się z kronik sądowych i policyjnych, ale zapewne jeszcze bardziej ponuro malował się w przekonaniach obywateli.

Zaczynam od anegdoty, by zarysować szerszy pejzaż. Takich praktyk dziś już się nie spotyka; w pociągach zdarza się wręcz, że pasażerowie zostawiają na siedzeniach torby, nie biorąc nawet pod uwagę, że ktoś mógłby je przywłaszczyć. Owszem, kolej w ostatnich dekadach się nie tylko odbudowała, ale i nieco odemokratyzowała – na wielu liniach miejscówki są obowiązkowe, bilety podróżne, a bezprzedziałowy tabor ułatwia wzajemny nadzór. Przystępność także ewoluowała: zrabowanie spersonalizowanego smartfona, którego nie da się samodzielnie rozkręcić, to niezbyt opłaczalny wysiłek, mało kto też nosi ze sobą

gotówkę; bardziej dochodowa branża to wyłudzenia w internecie.

Tak, obiektywnych przyczyn zwiększenia bezpieczeństwa jest wiele. Tyle że wiedza potoczna lubi się od obiektywnego stanu rzeczy uniezależnić i trwać mimo zmiany; pisał o tym już Kazimierz Wyka w słynnej, wielokrotnie przydatnej książce „Życie na niby”. By wyszła z użytku, potrzebne jest jeszcze coś mglistego, co trudno ująć w statystykach – powszechne przekonanie. A zatem – najwidoczniej musimy w dzisiejszej Polsce czuć się wśród innych swobodnie, nie podejrzewając bliźniego o wrogie zamiary.

To zjawisko o tyle ciekawe, że częściowo przeczące statystyce. W badaniach CBOS dotyczących zaufania społecznego ankietowani od lat deklarują zbliżoną postawę ostrożności. Niezależnie od tego, ile wynosi przeciętna pensja i kto jest premierem, Polacy twierdzą, że bezpieczniej jest raczej nie ufać niż ufać innym. Nie zawsze jednak deklarowane przekonania muszą mieć przełożenie na życiową praktykę. Czyli mówimy, być może, z przyzwyczajenia, że nie ufamy – ale jednak zachowujemy się tak, jakby było odwrotnie. Społeczny klej działa gdzieś w sposób niewidoczny w tle.

GDY PRZYJRZYMYSIĘ badaniom spójności społecznej, regularnie przeprowadzanym przez GUS, łatwiej zrozumiemy niuanse i pozorne paradoksy. Zapytani oceniali dopuszczalność różnych zachowań, które w różnych okolicznościach mogłyby zostać uznane za etycznie względne. I tak bardzo krytycznie oceniano niedbalstwo w pracy, wykorzystywanie stanowiska zawodowego dla osobistych korzyści, przywłaszczanie źle wydanej reszty, jazdę na gapę, a przede wszystkim łapówki. Brzmia znajomo? Tak – jak „kombinowanie” i „załatwianie”, czyli abecadło człowieka zwanego zaradnym w epoce PRL.

Wyka we wspomnianym „Życiu na niby”, osobistym świadectwie, w którym opisywał sposoby nielegalnego, lecz koniecznego codziennego radzenia sobie Polaków w warunkach niemieckiej okupacji, wyrażał nadzieję, że „gospodarka wyłączona”, czarny rynek, drobne dywersje, łapówki, czyli wszystko to, co w czasach wojny było niezbędne cywilom do przeżycia – w czasach pokoju wyjdzie z użytku, a ludzie naturalnie przejdą w tryb uczciwości. Okazało się, że nie miał racji i równoległy obieg towarów i usług, czyli kombinowanie, załatwianie, „chody” – w PRL ugruntowało się jeszcze mocniej, stając się nieoficjalnym, ale powszechnie podzielanym kodeksem postępowania.

To tryb, w którym nielegalna opcja staje się domyślną – w połączeniu z przekonaniem, że instytucjom i procedurom nie ma co wierzyć, prawo i przepisy to pic na wodę i fotomontaż, a system jest skonstruowany tak, że wręcz trzeba go wykiwać, bo inaczej samemu zostanie się wykiwanym – przez współkolejkowicę, urzędnika, sprzedawczynię. Była to ówczesna wiedza potoczna, która przetrwała jeszcze przez pewien czas po roku 1989, zwłaszcza gdy do tego dołączyła pazerność raczkującej, ale już bezwzględnej gospodarki rynkowej.

OBCENOŚĆ „SPOŁECZNEJ PRÓŻNI” zdiagnozował pod koniec lat 70. socjolog Stefan Nowak. Chodziło o zjawisko, w którym ludzie czuli więź i lojalność z bliskimi, nieformalnymi grupami, jak rodzina i przyjaciele, a także z abstrakcyjną, uczuciową wspólnotą wszystkich Polaków, jednak pomiędzy tymi warstwami nie dało się zauważyć poczucia wspólnoty czy wzajemnej odpowiedzialności. Euforia pierwszej Solidarności, która rozpoczęła się wkrótce po prelekcji badacza, rozbudziła nadzieję na zmianę tego stanu rzeczy, jednak już w drugiej połowie dekady, a zwłaszcza w czasie transformacji socjologowie musieli przyznać rację gorzkim rozpoznaniem Nowaka, kreśląc smutny obraz osamotnionego społeczeństwa ludzi wzajemnie sobie wrogich i podejrzliwych, do opisu którego pasowały terminy takie jak apatia i znieczulica.

Z ARCHIWUM „TP”



List do redakcji

Uważam, że Panowie za dużo umieszczają artykułów opisujących subiektywne wrażenia autorów. „Podróż do Rumunii” powinna nosić tytuł: „Moje wrażenia i poglądy na tle rumuńskiego krajobrazu”. Inne tytuły wyglądałyby tak: „Moje refleksje w czasie jazdy kajakiem...”, „Jakie uczucia budzi w mojej duszy książka...”, „Jak się sprawdzają moje poglądy polityczne w świetle obecnych wydarzeń...”

„TP” 9/1986

W tej próżni ludzie praktykowali wciąż strategię „życia na niby”, przylegając do relacji nieformalnych i prywatnych. Ukrytym kosztem tej struktury było postrzeganie więzi międzyludzkich jako obciążonych długiem – za przysługę, załatwienie czegoś należała się wszak odpłata. Wiązało się to często z pogłębianiem wzajemnej rezerwy, by długu przypadkiem nie zaciągnąć, godząc się na pomoc czy życzliwy gest – z założenia bowiem nie mogły być one darmowe. Kto jest wobec nas życzliwy – na pewno będzie czegoś chciał.

Nawet niewinne z pozoru hasło „żyć z ludźmi dobrze” miało do niedawna złowrogi wydźwięk: nie zadłużać się i nie podskakiwać. W odniesieniu do formalnych stosunków panowało zaś przekonanie o katakumbach rodem z PRL, o urzędowych labiryntach służących przeczołgananiu czapkującego petenta czy wręcz celowym zatajaniu wiedzy przez fachowców, by zyskali coś więcej dla siebie.

TEN STAN RZECZY zmieniło kilka czynników – procesy indywidualizacji, przeobrażenia gospodarki, rozproszenie ludzi motywowane nauką i pracą, pojawienie się internetu, a co za tym idzie: modernizacja usług publicznych.

Kluczowym i najprostszym pozostają oczywiście pieniądze. Czy to one za-

sypały społeczną próżnię? Nie staliśmy się nagle społeczeństwem krezusów, lecz z pewnością w porównaniu z realiami sprzed kilkunastu lat możemy mówić o większej stabilizacji. Pieniądze – możemy zaryzykować – umożliwiły większą transparentność, zwalniając ludzi z niewidzialnego długu. Część obowiązków wypełnianych przez rodzinę i znajomych zajęły przejrzyste transakcje: płacąc za podwózkę, pomalowanie mieszkania czy przypilnowanie dziecka nie musimy zaprzętać sobie głowy długiem wdzięczności, a z rodziną i znajomymi spędzam

cenny czas wolny. Co to zmienia w wiedzy potocznej? Zapewne dodaje cennego dla Polaków poczucia normalności.

Nasze wzajemne relacje pozbawione zostały ciężaru przymusowej wzajemności, a jednocześnie stały się luźniejsze i być może bardziej powierchowe; znajdziemy na ten temat wiele diagnoz, również w „TP”. Paradoksalnie jednak może sprawiło to, że nasz niewidzialny klej społeczny stał się mocniejszy. Nie zmieniliśmy się przecież nagle w naród palący się do zrzeszania w organizacjach. Nasze (nie wyłączając mojego!) samosiostwo i zamiłowanie do świętego spokoju się nie zmienia – lubimy mieszkać w domkach za ogrodzeniem, prowadzić własne firmy, jeździć własnym autem, a w pociągu zakładamy słuchawki. Możemy jednak zaryzykować twierdzenie, że uznaliśmy, iż neutralnie życzliwe relacje z innymi i zakładanie wzajemnej nieszkodliwości są najnormalniejsze i najbardziej opłacalne. ©

Autorka jest pisarką i etnologą, dyrektorką programową Festiwalu Conrada. Za „Wyroby. Pomysłowość wokół nas” otrzymała Nagrodę Literacką Gdynia, ostatnio opublikowała „Słowo humoru”. Z „Tygodnikiem” współpracuje od 2015 r., od 2022 r. jako felietonistka.

BARTOSZ MINKIEWICZ



Autor jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater. W „Tygodniku” publikuje komentarze rysunkowe od 2014 r.



Marcin Wicha był grafikiem, projektantem i pisarzem. Na łamach „Tygodnika” w latach 2007-2014 tworzył komentarze rysunkowe z cyklu „Wichajster” (wybór przedstawiamy powyżej), publikował też felietony. Autor m.in. książek „Jak przestałem kochać design” (Karakter, 2015), „Rzeczy, których nie wyrzuciłem” (2017) i „Kierunek zwiedzania” (2021). Zmarł 24 stycznia 2025 r.

MARGIN WICHA ■ Z ARCHIWUM „TP”

Świat bez lajków

JAKUB DYMEK

Ciesz się, że jako milenials zobaczyłem lepszą stronę cyfrowej rewolucji. I że wiem jeszcze, co to życie offline.

ZAKRĘĆ GLOBUSEM, WSKAŻ PO OMACKU JEDNO MIEJSCE na świecie, a z dużym prawdopodobieństwem – nieważne, czy chodzi o Koreę, USA, Polskę, czy Wielką Brytanię – trafisz na podobną historię o toksycznym koktajlu, który zatruwa życie społeczne i koroduje międzyludzkie relacje. Badania wskazują, że rośnie odsetek młodych ludzi, którzy skarżą się na samotność, spada zaś odsetek tych, którzy budują związki, tworzą pary lub choćby w ogóle uprawiają seks. Towarzyszy temu większa polaryzacja płci – czyli niespotykany we wcześniejszych dekadach rozjazd preferencji politycznych mężczyzn i kobiet. W niektórych krajach wykres zadowolenia z życia zaczyna przypominać rozłożoną na osi czasu odwróconą literę U. To znaczy, że w skali całych społeczeństw obserwujemy – zamiast kryzysu wieku średniego! – kryzysy wieku młodzieńczego i podeszłego. Jeśli zaś jakaś miara stabilnie rośnie, to czasu spędzanego w domu czy mieszkaniu. Niekoniecznie bez kontaktu z innymi – ale nie bezpośrednio, tylko poprzez ekran smartfona, monitora albo telewizora. Komfort własnych czterech ścian nie tylko nie zbrzydł nam po pandemii Covid-19, ale być może to okopanie się w bezpiecznej twierdzy, na cyfrowy dystans od innych, naprawdę przypadło nam do gustu.

Byłoby czymś dziwnym, gdyby to akurat ludzie mieszkający w dużych aglomeracjach, aktywni zawodowo lub studiujący, wykształceni, posiadający kompetencje cyfrowe oraz środki do tego, by oddawać się rekreacji i uczestniczyć w kulturze, doświadczali samotności w największym stopniu. A jednak to właśnie mówią badaczom – choćby w Polsce, gdzie według CBOS to właśnie takie osoby częściej skarżą się na samotność.

Być może zjawisko, o jakim tu mowa, to jednak coś nieco innego niż „samotność”. Raczej „odosobnienie z wyboru”. Czyli rozgoszczenie się w świecie cyfrowych usług, które uczyniły z życia z dala od innych kuszącą, wygodną i niewymagającą alternatywę. W porównaniu z nimi życie offline zdaje się coraz większej rzeszy osób trudne, pełne nieprzyjemności i niebezpieczeństw, zbyt wolne i obojętne na naszą potrzebę natychmiastowej gratyfikacji.

DLACZEGO O TYM PISZĘ? Bo gdy redaktor zapytał, co mnie cieszy – w pierwszym odruchu podałem odpowiedzi związane z cyfrowym eskapizmem: rower i góry. Po namyśle jednak uznałem, że chodzi mi tak naprawdę o coś innego. Nawet w górach i na kolarskiej eskapadzie jesteśmy przecież istotami cyfrowo

społecznymi. I nęci nas pokusa udokumentowania piękna natury czy sportowych emocji za pomocą zdjęć i nagrań na tych samych platformach cyfrowych, od których rzekomo uciekliśmy, z dala od własnego *home office* i zasięgu sieci komórkowej. To, co mnie zatem cieszy tak naprawdę, ma związek z pokoleniowym momentem, w jakim te technologie zdominowały nasze życie.

Uważam, że jako milenialsi mieliśmy szczęście zobaczyć lepszą stronę cyfrowej rewolucji. A nawet może jej dwie lepsze strony. Jako dzieciaki późnych lat 90. i początku XXI wieku dorastaliśmy w czasach, kiedy gry wideo i internet nie istniały jeszcze w oderwaniu od społecznej infrastruktury, same dla siebie. To znaczy, że jedyny kolega na osiedlu, który miał wypalarkę płyt CD (podobnie jak wcześniej ten jeden, który miał amigę; potem ten, który miał cyfrowy aparat i drukarkę; albo ten, który miał dostęp do szybkiego łącza), cieszył się specjalnym prestiżem. I to do niego trzeba było pielgrzymować, aby dosłownie kserować internet.

I pewnie dlatego bardzo rezonuje we mnie uwaga Ta-Nehisi Coatesa, który napisał kiedyś, że przeżył dzieciństwo w czasach, w których gdy nie zobaczyło się czegoś na żywo, w czasie rzeczywistym – koncertu, meczu czy medialnego skandalu – to jakby nie zobaczyło się go wcale. Coates opłakiwał ulotność, której przepastne i wciąż rosnące archiwum wszystkiego w sieci położyło kres.

NASZA GENERACJA MIAŁA JUŻ DOSTĘP do coraz większych ilości cyfrowych rozrywek i bogactwa kultury w sieci. Ale aby „zobaczyć powtórkę” – czy raczej uzyskać piracką kopię – filmu czy meczu, musieliśmy uruchomić całą maszynę społecznych kontaktów i koleżeństwa. Nie tyle dojrzewając w internecie, co z nim – jako wydzieloną i podporządkowaną innym porządkom częścią życia. Idea, że ktoś robi coś tylko na potrzeby swojej cyfrowej osobowości, szukania prestiżu w świecie online albo dla niepoliczalnej waluty lajków, nie istniała. Cyfrowe możliwości i koneksje były zaś warte tyle, na ile mogły przydać się w świecie offline – a nie odwrotnie. Wybór wirtualnej gratyfikacji ponad rzeczywistością byłby uznany za dziwactwo.

Później zaś, w czasach studenckich, kiedy platformy cyfrowe cementowały już swoją dominację, a coraz większa część życia przenosiła się do sieci, nie były one na tyle silne i atrakcyjne, by unieważnić lata socjalizacji w świecie epoki przedsmartfonowej. A na tyle atrakcyjne, by – przy całej zasłużonej krytyce, jaka je spotyka – uczynić życie atrakcyjniejszym. I uchylić szeroko drzwi do światowej kultury i wszech-archiwum, którego nie miał młody Coates oraz o dekadę młodszy ja.

Z dzisiejszej perspektywy to zresztą były i tak czasy ich – to znaczy mediów cyfrowych i platform – niewinności. Bez panik fejk newsów i dezinformacji, uzależniających nas od ekranów pętli dopaminowych oraz zalewu algorytmicznie generowanego ścieku treści, o które nikt nie prosił.

Jeśli więc jest coś, co mnie cieszy w dobie samotności z wyboru i zamknięcia w cyfrowych twierdzach własnych czterech ścian, to fakt, że doświadczyłem życia – i on-, i offline – gdy mieliśmy lepsze opcje. ©

Autor jest kulturoznawcą i publicystą, współtwórcą podcastu „Dwie lewe ręce”. Z „Tygodnikiem” współpracuje od 2017 r.



- OKŁADKI „TYGODNIKA”**
- 14/2014 aktualny format
 - 49/2007 pierwsza zmiana formatu
 - 1/2007 wydanie trzytysięczne
 - 18/2004 Polska w Unii
 - 6/1999 śmierć Jerzego Turowicza
 - 23/1989 wybory 4 czerwca
 - 1-21/1982 wznowiony po wybuchu stanu wojennego, z żałobną, czarną winiętą
 - 43/1978 kard. Wojtyła papieżem
 - 8/1953 ostatni przed odebraniem redakcji tytułu na trzy lata za odmowę druku nekrologu Stalina
 - 1/1945 numer pierwszy

Zawodowo zapisuję pamięć. Jako reporter rozmawiam z ludźmi, rejestruję dźwięki otoczenia, wyłuskuję szczegóły. Na początku są zmysły: słyszę, widzę, dotykam, wącham, smakuję. Włączam reporterski dyktafon, on wszystkiego nie zapisze, ale jest dobrym narzędziem do łowienia detali, które umykają w czasie rzeczywistym. Czasem odnajduję na nagraniach rzeczy, o których istnieniu nie wiedziałem: niezauważone wcześniej zdanie wypowiedziane przez bohatera, śpiew ptaka, kroki przechodnia, trudny do zidentyfikowania szum, który intryguje. To dla mnie bezcenne drobiazgi, a ich odkrywanie to największy dar i największa radość dla mnie jako reportera.

PRZEDSTAWIAM NIEKOMPLETNA LISTĘ rzeczy, które bardzo cieszą mnie prywatnie: miód, raczej skryształizowany, żeby lepiej się rozsmarowywał na litewskim chlebie, ale płynny też, wiejskie Matki Boskie przy drodze, głązy na polu – czas w formie ciała stałego; cykanie świerszczy, skrzeczenie żab, klekot bocianów, zając z uszami jak peryskopy nad zbożem, pszczoły w chmurze nad lipą, patrzenie całymi dniami na to samo drzewo, mycie się w zimnej wodzie, pływanie, chodzenie, nicniemówienie, jedzenie lodów na murku przed wiejskim sklepem, jeżdżenie na rowerze, godzinami opędzając się

przed komarami, które chyba uwielbiają pot, a potem wypicie dwóch łomz, pierwszą jednym haustem, drugą powolutku, gwałtowne burze z piorunami, w trakcie których trzeba wyłączyć światło, a i tak nie ma pewności, że komputer przetrwa, a w ogóle to trzeba było nie brać. Kilka lat temu wyszedłem w nocy przed dom i zobaczyłem na rozgwieżdżonym podlaskim niebie pociąg Starlinków. To było jeszcze, zanim wiedziałem, co to jest. Pomyślałem, że trafiłem we śnie do filmu Spielberga, i ucieszyło mnie to.

Powyższa lista dotyczy lata, czyli pory roku, w której wszystko jest bardziej: bliżej, gęściej i wyraźniej. Na trzy miesiące w roku, teraz coraz dłużej, nad Polskę nadciąga szarobura smuta jesienno-zimowa, w której znikają zapachy i gasną kolory, bo znika słońce. Ciała chronią opasłe palta i grube czapki, w szarości trudniej dostrzec drugiego człowieka. Ze świata na wskroś fizycznego przechodzę wtedy w rzeczywistość zapośredniczoną: książki, filmy, internet. Obce światy, które mogą zostać oswojone i nieść w sobie radość, pod warunkiem, że dobrze wybierzemy.

Pięć lat temu, gdy świat opanowała zaraza covidu, nie mieliśmy wyboru i wielu przepowiadało wówczas, że nie wróci do nas dotyk, zmysłowość, nie wróci fizyczność. Nie mieli racji. Bliiskość wróciła, bo świat oglądany i do-

świadczany z bliska jest naszym naturalnym środowiskiem, nie chcemy się go wyrzekać, nie warto. A poza tym wszystko wcześniej czy później wraca na swoje miejsce. I to mnie cieszy.

OTO MOJA NIEKOMPLETNA ZIMOWA LISTA rzeczy, które mnie cieszą: śnieg biały w mieście bez śladów kół, zwiędłe liście fruujące po ulicach na wietrze, chodzenie na piechotę po Warszawie bez względu na pogodę, odrywanie cen z płyt kompaktowych, przeglądanie mojej bogatej kolekcji cukrów z kawiarni na całym świecie, obsesyjne zmywanie naczyń.

Tej zimy czytałem powieść „Lekcje” Iana McEwana. W jednej ze scen bohater książki idzie na koncert Boba Dylana w sali Earl’s Court w Londynie 26 czerwca 1981 r. Też na nim byłem i podobnie jak dla bohatera, ten koncert był dla mnie ważnym przeżyciem. Może nawet spotkaliśmy się tego dnia. Włączyłem to odkrycie do mojej pamięci, jest dzięki niemu bogatsza. Takie rzeczy mnie cieszą. ©

Autor jest dziennikarzem radiowym, prasowym i reportażystą. Twórca i główny prowadzący „Raportu o stanie świata”, autor wielu książek, m.in. „Baumana”, „Żaru” i „Oblicz Wielkiej Brytanii”. Dziennikarz Roku 2020 w konkursie Grand Press. Z „Tygodnikiem” współpracuje od 1997 r.

BARTOSZ MINKIEWICZ



Ludzkość nad wodą

■ Z ARCHIWUM „TP”

SŁAWOMIR MROŻEK

■ | Od pewnego czasu czuję się śledzony. Wszędzie czuję za plecami jego obecność. Dokądkolwiek idę, on idzie za mną, a kiedy jestem w domu, czai się w bramie naprzeciwko. Nie to mnie niepokoi, że jest ptakiem, ściślej mówiąc strusiem australijskim. Niepokoi mnie podejrzenie, że to nie jest struś, ale ktoś inny, przebrany za strusia.

„TP” 48/1991

■ | – A dokąd to pan emigruje?
– Jak to dokąd, na Zachód.
– Jeżeli tak, to jest pan na dobrej drodze. Za tym horyzontem, w kierunku którego pan się posuwa, znajduje się Kamczatka, dalej Syberia i cały piękny i żyzny Kraj Rad. A gdyby pan chciał jeszcze trochę dalej, to trafi pan do Polski.

– O Jezu!

„TP” 35/1991

RYSZARD KOZIOŁEK

Ciesz mi, że moja rzeczka jest coraz czystsza. Zaczęliśmy znów na nią patrzeć i widzieć wreszcie w jej brudnej toni swoje nieczyste sumienie. Ale też plan odkupienia.

WYSTARCZY, ŻE KTOŚ UŻYJE PRZY MNIE SŁÓW „strumień” lub „potok”, natychmiast się uśmiecham. A kiedy używający tych pięknych nazw dodają odpowiedzialnie przymiotnik „czysty”, do uśmiechu dołącza się pragnienie, aby niezwłocznie do tego strumienia lub potoku wejść i w nim brodzić.

„Powoli, krok za krokiem, wstępowałem w wasze wody / I nurt mnie podejmował milcząco za kolana” – pisał Czesław Miłosz o swojej miłości do rzek. Podzielał ją, z tą różnicą, że uwielbiam rzeki niezęglowne i niespławne, których głębokość jest na ludzką miarę zdjętych spodni lub podkasanej spódnicy. Ciesz mi niezmiennie melodia, widok i zapach płynącego, zwłaszcza w górach, potoku. Ruchliwa zmienność płynnej materii; jej nieustające próbowanie się z ziemią, skałą, korzeniami, którym ustępują lub je kształtują. Bystra szybka woda, a przecież do zgłębienia, do przebycia, do przeniknięcia wzrokiem. „Ta przejrzystość sprawia, że rzeczka jest piękniejsza od wszelkich rzek, najpiękniejsza” – zachwycał się Olek Nawarecki pochylony nad „Rzeczka” Tuwima. Potok nie skrywa, nie może skryć życia, które w nim się dzieje. Wszystko, czym jest, można mieć na dłoni. Przez chwilę. Wyjęte z potoku – ryba, roślina, kamień – umiera, marnieje, brzydnie.

„Potok był istotą żywą, ściśle współżyjącą ze słońcem. Był przesy-

cony jego blaskiem, nie tylko odbijał słońce, ale wciągnął jego promienie, nasycił się nimi, błyszczał i świecił wśród kamieni i kęp smreków. Potok miał liczne wodospadziki i większe wodospady, niektóre naturalne, inne sztuczne, a pod wodospadami były płosa, głębokie i pełne dziwów. Jasna, świecąca i przejrzysta woda w płosach stawała się ciemna i tajemnicza. Może dlatego, by ukryć mieszkających tam utopców, tajemniczych mieszkańców wód, wciągających nieostrożnych ludzi na dno. W płosach były pstrągi ciemne i zwinne i jeśli podchodziło się cicho, można było je zobaczyć grzejące się w słońcu na płyciźnie, ale znikające szybko czarną smugą w głębinie” (Jan Szczepański „Gościradowiec”).

NIESKOŃCZONE PRÓBY ZATRZYMANIA POTOKU DLA SIEBIE i w sobie sprawiają, że przez całe życie wracam w ich wody, ciągnąc tam naszych synów, kiedy byli mniejsi. Nie tylko dla zabawy, ale jakbym w ten sposób chciał im powiedzieć, że jeśli im się to podoba – to, że jesteśmy razem w nurcie strumienia, radośni mimo grabiejących stóp i dłoni, że to jest życie! Które im bardziej ich zachwyci, tym zachłanniej będą próbować utrzymać je w dłoniach; jak tę wodę; jak tę rybę, „po którą trzeba wejść do potoku i macać rękami pod stromym brzegiem i wśród kamieni. (...) Na to nie może sobie pozwolić nikt, kto ma skłonności do kataru, anginy, kogo dręczy ischias albo reumatyzm. Woda w potoku ma teraz na początku lata najwyżej dziesięć stopni” (Jan Ryska „Dziennik pokładowy, czyli o przygodach Buddy, Fai i Szeryfa”, przełożył Antoni Kroh).

I jeszcze to, że kiedy jestem nad czystym strumieniem, wówczas dwie siły przejmują nade mną władzę. Jedna ciągnie mnie w górę. Brzegiem lub pod dnem, ale zawsze pod prąd, do źródła. Kto wie, ile biegów bym zmierzył własnymi stopami, gdyby nie siła druga, z pierwszą prostopadle sprzeczną. Ona pcha mnie tam i z powrotem na drugi brzeg, bo przecież to miejsce, to zakole, ten jaz, ta bystrzyna...; ich uroda spr-

wia, że porzucam rzeczny dylemat „skąd-dokąd” i wchodzę wciąż w tym samym miejscu do zawsze innej wody, z którego zachwycona radość nie pozwala się ruszyć. Znad Jasionki, Bajerki, Jurgowskiego Potoku, Białki, Szerokiego Potoku, nienazwanych strumieni spływających sezonami ze zboczy Błatniej.

WYGNANY DOBROWOLNIE DO MIASTA, mieszkam nad rzeczką, która płynie przez kawałek Górnego Śląska, przecina środek Katowic, mija kampusy dwu uniwersytetów i wpada do Brynicy. Nazywa się Rawa i nie ma prawa do tytułu „rzeki”, gdyż pod koniec XIX w. kopalnie pozbawiły ją naturalnych źródeł. Wraz z nimi wyginęły ryby i większość naturalnego środowiska. Kapryśną i skłoną do wylewów Rawę okiełznaliśmy betonowym korytem z wysokimi brzegami; wypełnili deszczówką, wodami gruntowymi i ściekami. Przykry zapach i ponury kolor uczyniły z niej obiekt wstrętu, więc w miastach ukryliśmy ją pod powierzchnią ulic.

Ustępujący przemysł ciężki oddaje pole naturze, stąd od jakiegoś czasu woda w Rawie jest czystsza, wraca roślinność nad brzegi i na dno. Zaczęliśmy znów na nią patrzeć i widzieć wreszcie w jej brudnej toni swoje nieczyste sumienie.

Ale też plan odkupienia. Od kilku lat uczymy się wspólnie z naukowcami, samorządowcami, aktywistami, jak spłacić dług wobec Rawy i oddać mieszkańcom i przyrodzie czystą rzekę. To jest możliwe. Niemcy zrobili to z cztery razy dłuższą niż Rawa i równie zdegradowaną rzeką Emscher. Ścieki poszły do kanałów, rzekę i jej dopływy wypełniły wody naturalne, w wielu miejscach pojawiły się rozlewiska, woda meandruje; do niej i nad nią wróciły zwierzęta, rośliny i ludzie. Wiemy, jak to się robi, ale zachowujemy się, jakbyśmy nie wiedzieli, czyli nie działamy.

BYĆ MOŻE DO DECYZJI POTRZEBA MĄDROŚCI DZIECKA. W ubiegłym roku 25 maja odbyło się nad Rawą pierwsze Święto Rzeki. Dziewczyny tworzące kolektyw „Siostry Rzeki” weszły do jej brudnej toni, tańcem i śpiewem przyzywając wszystkich na pomoc. A dzieci tłumaczyły nam dorosłym, dlaczego miastu potrzebna jest czysta rzeka.

„Przecież rzeka była pierwsza, więc po co miasto rzece.”
 „Chcemy rzeki, bo jest bardzo dobra.”
 „Żeby słyszeć szum. Spacerować i słyszeć szum.”

„Jak jest lato, to przydaje się taki chłód rzeki.”
 „Ludzie będą mogli się tam napić albo pochłapać tak samo jak psy.”
 „Chcemy ryb zamiast śmieci.”
 „Rzeka w mieście jest potrzebna, bo może zrobić prąd. Bo może załadować baterie w telefonie.”
 „Będzie rzeka, będzie most. Będą strony połączone. Będą widoki.”
 „Jeszcze nigdy nie jechałem nad rzekę z rodzicami.”

Nie umiałbym znaleźć lepszych argumentów. Czerpię z nich nie tylko nadzieję na dobrą przyszłość Rawy, ale i przekonanie bardziej fundamentalne. Żeby nie odrzucać kłopotliwego dziedzictwa człowieka. Krytykować je, ale nim nie pogardzać, gdyż jest świadectwem, że my, ludzie, mamy w sobie zdolność nieustannej samonaprawy.

I to mnie pociesza.

©

Autor jest literaturoznawcą, historykiem literatury i eseistą. Rektor Uniwersytetu Śląskiego, laureat Nagrody Literackiej Gdynia za esej „Ciała Sienkiewicza”. Ostatnio opublikował „Czytać, dużo czytać”. Z „Tygodnikiem” współpracuje od 2003 roku.

BARTOSZ MINKIEWICZ



Tkam pajęczynę

■ Z ARCHIWUM „TP”

Gdzie czytać „Tygodnik”?

JÓZEFA HENNELOWA

wieloletnia redaktorka, publicystka
i felietonistka

Odpowiedzmy miejscownikom: w domu przy biurku albo przy stole, w bibliotece przy pulpicie, w wagonie kolejowym, w tramwaju, na ławce w parku. Nie wszędzie da się? Dlaczego? Podobno z powodu wielkości stron, nieraz od góry do dołu zadrukowanych. Ale czy to aby prawda?

(...) Przystępność może być celem sama dla siebie i cechować teksty, w których autor do powiedzenia nie ma nic a nic. A wtedy biada nam – przystępny „Tygodnik” piszący o niczym nie miałby żadnej racji bytu. Nawet gdyby dało się go faktycznie czytać (a może raczej przeglądać) nie tylko w pociągu, ale nawet w metrze i na ruchomych schodach.

(...) Doradca przekonał redaktorów, by z tytułów usuwać znaki zapytania, mające ponoć świadczyć, że redakcja „nie wie do końca, czy to, co pisze, to prawda”. Otóż tytuł ze znakiem zapytania wcale nie musi być hamletyzowaniem albo ostrożną kombinacją. Może być zaproszeniem do myślenia albo nawet oczekiwaniem, że to czytelnicy odpowiedzi udzielą.

„TP” 17/2001



JEDNA Z REKLAM
W WYDANIU
„TP” 40/1945

ZUZANNA RADZIK

**Ciesz mi się wspólna modlitwa i działanie,
picie kawy i wina, czytanie Biblii. Upadanie,
wstawanie i trwanie.**

JAKĄ NADZIEJĘ MIELI ZAŁOŻYCIELE I PIERWSI REDAKTORZY „Tygodnika” w marcu 1945 r., gdy jeszcze trwała wyniszczająca wojna, a oni zaczęli tworzyć pismo wydawane przez kurię metropolitalną? Czego spodziewali się po świecie i Kościele, kiedy żaden z nich nie zdawał się wiele obiecywać? Co mogło dawać im wtedy radość, a co daje nam ją teraz? To nie są błahе pytania, 80 lat później, gdy na naszych oczach rozpada się świat globalny, a instytucjonalny Kościół traci wiarygodność bardziej, niż wydawało się, że może.

Gdzie w tym wszystkim radość, nadzieja? To w gruncie rzeczy intymne pytanie, odpowiedź czasem nieporadna, im bardziej szczerza, tym bardziej narażona na śmieszność. Tak bardzo, jak wierzę w zobowiązanie do brania odpowiedzialności i konieczność wielkich zmian w Kościele, tak radość, nadzieję i energię czerpię z rzeczy kameralnych, prostych, bliskich i najlepiej dziejących się na żywo. Mam kilka takich przestrzeni ciasnych, dających moc, życzliwych i włączających. Po pierwsze parafię, której języka nie rozumiem. Po drugie, koło biblijne, spotykające się w moim domu. Oraz siostrzeńską sieć katolickich feministek, które rozproszone są po różnych miejscach świata, ale jak uda się zebrać na żywo, to jest tyle mocy i radości, że starcza na długo.

Z PARAFIĄ TO JEST DZIWNA SPRAWA. Znalazłam ten kościół podczas spaceru, w czasie pandemii, krótko po tym, jak przeprowadziłam się do Brukseli. Zwabił mnie jego dziwny dach, niczym odwrócony kwiat tulipana. Niewielka barokowa budowla, nieco z boku głównego deptaku, ołtarz wysunięty na środek, otoczony krzesłami, pod nimi jasny dywan, na ścianach stare chorągwie z procesji i nowe, z napisami po hebrajsku i arabsku, sufit nieco popękany, a pod chórem podwieszane dwie wygodne huśtawki.

Huśtałam się na nich, myśląc, że chyba podobałoby mi się to, jak ta wspólnota się modli. Zgadywałam to z układu wnętrza i dekoracji. Tyle że na uczestnictwo w liturgii, jak w innych zgromadzeniach, wciąż były w Belgii surowe limity, a parafia była flamandzkojęzyczna. Poszłam tam dopiero kilka miesięcy później i od tamtej pory wracam, choć nieregularnie. Rozpoznaję tylko kilka powracających słów: ojciec, matka, syn, pokój.

W sumie znam liturgię mszy, nie muszę rozumieć każdego słowa i zdania, wiem, co się dzieje, ale ich sposób odprawiania jest pokłosem zmian soborowych z lat 70., które tu były bardziej radykalne niż gdzie indziej. Modlitwy eucharystyczne są inne, używają często inkluzywnego języka

(np. modlimy się do Matki). Wiem to, bo przestałam się wstydzić i włączam w telefonie translator, tłumacząc obszerne fragmenty z segregatora, który każdy dostaje przy wejściu, by aktywnie we wszystkim uczestniczyć. Mamrocę pod nosem, próbując nadążyć za tekstem modlitw i pieśni, choć flamandzkiego nie umiem nawet dobrze przeczytać. Kazania nie rozumiem wcale, ale uśmiecham się rozumiejąco tam, gdzie inni.

Co mnie tu zatem trzyma? Może po prostu to, że czuć w tym miejscu wspólnotę, wzajemną troskę i serdeczność w taki sposób, że gdy przychodzę, to nawet niewiele rozumiejąc, mogę mieć w tym swój udział. Odkryłam, że lgnę do tego mimo językowej bariery. I że oni chcą to dać, mimo że dla mnie muszą zostawić swój mniejszościowy w Brukseli język i uprzejmie przejść na angielski. W żadnym innym kościele, którego język rozumiem, nie było mi tak swojsko.

Nie chodzi więc tylko o to, że za pierwszym razem od razu przywitał nas proboszcz i że po mszy można było spotkać się w parafialnej kawiarni na winie czy kawie. Chodzi też o otwarte włączanie świeckich w liturgię, podchodzenie do samej granicy tego, co w liturgii możemy, a czasem jej przekraczanie, czego tu nikt już nie zauważa. Wszyscy, łącznie z proboszczem, są raczej bliżej emerytury lub bardzo sędziwi, więc zdaje się, że szukają formatu, który pozwoli przetrwać.

Nie bez znaczenia jest też dla mnie, że zgodnie z decyzją episkopatu Belgii z 2022 r. błogosławi się tu też pary jedнопłciowe, więc wszyscy czują się mile widziani, włączeni w liturgię; wszyscy też przyjmują komunię. Choć więc nie rozumiem języka, to z tą otwartością, normalnością, zwykłą życzliwością i pewnym eksperymentem liturgicznym połączonym z solidnym śpiewem pod kierownictwem profesora miejscowej akademii, czuję się tu u siebie bardziej, niż mogłabym gdzieś indziej. Czy będzie szaleństwem, jeśli zacznę uczyć się flamandzkiego tylko ze względu na ten parafialny kościół?

– ZACZĄŁEM OD TEGO, ŻE ZNALAZŁEM SOBIE GRUPĘ BIBLIJNĄ, bo teolog musi mieć swoją grupę biblijną, czytać Pismo we wspólnocie tu i teraz – powiedział mi kiedyś w wywiadzie dla „Tygodnika” wenezuelski teolog Rafael Luciani, a ja nie rozumiałam, o czym mówi. Aż do teraz. Trzy lata temu znajoma spytała, czy skoro już jestem w Brukseli, nie zrobiłabym czegoś dla innych katolików: zagubionych, wkurzonych, poszukujących. Zebrałiśmy się, wychodziło na to, że oczekiwania wobec instytucjonalnego Kościoła wszyscy mamy niewysokie, ale jest w nas głód wspólnoty i duchowości. Stało na wspólnej lekturze Biblii raz w miesiącu.

Spotykamy się u mnie w domu w niedzielny wieczór, na stół wjeżdża herbata i różne wydania Pisma Świętego, każdy przynosi coś do podjadania. Tematy wybieramy zależnie od potrzeb i fantazji. Ktoś powie, że zawsze miał kłopot z tym tekstem, inna osoba, że bardzo by chciała teraz pomówić o tym. Przygotowuję wprowadzenie na podstawie cudzych książek i artykułów, bo żadna ze mnie bibliстка. Każdy by tak mógł, do czego zresztą zachęcam. Potem jeszcze tylko wymyślam pytania do pracy, a kolega po filologii klasycznej tłumaczy nam

słownictwo, siadamy w małych grupach, a potem dzielimy się owocami tych dyskusji przy stole. Proste jak drut.

Jednak najważniejszym doświadczeniem jest widzieć, jak tekst działa na ludzi, jak się z nim czasem zmagają, jak filtrujemy go przez nasze perspektywy i ile daje usłyszeć go nawzajem. I to są liczne radości i olśnienia. Już rozumiem, o czym mówił Luciani: ile daje teologiczne usłyszenie czyjegoś spotkania z Pismem. Niejeden felieton napisałam zainspirowana tym, co padło przy tym stole.

Nigdy nie lgnęłam do religijnych grup o rozplanowanych stopniach zaangażowania, konkretnych profilach, nazwach. Ta formuła zdaje się najprostsza: stół, drobne jedzenie, Biblia, modlitwa, życzliwość wzajemna. Pierwsze spotkanie skończyło się późno, w końcu wszyscy musieli się poznać, a potem czekała nas jeszcze praca z tekstem. Nie miałam siły sprzątać, na stole został stosik Biblii nieodstawionych na półkę. Następnego dnia wrócił z wyjazdu mój niewierzący i dość antykatolicki partner, spojrział i stwierdził: „O, kościół spotkał się w moim domu”. Sama bym tego lepiej nie nazwała, pewnie bym się nie ośmieliła, ale tak właśnie jest.

SIOSTRZEŃSTWO KATOLICKICH FEMINISTEK zaś to źródło nieustannej radości i mocy. Tak to od zawsze było z feminizmem, że gdy znajdziesz grupę, która też podziela twoje doświadczenia, pragnienia i gniew, daje to moc i radość. Oraz spokój, bo skoro inne tak czują, to znaczy, że nie oszalałaś. Zanim znalazłam takie kobiety tuż obok siebie, w Polsce i teraz w Belgii, sięgnęłam dalej, robiąc wywiady z aktywistkami z Indii, ze Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Hiszpanii, Filipin, Argentyny... trochę tego było. Bardzo potrzebowałam wtedy upewnić się, że da się tak żyć i myśleć. A potem okazało się, że i w Polsce mogę mieć takie siostry.

Różne przeżywamy fazy swojej relacji z katolicyzmem, jedne intensyfikują zaangażowanie, inne odchodzą albo jednak nie. Relacja nam się rozluźnia, byśmy za parę lat mogły się odnaleźć. Bardzo cenię sobie i znajduję taką sytą, dobrą, spokojną radość w trwaniu tej sieci przyjaźni, siostrzeństwa i działania. Pajęczyna, nie drabina – jedna z nich kiedyś nazwała ten typ wspólnoty, w opozycji do hierarchicznej. Towarzystwo sobie w długim, wspólnym marszu, lokalnie i globalnie. Radość jest, gdy udaje się być razem, modlić, działać, pić kawę i wino, planować, marzyć, zwierzać się, spierać, upadać, wstać, trwać. Ta pajęczyna to moja radość i mój kościół. ©

Autorka jest teolożką i działaczką społeczną, zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Wydała m.in. „Kościół kobiet”, z „Tygodnikiem Powszechnym” współpracuje od 2003 r., a od 2020 r. jest felietonistką.

Z ARCHIWUM „TP”

PIOTR WIERZBICKI

Jedna doba
w strajkującej
Stoczni

Tuż przed Gdańskiem posterunek milicji. Legitymują, zaglądną do bagażnika, puszcza ją. Za dworcem kolejowym obserwujemy ruch pieszych w kierunku stoczni. Parkujemy, wchodzimy w tłum, widzimy bramę. Umajona kwiatami, flagi biało-czerwone i papieskie, portret Jana Pawła II, Matka Boska Częstochowska, wielka tablica z postulatami Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, przed bramą, w miejscu, gdzie ma stanąć pomnik ofiar, wbity w ziemię drewniany krzyż. Przeciskamy się przez tłum do bramy, mówię: „prasa, »Tygodnik Powszechny«, tu drukował Ojciec Święty”. Strzegący porządku robotnicy w opaskach podejmują decyzję: wpuścić.

„TP” 37/1980

FOT. GIEDYMIN JABŁOŃSKI / ECS.GDA.PL/
CC BY-SA 3.0 PLDrogi
ewakuacji

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Ciesz mnie wspólnota
doświadczenia. Migawki,
stop-klatki, chwile, kiedy
przekraczam granice „ja”.

WIEM, ŻE TO BRZMI cokolwiek abstrakcyjnie, ale naprawdę długo się zastanawiałem, jaki dać mianownik dla tych różnych radości, których czasami doświadczam – i nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Wbrew pozorom jednak, to wcale nie jest żadna abstrakcja, tylko ściśle konkrety.

Sierpień 2024, bułgarskie Rodopy, kolacja z moją żoną Cvetą i naszymi przyjaciółmi, Jankiem Chwedeńczukiem, Pawłem i Anią Boguszewskimi oraz ich synem Leonem. W niedużej restauracyjce położonej na uboczu, z widokiem na porośnięte lasem góry. Sałatka szopska, do niej kieliszek rakii, potem kebapcze, ryby z grilla, patatnik obficie posypany bułgarskim serem, czyli sirene, lokalne wino. Ciepły wieczór, niespieszna rozmowa tym wypracowanym przez lata językiem, którego nikt poza nami nie rozumie. A później powrót krętą dróżką do małego hotelu, całego w drewnie, z tym samym obłądnym widokiem. O poranku wyjazd, odwiedziny w Sliven – mieście, z którego pochodzi Cveta – nadmorskim Burgas i Sozopolu. I wszędzie takie kolacje, takie wieczory.

Styczeń 2025, Warszawa, spacer z psem w zimowy poranek, a to coraz częściej w Polsce znaczy: w podmuchach wiatru,

chroniąc się przed deszczem, w szarzyźnie i słońcu. Ale pies – o imieniu Berti, nazwailiśmy go tak na cześć Bertranda Russella z uwagi na ich uderzające podobieństwo (daję słowo) – skacze z radości, zarzuca łapkami na zakrętach, szczeka bez opamiętania. Słowem, emanuje z niego jakaś głęboka radość istnienia, którą i ja wreszcie zaczynam czuć pośrodku tej pluchy. Od razu idzie mi się trochę różnie. Z kolei Berti zaczyna się powoli orientować, że dookoła są kałuże, a z nieba leją się strugi wody, więc jego entuzjazm stopniowo maleje, mój stopniowo wzrasta, osiągamy specyficzną równowagę.

Grudzień 2018, Berlin, koncert mojego ukochanego hiszpańskiego pieśniarza Enrique Bunbury’ego. W Polsce prawie nikt go nie zna, no może tylko ci, którzy pamiętają jeszcze triumfy, jakie w latach 90. odnosił ze swoim zespołem Héroes del Silencio (jeśli wiedziście już wówczas świadome życie, z pewnością kojarzycie utwór „Entre dos tierras”). Ale w Hiszpanii, Meksyku i Ameryce Południowej ma status porównywalny do Davida Bowie czy Boba Dylana. Jego płytę – jeszcze pod egidą HdS – znalazł gdzieś kiedyś mój nieżyjący już przyjaciel Hubert Panowski. Nigdy niczego podobnego nie słyszeliśmy, zostaliśmy fanami od pierwszych dźwięków. Ta muzyka towarzyszy mi nieprzerwanie od 1993 r., nie ma dnia, żebym sobie czegoś nie włączył albo przynajmniej nie zanucił. W ogóle wszystko, co robi Bunbury, najgłębiej ze mną rezonuje, budzi we mnie uśpione na co dzień pokłady *élan vital*. A te koncerty są jak święto, przepycham się do pierwszych rzędów, wymachuję rękami, a kiedy on, zawsze punktualny co do minuty, wychodzi na scenę, krzyczę z innymi: „Enriiiiiiqueee! Enriiiiiiqueee!”

TYGODNIK
POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 12/2025

REDAKCJA: Michał Okoński, Michał Kuźmiński | WYBÓR TEKSTÓW ARCHIWALNYCH: Agata Kaźmierska, Monika Ochędowska
 OPIEKA WYDAWNICZA: Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska |
 PROJEKT GRAFICZNY: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak

GŁÓWNY PARTNER JUBILEUSZU



PARTNERZY WYDANIA



SPROSTOWANIE

Do artykułu prof. Juliusza Kleimera p. t. „Z rozważań nad drogami literatury współczesnej” w numerze 35 naszego pisma, zakradł się błąd drukarski. W kolumnie czwartej, wiersz 59, wydrukowano: „Warunkiem odrodzenia ludzkości jest potężne odrodzenie sztuki”. Powinno być (jak to zresztą wynika z dalszego ciągu): „odrodzenie etyki”. Tuż potem w wierszu 63 wydrukowano „słabnięcie poczucia estetycznego”. Powinno być oczywiście „etycznego”.

M-02608

TAKICH MIGAWEK, STOP-KLATEK, CHWIL mógłbym przywołać mnóstwo. Bo to, nawiasem mówiąc, zawsze są migawki, stop-klatki, chwile. Radość nie jest stanem permanentnym, przynajmniej u mnie. Zdarza się, pojawia, jak przeblysłk. Właśnie wtedy, kiedy następuje to szczególne otwarcie. Jak je nazwać? Może – poważnie i filozoficznie – przekroczeniem bariery „ja”? Tej niewidzialnej, ale potężnej granicy, która każdego z nas zamyka nieuchronnie we wnętrzu własnego umysłu (a może duszy?). I która jest bezpośrednim źródłem wszelkich rozważań o nieusuwalnej ludzkiej samotności („*Después de todo, uno vive en soledad*” – śpiewa Bunbury w utworze „*La gran estafa*”).

Ale przecież właśnie w takich momentach, o których tu piszę, granica znika. W mgnieniu oka – i na mgnienie oka – znajdujemy się gdzieś indziej. Kontury naszej podmiotowości tracą wyrazistość, okazują się zaskakująco przenikliwe (w znaczeniu: coś zaczyna przez nie przenikać). Inni ludzie, inne istoty łączą się z nami we wspólnocie doświadczenia. W przeżywanej równocześnie emocji, w zachwycie, porozumieniu. Między-ludzkim i międzygatunkowym.

Owszem, to są migawki, stop-klatki, chwile. Zaraz potem wracamy do naturalnej, codziennej postaci. Ale wspólnota po-

zostaje. Samotność nie jest już absolutna, w jej gestej i ciemnej materii daje się dostrzec drobne prześwity, drogi ewakuacji. Tymi drogami bywają miłość, bliskość, przyjaźń, zachwyty, entuzjazm. Radość. Taka, którą przeżywa się razem, z kimś innym, kto jest wówczas bliżej niż obok. Smutek, cierpienie, współczucie, troska – oczywiście też. W tym samym, a może nawet jeszcze większym stopniu. Ale to temat na inne rozważania, tu miałem pisać o radości.

No więc nic mnie tak nie cieszy jak właśnie wspólnota doświadczenia. Mam nadzieję, że nie brzmi wam to już tak bardzo abstrakcyjnie, jak na początku. I że rozumiecie, a może przeczuwacie, o co mi chodzi. Ostatecznie pisze się również w tym celu – a w każdym razie dla mnie była to zawsze podstawowa motywacja – żeby rozmawiać, żeby się porozumiewać, żeby przekraczać te z pozoru tylko nieprzekraczalne bariery.

Niechby tylko na chwilę, niechby na mgnienie oka. To już bardzo dużo, to już naprawdę coś. ©

Autor jest filozofem, autorem podcastu „Skądinąd” i wielu książek – ostatnio wydał „Ucieczkę od bezradności”. Z „Tygodnikiem” współpracuje od 2014 r., od 2021 r. jako felietonista.

Z ARCHIWUM „TP”



Do redaktora naczelnego „TP”

Szanowny Panie Redaktorze,
Będę wdzięczny za opublikowanie mego oświadczenia:

Ponieważ coraz częściej rozpowszechnia się o mnie wiadomości, że śpiewam moje piosenki w kościołach, oświadczam, że ani dotychczas nigdy w kościołach nie śpiewałem, ani w przyszłości śpiewać nie zamierzam, uważając kościół za miejsce nie stosowne dla tego rodzaju kabaretowego repertuaru.

Łącząc wyrazy szacunku,
Wojciech Młynarski

„TP” 9/1986

BARTOSZ MINKIEWICZ



OBRAZ „TYGODNIKA”

1945

24 marca ukazuje się pierwszy numer. Wydawca to początkowo Kuria Xiążęco-Metropolitalna Krakowska; adres: Franciszkańska 3. Wkrótce redakcja przeprowadza się na Wiślną 12. Od października w stopce „Redaktor: Jerzy Turowicz”.

1953

Brutalnie cenzurowany „TP” wychodzi z przerwami, w końcu – po odmowie publikacji redakcyjnego nekrologu Stalina – zostaje zamknięty przez komunistyczne władze.

1956

Na fali październikowych przemian wydawanie „TP” zostaje wznowione. Kilka związanych z piśmie osób (m.in. Stefan Kisielewski) tworzy w Sejmie koło poselskie Znak.

1961

Start prowadzonej przez Tadeusza Żychiewicza „Poczty Ojca Malachiasza” – najpopularniejszej (obok redagowanego przez Krzysztofa Kozłowskiego „Obrazu Tygodnia”) rubryki w dziejach „TP”.

1962

Rozpoczyna się Sobór Watykański II. Wysłannikiem na trwające do 1965 r. obrady jest Turowicz.

1963

„Z kurzem krwi bratniej” – esej Stanisława Stompy w 100. rocznicę powstania styczniowego. Władysław Bartoszewski publikuje tekst-apel „Ten jest z ojczyzny mojej”.

1964

Antoni Słonimski składa w kancelarii premiera List 34 – protest przeciw cenzurze i polityce kulturalnej władz. Wśród sygnatariuszy Jerzy Turowicz; reakcją władz jest m.in. obcięcie nakładu „TP”.

1967

„Milczenie Piusa XII” ks. Andrzeja Bardeckiego o polityce Watykanu w czasach II wojny światowej.

1968

Wydarzenia marcowe; z łamów znika felieton pobitego przez „nieznanych sprawców” Kisiele. Pismo w kolejnych latach coraz szerzej otwiera łamy dla działaczy opozycji; wielu – np. Stanisław Barańczak – z powodu ograniczeń cenzury pisze pod pseudonimem. Na 50-lecie niepodległości tekst Eugeniusza Kwiatkowskiego.

→



REPR. GRAZYNA MAKARA

JERZY SKĄPSKI, Laurka, olej na płótnie, 52x60 cm, 1966 r.

W zebraniu redakcyjnym uczestniczą, od siedzącego przy biurku Jerzego Turowicza, zgodnie z ruchem wskazówek zegara: Jerzy Kołtąj, Tadeusz Myślik, Andrzej Bardecki, Jacek Woźniakowski, Bronisław Mamoń, Józefa Hannelowa, Adam Boniecki, Jerzy Skąpski, Tadeusz Żychiewicz, Stefan Wilkanowicz, Jacek Susuł, Marek Skwarnicki i Krzysztof Kozłowski

Poniżej: zebranie redakcyjne 2025. Wokół stołu od lewej Ewelina Burda, Maciej Müller, Edward Augustyn, Przemysław Wilczyński, Wojciech Pięciak, Marek Kęskrawiec, Artur Sporniak, Katarzyna Bułtowicz, Monika Lech, Marek Zalejski i Michał Kuźmiński



JACEK TARAN



PREZYDENT MIASTA KRAKOWA

Szanowni Państwo!

Kardynał Adam Stefan Sapięha zwykł mawiać, że gdyby Piotr Skarga – żarliwy obrońca tradycji i wiary chrześcijańskiej, żył w jego czasach, założyłby gazetę. Taką właśnie gazetę założył metropolita krakowski – 24 marca 1945 r. Dokładnie 80 lat temu ukazał się pierwszy numer „Tygodnika Powszechnego”.

Kraków był wtedy zupełnie innym miastem. Zaledwie dwa miesiące wcześniej spod Wawelu wycofali się Niemcy, ich miejsce zajęli Sowieci, rozpoczynała się kolejna okupacja, choć pod płaszczykiem przyjaznej opieki decydentów z Kremla. Kościół, który reprezentował kard. Sapięha, musiał się odnaleźć w nowej, równie trudnej rzeczywistości.

„Tygodnik Powszechny” z założenia był „katolickim pismem społeczno-kulturalnym”.

Od początku zakładał patrzenie na świat z różnych perspektyw, podkreślanie wagi wzajemnego szacunku i otwartości. Szybko wyrobił sobie pozycję pisma niezależnego, otwarcie broniącego wartości zagrożonych przez komunistów, przede wszystkim dotyczących religii i kultury. I trudno nie zauważyć, że mimo zmieniającej się z czasem sytuacji politycznej w Polsce, zespół redakcyjny przez te 80 lat był wierny, i wciąż jest, ideom założycieli „Tygodnika”.

To na jego łamach pojawiały się wybitne nazwiska, żeby wymienić tylko niektóre: ks. Jan Piwowarczyk, Jerzy Turowicz, Stefan Kisielewski, Leopold Tyrmand, Antoni Gołubiew czy Józefa Hennelowa. To właśnie „Tygodnik Powszechny” dzielnie przechodził kolejne starcia z władzą, jak na przykład w 1953 r., kiedy redakcja odmówiła opublikowania nekrologu po śmierci Józefa Stalina, co poskutkowało represją w postaci podporządkowania czasopisma na kilka lat sprzyjającemu komunistom Stowarzyszeniu PAX.

Po tym „okresie mroku” w redakcji pojawiły się kolejne wielkie nazwiska. Z „Tygodnikiem Powszechnym” związani byli Krzysztof Kozłowski, ks. prof. Józef Tischner, ks. Stanisław Musiał i kard. Grzegorz Ryś, a przede wszystkim ks. Karol Wojtyła, późniejszy metropolita krakowski i papież Jan Paweł II. Ale na łamach „Tygodnika” pojawiały się też utwory Stanisława Lema czy noblistów Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej. „Tygodnik Powszechny” to również obecnie wybitni, zaangażowani autorzy, na czele z ks. Adamem Bonieckim, który całkiem niedawno sam świętował 90. urodziny i wciąż publikuje teksty na łamach. To nazwiska znane wszystkim Polakom.

Jak zwykli podkreślać obecni twórcy „Tygodnika Powszechnego”, wartości, które wyznawali ich poprzednicy, wciąż pozostają dla nich inspiracją w działalności w przestrzeni publicznej Krakowa. Wyrazem tego jest choćby budowanie pojednania polsko-niemieckiego i polsko-żydowskiego czy okazywanie otwartości Kościoła na relacje ze współczesnym, nowoczesnym społeczeństwem.

I niech tak pozostanie przez kolejne dekady. Bo „Tygodnik Powszechny” wciąż jest jedynym wydawanym w Krakowie ogólnopolskim tygodnikiem opinii. To fakt, który warto dostrzec i docenić, zwłaszcza przy takiej okazji jak jubileusz 80-lecia istnienia.

Aleksander Miszałski
Prezydent Krakowa

→ **1969**

„Kryzys w Kościele” Turowicza; reakcją prymasa Wyszyńskiego jest wypowiedziana z ambony uwaga, że nie ma kryzysu w Kościele, tylko kryzys niektórych publicystów.

1979

Wieloletni współpracownik „TP” zostaje wybrany na papieża i przyjmuje imię Jan Paweł II.

1980

Nagroda Nobla dla innego przyjaciela pisma – Czesława Miłosza. Początek cyklu ks. Józefa Tischnera „Etyka solidarności”.

1982

Po wprowadzeniu stanu wojennego „TP” przez 5 miesięcy się nie ukazuje, potem drukowany jest z „żałobną” winietą.

1986

„Jan Hus – heretyk czy prekursor Vaticanum Secundum?” Stefana Świeżawskiego, inspirujący proces watykańskiej rehabilitacji czeskiego reformatora.

1987

„Biedni Polacy patrzą na getto” Jana Błońskiego – jak dotąd najważniejszy artykuł w dziejach „TP”.

1989

Okrągły Stół. Wśród inauguracyjnych wystąpień przemówienie Turowicza. Po wyborach przedstawiciele redakcji wchodzą do parlamentu i rządzą Tadeusza Mazowieckiego (Krzysztof Kozłowski będzie szefem MSW).

1995

„Moja prywatna preambuła” Stefana Wilkanowicza – pierwowzór wstępu do obowiązującej Konstytucji RP. List Jana Pawła II na 50-lecie pisma, zawierający m.in. passus o tym, że ostatnio Kościół „nie czuł się dość miłowany” przez „TP”.

1997

„Czarne jest czarne” ks. Stanisława Musiała – pierwszy z licznych później (otrzymali je m.in. Aleksander Smolar, o. Ludwik Wiśniewski, Tadeusz Sławek i Andrzej Stankiewicz) Grand Pressów dla pisma.

1999

Śmierć Jerzego Turowicza. Naczelnym zostaje związany z redakcją od 1964 r. ks. Adam Boniecki.

2000

„Sąd nad XX wiekiem” – zorganizowana w krakowskim magistracie debata według scenariusza Piotra Mucharskiego, z udziałem m.in. Marka Edelmana, Barbary



GRZEGORZ KOZAKIEWICZ

Trzej naczelni „TP”: Piotr Mucharski i Jerzy Turowicz na przyjęciu przed wyjazdem ks. Adama Bonieckiego do Rzymu. Gabinet Jerzego Turowicza, sierpień 1993 r. W tle tablica, na której kolegium planowało i rysowało treści następnego numeru „Tygodnika”



GRAZYNA MAKARA

Obok: współczesna tablica, na której dzisiejsza redakcja rozwiesza gotowe kolumny następnego numeru. W tle – ekran z aktualnymi statystykami naszej strony internetowej. Od lewej: Marek Zalejski, Wojciech Pięciak, Marek Rabin i Piotr Mucharski

Skargi, Ryszarda Kapuścińskiego i Andrzeja Wajdy.

2002

„Świadectwo” – rozmowa z ks. Tomaszem Węclawskim o sprawie abp. Paetza. Powstaje Fundacja Tygodnika Powszechnego.

2005

Śmierć Jana Pawła II. Kilkakrotnie dodrukowywany numer pożegnalny osiąga nakład 220 tys. egzemplarzy.

2007

Czytelnicy zakładają w Łodzi pierwszy Klub Tygodnika Powszechnego

2009

Pierwszy Festiwal Conrada, którego współorganizatorem są redakcja i Fundacja „TP”.

2011

Władze zakonne ograniczają swobodę wypowiedzi ks. Bonieckiego do łamów „TP”. Naczelnym zostaje Piotr Mucharski.

2012

„Tygodnik” na czytniku Amazon Kindle.

2014

Zmiana formatu pisma na obecny. Pierwszy Copernicus Festival współorganizowany przez redakcję i Fundację „TP”.

2015

Startuje serwis internetowy www.tygodnikpowszechny.pl

2019

Startuje Podcast Tygodnika Powszechnego.

2021

Krakowska kuria pod rządami abp. Marka Jędraszewskiego wypowiada umowę najmu siedziby przy Wiślniej 12. Dzięki wsparciu czytelników redakcja przenosi się na Dworską 1C.

2023

Nowa odsłona serwisu www.tygodnikpowszechny.pl na autorskiej platformie rE-medium.

Oprac. Michał Okoński, w redakcji „TP” od 1991 r.



Herbewo

Szanowna Redakcjo „Tygodnika Powszechnego”

Z okazji Waszego Jubileuszu 80-lecia składamy serdeczne wyrazy uznania za nieoceniony wkład w polską kulturę, myśl intelektualną i niezależne dziennikarstwo. Przez osiem dekad „Tygodnik” nie tylko relacjonował wydarzenia, ale także kształtował sumienia, inspirował do refleksji i rozwoju intelektualnego oraz budował mosty porozumienia.

Życzymy, aby kolejne lata przyniosły Redakcji wiele satysfakcji, wiernych czytelników i niegasnącej pasji w poszukiwaniu prawdy. Niech „Tygodnik Powszechny” nadal pozostaje przestrzenią otwartego dialogu, wolnej myśli i głębokiej humanistyki.

Z wyrazami szacunku

Andrzej Barański

wraz z zarządem i pracownikami

HERBEWO

Ludzie niezastąpieni

AGATA KAŻMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Cieszy nas, że tradycyjne dziennikarstwo wciąż dowodzi własnej wartości. I że, jak wszystko wskazuje, dobre media wygrają nawet z AI.

GDYBY WIERZYĆ ANALIZOM PRZYSZŁOŚCI MEDIÓW, których mogliśmy się nacytać przez ostatnie lata, to w zasadzie „Tygodnika” już dawno powinno nie być. A z całą pewnością nie jego papierowego wydania.

Tradycyjne dziennikarstwo miały wykończyć kolejno: media internetowe, potem tak zwane dziennikarstwo obywatelskie, wreszcie media społecznościowe. Zawdzięczamy im błyskawiczną teleportację do świata postprawdy, gdzie podobno nie liczy się już rzetelność przekazywanych informacji ani wiedza, ale to, kto potrafi dotrzeć do szerszej publiczności ze swoją clickbaitową – im bardziej radykalną, tym lepiej – opinią. Mimo to „Tygodnik” nie tylko istnieje, ale też, nie ścigając się na liczbę kliknięć ani radykalizację osądów, radzi sobie dobrze i w sieci, i w papierze.

OSTATNIO NA TAPECIE JEST AI – sztuczna inteligencja, która ma sprawić, że wszyscy stracimy pracę. Zalew treści wytwarzanych przez boty już doczekał się nazwy – to „gównowacenie internetu” (ang. *enshittification of the internet*). Tym, co ma jednak zarzącać tradycyjne media, są nie tyle takie powielające bełkot boty, co wielkie modele językowe, jak ChatGPT czy Gemini, które, żerując na treściach pisanych przez ludzi, pewnego dnia ich zastąpią.

Otóż niekoniecznie. Każdy taki model językowy potrzebuje gigantycznej ilości danych szkoleniowych, które zazwyczaj pochodzą z internetu. A ten już dziś zalewają sztucznie wygenerowane treści. I tu pętla się zamyka, bo gdy taka papka służy do szkolenia kolejnych generacji modeli językowych, zaczyna się ich autofagia. Jathan Sadowski z Monash University nazwał to „efektem AI-Habsburga”, w nawiązaniu do dynastii słynącej swego czasu z chowu wsobnego. Kolejne generacje modeli sztucznej inteligencji, jeśli nie są trenowane na treściach tworzonych przez ludzi, zaczynają się zmieniać w kopie kopii, coraz bardziej miałkie, pełne błędów i bezwartościowe. Badania wykazały, że zatrzymanie degeneracji modeli językowych AI wymaga, by w ich szkoleniowej „diecie” znalazło się co najmniej 50 proc. treści stworzonych przez ludzi. Bez naszej kre-

atywności, tej wielkiej i tej małej, nawet zupełnie codziennej, sztuczna inteligencja po prostu zmieni się w sztuczny imbecyla.

OD KILKU LAT TRWAŁ POTĘŻNY SPÓR. Twórcy czuli się okradani przez koncerny, jak OpenAI, Alphabet czy Microsoft, które, nie pytając o zgodę, trenowały na ich pracy swoje inteligentne programy. I rzeczywiście, znaleźliśmy się w sytuacji, która mogła stanowić egzystencjalne zagrożenie dla tradycyjnych mediów. Tyle że media się postawiły i zaczęły dociekać swoich praw w sądach czy z pomocą instytucji takich jak Unia Europejska oraz zażądały prawnych regulacji. A ponieważ dla branży AI publikowane w tradycyjnych mediach artykuły, zdjęcia czy filmy są tym, czym złoża ropy naftowej dla koncernów paliwowych, dała krok w tył i zamiast kraść, zaczęła się z wydawcami dogadywać. Bo porządne treści dziennikarskie są ograniczone jak pola naftowe. Umowy podpisane mają już m.in. Associated Press, „Le Monde”, „Financial Times”, News Corp. Czy jeden z najstarszych amerykańskich magazynów „The Atlantic”.

W Polsce jesteśmy dopiero na początku tej drogi, bo rozmowy z wydawcami dopiero się rozkręcają. Niemniej sytuacja zmienia się diametralnie. Wielkie koncerny z Doliny Krzemowej, zamiast zabijać tradycyjne media, stają się ich klientami. A to może tylko pomóc w tworzeniu wartościowych treści.

SZTUCZNA INTELIGENCJA NIE ZADA DOCIEKLIWEGO PYTANIA, nie spojrzysz rozmówcy w oczy, by wczuć się w jego emocje, ani nie napisze błyskotliwego zdania, które odda *Zeitgeist*. Może co najwyżej pomóc zebrać i usystematyzować dane czy znaleźć lepszy synonim słowa, które utknęło na końcu języka. Jednak tylko ludzie opiszą świat z wrażliwością, mądrością i rzetelną przenikliwością. A to – bez względu na czarnowidztwo dotyczące przyszłości mediów – czytelnicy cenią. ©

Agata Kaźmierska jest dziennikarką specjalizującą się w tematyce międzynarodowej oraz społecznego wpływu nowych technologii. Była korespondentką m.in. w Afganistanie, Pakistanie, Iraku, Kongu i Jemenie. Stale współpracuje z „Tygodnikiem” od 2012 r.

Wojciech Brzeziński jest dziennikarzem zajmującym się nauką, nowymi technologiami i ich wpływem na społeczeństwo. Twórca programu popularnonaukowego „Horyzont zdarzeń”, stypendysta Fundacji Knighta na MIT. Stale współpracuje z „Tygodnikiem” od 2011 r.

TYGODNIK POWSZECHNY



My, dziennikarki „Tygodnika Powszechnego”:

*Żeby naprawiać świat, wpierw trzeba spróbować
go zrozumieć. Dlatego właśnie piszemy i fotografujemy.*

Dla kogo to robimy?

Dla ludzi otwartych na to, co trudne i nieoczywiste.

Dla zmęczonych jałowymi sporami politycznymi.

*Dla wrażliwych na ludzką krzywdę – bo wierzymy,
że tylko takie dziennikarstwo ma sens.*

Na zdjęciu:
Grażyna Makara,
Anna Łabuszewska,
Ewelina Burda, Anna Goc,
Anna Golus,
Katarzyna Kubisiowska,
Monika Ochędowska,
Zuzanna Radzik,
Anita Piotrowska
i Antonina Palarczyk



powszech.net/dar



**Twoje wsparcie
dla Fundacji Tygodnika Powszechnego
pozwala zmieniać świat. **Naprawdę****

» **KRS 0000 125 605**

Kucnąć od zachwycenia

■ Z ARCHIWUM „TP”

STANISŁAW LEM

Ogólna teoria dziur

Zawsze miałem kolosalny szacunek dla amerykańskich uniwersyteckich wydawnictw, tymczasem dziś, przeglądając broszurę [MIT-Press], nic dla siebie nie znajduję. Znajduję natomiast – to dla przykładu – książkę dwóch facetów (jeden research fellow w Centre National de la Recherche Scientifique w Aix-en-Provence, drugi pracuje w Columbia University) zatytułowaną „Ogólna teoria dziur”. Po prostu dziur! Chodzi o wyjaśnienie, czym są dziury – dziura w obwarzanku, dziura w swetrze, dziura na łokciu, dziura w murze. Czy chodzi o to samo, czy też są to różne rodzaje dziur? Czy dziurawość jako zjawisko jest esencją, czy egzystencją? Mam wrażenie, że nawet scholastycy w najgorszym swym okresie nie zajmowali się podobnymi zagadnieniami. Ale MIT to wydał!

I czytam w reklamowej nocie, że to „fascynująca inwestycja”, „metafizyka dziur”, dzieło, które odpowiada na pytanie, czy dziury istnieją naprawdę, o czym są, jeśli rzeczywiście istnieją. „Przyziemny filozof nie potrafi się ustosunkować należycie do ontologicznej koncepcji dziury” – zapewnia nas wydawca.

„TP” 4/1996

ELIZA KĄCKA

Ciesz mi podtrzymywanie transmisji między umysłowościami pisarzy a umysłami czytelników. Wierzę, że tak powstaje azyl: bez konkretnego adresu instytucjonalnego, lecz – bywa – z konkretnym adresem ludzkim.

RAZU PEWNEGO ARCYKONSTRUKTOR TRURL stworzył automat pokraczny – i tak zaprogramowany, by się wszystkim radował, wszystkim cieszył, a stąd określony jako Kontemplator Bytu Szczęsny. A w skrócie: Kobyszcze. „Kontemplator, rozkraczony na trzech metalowych nogach, wodził lunetowatymi oczyskami po otoczeniu, a czy natrafił wzrokiem na deskę parkanu, na gład czy stary trzewik, niezmiernie się zachwycał, tak iż postękiwał z cicha od nadzwyczajnej lubości, co go rozpierała. Kiedy zaś słońce zaszło i zorze niebo zaróżowiły, kucnął nawet od zachwycenia”.

Pominąwszy ten ostatni przykład, ten landszaft w ułtymatywnych różach, stwierdzić można, iż twórca Arcykonstruktora, Stanisław Lem, przeciął się w swoim piśnieniu z koncepcją sztuki ubogiej, czyli *arte povera* (zwanej tak w latach 60. ubiegłego wieku). Ba, może nawet inspirował się wprost konceptem sztuki znajdującej walory estetyczne we wszystkim, co niepozorne, byle jakie, a choćby i plugawe. Trudno o lepszy przykład niż deska z dziurą wyrwana z jakiegoś przewetu, stanowiąca już w czasie wojny oś ideową „Powrotu Odysa” (wedle Wyspiańskiego) w inscenizacji Tadeusza Kantora. Dowiódł tego jasno w studium „Deska” prof. Mieczysław Porębski.

DO RZECZY: CO Z UCIECHĄ? Kobyszcze kontemplowało wszystko jak leci, zaznając przy tym szczęścia – co prawda stopniowego, jak czytamy, lecz nie do podważenia. Warsztat konstruktorski Trurla, do schludnych nienależący, był dlań niczym jaskinia Ali Baby. Serie zachwyków obnażyły jednak problem. Skoro bowiem kogoś cieszy wszystko, a niesmak, zwątpienie czy nuda są mu niedostępne, zna-

czy to, że pozbawiony jest wolnej woli – całkiem niby publiczność na wystawach *arte povera*, ciesząca się na akord i równie entuzjastyczna względem wszystkiego. Istotą rzeczy jest bowiem zdolność odróżniania i przedkładania jednego starego trzewika czy deski nad inne. A to wymaga rozeznania. Trurl pojął to w pewnym momencie i wprawił Kobyszczeniowi w brzuch połączony manometr wyskalowany w jednostkach szczęścia, czyli hedach. Każdy, kto zastanawia się, co go cieszy, winien poznać logikę tej skali:

„Za jeden hed przyjął [Trurl] tę ilość ekstazy, jakiej się doznaje, gdy przebędzie się cztery mile w bucie z gwoździem wystającym, a potem gwóźdź się usunie. Pomnożył drogę przez czas, podzielił przez zadziorność gwoźdźcia, przed nawias wprowadził współczynnik pięty zmęczoności i tak mu się udało przełożyć szczęście na układ centymetr-gram-sekunda. (...) Wpatrując się w poplamiony oliwą fartuch roboczy Trurla (...) Kontemplator, zależnie od kąta nachylenia i ogólnego oświetlenia, doznawał od 11,8 do 18,9 hedów na płamę, łatę i sekundę”. Wspaniałe rachunki, prawda? Algorytm egzystencjalny gwoźdźcia w bucie w niejednej biografii znalazłby odzwierciedlenie (może zresztą pozbycie się gwoźdźcia jest jednym z najbardziej wyrazistych momentów na mapie uczuć?).

Autorowi przypowieści patronowały najwyraźniej dzieła (i tychże interpretacje) z kręgu tryumfującej w latach powstawania tekstu tzw. abstrakcji niegeometrycznej, czyli *informelu*, to jedno. Drugie: wpierane w publikę stany duchowe związane z poszukiwaniem sensu małunków zupełnie bezsensownych. Co do wymienionych powyżej efektów poaestetycznych, Lem popełnił błąd. Cztery mile to bardzo dużo. Drogę z gwoździem



Redakcja „TP”, początek lat 50. Od lewej stoją: Tadeusz Chrzanowski, Jan Józef Szczepański i Leopold Tyrmand. Siedzą: Zofia Starowieyska-Morstinowa, Józefa Golmont (Hennelowa), Jerzy Turowicz, Stefan Kisielewski, ks. Andrzej Bardecki.

FOT. AUTOR NIEZNANY / ARCHIWUM „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

STEFAN KISIELEWSKI

GDY SIEDZIAŁEM nad korektą w moim pokoju w „Przekroju” (piastowałem bowiem wtedy zaszczytną funkcję korektora), do pokoju owego wślizgnął się jakiś dziwny osobnik. Był to facet czarny jak kruk, o podłużnej, bladej twarzy z lisim wyrazem, bardzo nieogolony, bardzo niedbale ubrany, raczej niezbyt wymyty (choć może

był to wynik przyrodzonej czarności). Nie chodził, lecz jakby przesuwał się bezszelestnie pod ścianami, głos miał słodko przymilny i aksamitnie przeproszący, zdecydowanie przy tym unikał patrzenia w oczy. Jak domyślaliście się na pewno z opisu, był to redaktor Jerzy Turowicz.

Po długich, naszpikowanych jezuickimi (jak się później okazało) wykrętami, tysiącnymi przeproszeniami i pochlebstwami wstępach mój gość wyłuszczył wreszcie, o co

chodzi. Zaczęło mianowicie ukazywać się „ pewne pismo (... ale pan naturalnie nie zechciałby u nas pisywać...) i to właśnie pismo (...jaka szkoda, że pan na pewno nie zechce...) potrzebuje recenzenta muzycznego, a akurat Czesław Miłosz mówił, że pan to robi znakomicie, niestychanie, genialnie (...jaka szkoda, że panu nasze pismo się na pewno nie spodoba...), więc pozwoliłem sobie, za co ogromnie, niewymownie przeproszam, niepokoić pana, choć wiem, że na pewno...”.

Z ARCHIWUM „TP”

- Jakież to więc jest pismo?
- przerwałem tajemniczemu nieznanemu jego mnożące się w nieskończoność pokorne ekskuzy.
- To jest pismo takie... tego... owego... Ale pan na pewno... tego...
- No, mówże pan!
- To jest pismo... tego... hm... katolickie.

Poczułem ulgę w sercu i jałem gorąco zapewniać mego gościa, że chociaż osobiście wolałbym masońską kielnię i trójkąt („...rozumiem, naturalnie...”, przytaknął skwapliwie mój gość), to jednak nie mam żadnych uprzedzeń i gotów jestem duszą i ciałem być na jego usługi. Jego i jego moco-dawców. I tak oto, jak widzicie, stałem się kleszym sługą. Żadna praca nie hańbi. ¶

„TP” 34/1958

w bucie pomnożyć należy przez kwadrat czasu, gdyż gwóźdź uwiera nawet wówczas, gdy się stoi.

DOŚĆ WMYŚLIĆ SIĘ W ISTOTĘ PRZYKŁADU Z GWOŹDZIEM, by rozpoznać – i bez liczenia – znany egzystencjalny paradoks. Uciecha bądź nawet szczęście następuje, gdy znika cierpienie. Jednakże, jak wie każdy doświadczony bólem zęba, ilość i jakość cierpienia dostarczanego przez ząb nie równa się ilości i jakości rozkosznej ulgi po zęba wyrwaniu. Cierpienia jest zawsze wielokrotnie więcej niż ulgi, która oznacza zaledwie przywróconą nareszcie normalność. Stąd wskazania Trurlowskiego felicytometru oznaczają w praktyce bytowej tyle, co porcjowanie wytchnienia. Odkrywcą opisanego wyżej paradoksu jest, oczywiście, Arthur Schopenhauer, pilnie przez Lema czytany. Schopenhauer – twórca formuły, że dla pojęcia asymetrii uciechy dość porównać męczarnie istoty zjadanej z sa-

tysfakcją istoty zjadającej. Okrutna porcja.

Nie zapominajmy jednak o trzech oczyskach-lunetach Kobyszczenia. Przyjęty przy jego tworzeniu (fundamentalny dla estetyki) koncept postrzegania jako podstawy szczęścia wyłożył Trurl swemu odwiecznemu rywalowi, sceptykowi imieniem Klapaucjusz:

„Aktywnym sposobem bezustannie postrzega! – wyjaśnił. – I nie po prostu postrzega, notując, lecz czyni to intensywnie, w skupieniu i pracowicie, a cokolwiek postrzeże, przyprowadza je o niewypowiedzianą zgoła lubość! I lubość ta, wypełniając jego anody i obwody, daje mu czarowny błogostan, którego oznaką są te właśnie pojęki, jakie słyszysz w tej chwili, kiedy wpatruje się w twoje, banalne skądinąd rysy”. Dałoby się ten tekst czytać, nie bez rozbawienia, z wydaną wówczas (1965 rok), sławną skądinąd książką o charakterze zgoła odmiennym. Okrutna by to była parodia, jeśli w głowie

Lema urodził się taki żart (w mojej, w każdym razie, postać). Idzie o tekst przyjaciela i sąsiada Lema zza płota, Jana Błońskiego: „Widzieć jasno w zachwyceniu!”. Ściśle temu oddaje się Kobyszcze, a zatem i nic odeń nie lepszy Marcel Proust z dzieła Błońskiego. Wyobraźcie ich sobie razem „kucających od zachwycenia”. Trudno się nie ucieszyć.

BEZLITOŃNIE WYDRWIONY PRZEZ KLAPAUJCUSZA, Trurl podjął kolejne eksperymenty, o których innym razem, aż wreszcie wpadł na pomysł kopernikański co do joty. Wyciągnął z rupieciarni nieszczęsne Kobyszcze i „wetknął mu małą przystawkę inteligencji”. Sytuacja zmieniła się diametralnie. Nie da się ukryć: nie na korzyść Arcykonstruktora. Gdyż w Kobyszczeniu załęgła się myśl krytyczna. A gdy już raz myśl krytyczna znajdzie sobie dojście i lodowato błysnie, z prawdziwie spontanicznym cieszeniem się bywa krucho:

⇒ „Podobać to mi się dalej wszystko podoba, powstrzymuję wszelako podziw refleksją, ponieważ chcę się pierwszej dowiedzieć, dlaczego właściwie mi się podoba, to jest skąd, a także po co, czyli w jakim celu. (...) Czuję, że coś każe mi także i ciebie podziwiać, lecz rozważa nakazuje przeciwstawić się owemu parciu wewnętrznemu, bo czyż nie może być ono pułapką na mnie zastawioną?”. Kontemplator Bytu, jeśli ów

Byt może być po kartezyjańsku podstępny, przestaje być Szczęsny, staje się zaś „wąty, niebaczny, rozdwojony w sobie”. A tak brzmi właśnie fraza dawnego poety, która tak zainfekowała wyobraźnię sąsiada, czyli Jana Błońskiego (nie tylko jego zresztą), że poświęcił mu tezę doktorską („Mikołaj Sęp-Szarzyński a początki polskiego baroku”, 1967). Wraz z Kartezjuszem i Sępem traci niewinność bezrefleksyjnej szczęśliwości.

PODZIW KOBYSZCZĘCIA DLA SWEGO STWÓRCY, podszyty destruuującą refleksją, przejawia cechę, którą Lem bodaj odkrył, a na pewno genialnie wychwycił. Nazwać ją można prawem szczęściorodnej homeostazy. Oddalający się, bo wciąż podejrzany stan uciechy z czegokolwiek domaga się wyrównania zadowoleń na drodze przebudowy podmiotu. Jako że Kobyszczę zyskało tymczasem

rangę podmiotu, a każdy podmiot, by móc być takowym, żąda metafizycznej pewności siebie. Musi więc zacząć od siebie. Wtedy i tylko wtedy, rozumuje Kobyszczę, coś może mi się podobać, jeśli samo się sobie spodoba. Tylko wówczas coś mnie ucieszy, jeśli samo się sobą ucieszy. Trurl z irytacją odkrywa, że dialog z jego pechowym wytworem przesuwa się raptem na grunt mistyczny. Kobyszczę nadaje z taką oto, iście teologiczną, logiką:

„Co tobie się wydaje przypadkowym zbiegiem okoliczności, wcale nim być nie musi. Brak stalowej blachy wzięłeś, być może, za akcydens, lecz skąd wiesz, czy nie ustanowiła go Wyższa Konieczność? Obecność blachy miedzianej wydała ci się tylko poręczna, ale i tu zaszła na pewno ingerencja Harmonii Przedustawnej. Także w liczbie mych oczu oraz nóg muszą się kryć otchłanne Tajemnice Wyższego Porządku jako Wiekuiste Znaczenia tych liczb, stosunków oraz proporcji. I tak, zarówno trzy, jak i pięć – to liczby pierwsze. A wszak mogłaby się jedna dzielić przez drugą – uważasz? Trzy razy pięć jest piętnaście, to znaczy jeden i piątka; dodane – dają sześć, a sześć dzielone przez trzy daje dwa, czyli liczbę moich barw (...). Miałaby taki precyzyjny stosunek wynikać z przypadku? Śmieszne rzeczy! Jestem istotą wykraczającą poza twój małostkowy horyzont, ślusarzu prymitywny! (...) Widzę w tych cechach odbicie związków istnienia jako Symetrii, której znaczenia jeszcze nie pojmuję jak należy”.

LEM MIAŁ TO PRZEPRACOWANE JUŻ 60 LAT TEMU: wyłożony tu został niewątpliwie tzw. Inteligentny Projekt! Nie jest przypadkiem, iż Kobyszczę to wytwór myśli inżynierskiej. A jeśli jest konstrukt, to musi być i konstruktor. Podobnie dla wyznawców Inteligentnego Projektu: skoro mamy stworzenie, to mamy i stwórcę. Ateista Lem, szepnijmy to sobie na ucho, rozwija aberracyjną dlań myśl w czysty absurd. Oczywiście, głupawy Trurl to dla Kobyszczęcia – tkniętego z nagłą laską teologicznej jasności – ledwie narzędzie w dłoni Absolutu, którego istoty odtąd dociekać będzie ono przez resztę swych dni. O żadnym kontemplowaniu czegokolwiek nie ma już mowy: kabalistyka zabiła potrzebę radości. Nic w tym dziwnego, że wściekły Trurl wlecze wierzgające Kobyszczę na powrót do rupieciarni: niech tam sobie obcuje z własną doskonałością i wynikającym z niej Absolutem.

Zamiast istoty cieszącej się istnieniem, stworzył rozum zatrzęsnięty w sobie. A raczej – tak mu wyszło z natury rzeczy; taka ewolucja była nieuchronna. Krótko mówiąc – Kobyszczę, nie postrzegając już niczego, jest wreszcie szczęśliwie jako Sar-

Z ARCHIWUM „TP”

TYGODNIK POWSZECHNY

Spotkania literackie

W OBRONIE KOBYL

gonie dziennikarstwa. Jak-
saka po prostu artykuł du-
miarow. Na pewno nie jest
pooblebna. Trzymajmy się
zoologicznych porównań,
mamy o kłacz, mamy na
myśli raczej zgrabne, młode,
zgrabne, kobyla – odwrotnie:
młoda, ciężka i niezgrabna.
„Kobylasty” może to wspaniały
i – z moim uwzględnieniem re-
dakcji – tylko czarne, redak-
cyjne cudo, jakie te-
mowa.

musi, a gdyby nawet kobyla uka-
zała się w druku – 80 proc. czytelników
nie zechciałoby jej przeczytać.
Dobry się dało znaleźć anty-
kobylistów: argumentów. Istnieje
rzeczowa kobyla, której nie nie
potrafi krótko wyrazić, nie umieją
dokonać wyboru, gubią się w szczegó-
łach, grzeszą wadząc się artykuł
wypisuje, co im na głowę przysięga,
powtarzają się słowa myśli w różnych
wariantach, nie wywołują żadnych
wrażeń, nie mają żadnej siły
wypowiedzi, nie

wę najbardziej; skomplikowa-
nie przedstawie jako zupełnie pro-
ste ma tam miejsca na omówienie
i dyskusję. Jest zupełnie jasne,
praca kobyla i dółce całego
wają niemiernie ale pracow i kró-
notalka może być blaha i nud-
przemawia przede wszystkim...
ktoś. Zdobrajac się do kłaczki o
stwierdzenie artykułu, wiesz z
ry, że lepiej musiał mieć więcej
jakaś praca kłaczka – a to
już trafia. Tymczasem dają i
dają kłaczki od czasu czasu
niezgrabnie, kłaczka.

ANTONI GOŁUBIEW

W żargonie dziennikarskim kobyla oznacza po prostu artykuł dużych rozmiarów. Na pewno nie jest to nazwa pooblebna. Trzymajmy się już tych zoologicznych porównań. Gdy mówimy o kłaczce, mamy na myśli zwierzę raczej zgrabne, młode, zręczne; kobyla – odwrotnie: jest wielka, ciężka i niezgrabna. Artykuł kobylasty nosi te wszystkie cechy i jest utrapieniem redaktorów. Tylko członkowie redakcji znają grymas niechęci, jakim redaktor niemal z reguły obdarza kobyłę, choć wobec autora robi grzeczne miny, a odrzucając artykuł rozkłada bezradnie ręce: „Chciałbym bardzo, ale za długie”. Tu następuje przewlekły spór z autorem, który udowadnia z ogniem, że „nic się tu skreślić nie da”; w rezultacie najczęściej idą w ruch nożyce i ołówek, z biednej zaś „kobyły” robi się zgrabny i zręczny konik.

TP 22/1949

trowski *byt-w-sobie*. Pępkocentryzm, a może ściślej: solipsyzm Kobyszczenia w komórce zakrawa na odprawę Lema daną sztuce conceptualnej, obywatelce się bez dzieł, bez form, a w szczególności udanych przypadkach: bez myśli.

Przygoda Trurla z Kobyszczeniem i urodą świata jako źródłem szczęścia jest tylko fragmentem przypowieści „Kobyszcze”, ta zaś – fragmentem „Cyberiady”. Niewykluczone, że Lem, zmagający się z paradoksami sposobów uszczęśliwienia ludzkości, nawet nie dostrzegł, że wkracza na teren estetyki pojętej jako punkt wyjścia refleksji etycznych. Ciekawie było jednak wyodrębnić ten wątek, chyba nie dostrzegany, komentować myśl ukrytą w alegorii i towarzyszyć jej uwikłaniom. To właśnie lubię, to sobie cenię i to mnie cieszy w moich sprawach z literaturą, wciąż, jak sądzę, niedoczytaną, do końca nierozpoznaną i często lekceważoną, odsyłaną do kąta i na półki antykwariatów. Kto chce, może nazwać to misją: snucie takich, jak wyżej, rozważań, oby w jakimś stopniu sensownych, uważam za konieczne, by czyjeś prace w słowie dać przyszłość. Wierzę, że podtrzymywanie takiej transmisji między umysłowościami pisarzy a umysłami czytelników uzasadnia literaturę (i radość poznawczą z teje), a tym, którzy podejmują takie wyzwanie

Trzy razy pięć jest piętnaście,
to znaczy jeden i piątka;
dodane – dają sześć, a sześć
dzielone przez trzy daje
dwa, czyli liczbę moich
barw (...). Miałżeby taki
precyzyjny stosunek
wynikać z przypadku?
Śmieszne rzeczy! Jestem
istotą wykraczającą poza
twój małostkowy horyzont,
ślusarzu prymitywny!

lektury i myślenia (a czasem i spekulacji), tworzy azyl. Azyl bez konkretnego adresu instytucjonalnego, lecz – bywa – z konkretnym adresem ludzkim.

GDY OBMYŚLAŁAM KONCEPT LEMA, który zaprowadził mnie krętą dróżką do Błońskiego, przypomniałam sobie, nie bez frajdy, o innym jeszcze bohaterze myśli

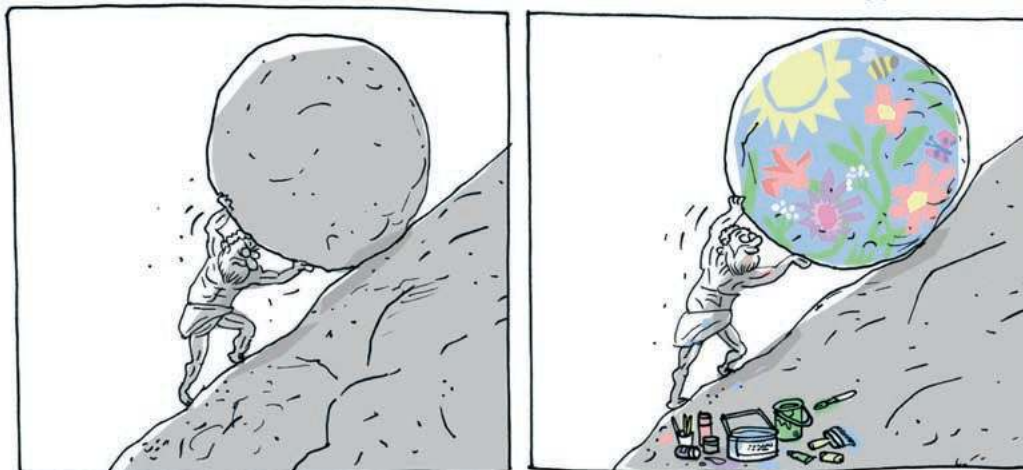
krakowskiego krytyka: o Bolesławie Micińskim, o jego listach do Jerzego Stempowskiego. W kontekście poruszającego świadectwa przyjaźni, ale i samej radości współmyślenia. Ciężko chory Miciński notuje w jednym z listów (maj/czerwiec 1940) tęsknotę, którą moja wyobraźnia żywiła się i żywi. Spisuję ją za nim: „Nachodzi mnie teraz często taka myśl: trzeba będzie, jak przyjdzie lepszy czas, wynająć trzy pokoje na Wspólnej albo na Kruczej i założyć prywatny uniwersytet. Coś w rodzaju teatru Antoine’a. Przeglądam już w myśli prace seminaryjne na temat: »Porządek dóbr według Bouvarda i Pecucheta«, albo tytuł zawilszy: »Relatywizm jako idea regulatywna intelektu a Sąd Ostateczny jako idea regulatywna i postulat moralności według Kanta...«. Chętnie byłbym pedlem w takim uniwersytecie, gdyby zechciał Pan być jego rektorem! Byłaby to, jak sądzę, pożyteczna instytucja (...). Dużo myślę o przyszłości i dlatego nachodzą mnie takie fantazje”. Obyśmy mieli gdzie, obyśmy mieli z kim tak myśleć. I tak się bawić.

© ELIZA KAČKA

Autorka jest literaturoznawczynią i pisarką. Ostatnio opublikowała „Wczoraj byłaś zła na zielono”. Z „Tygodnikiem” współpracuje od 2016 r., od 2023 r. jako felietonistka.

BARTOSZ MINKIEWICZ

SAM ZADBAJ O SWOJ CODZIENNY DOBRY NASTROJ.



Gradacja

MAREK BIEŃCZYK

Ciesz się mnie dostrzeganie
w naszym życiu ruchu
cieniowania, przetaczania
jednego (koloru, gestu, uczucia,
słowa) w kolejne wcielenia,
w pośrednie awatary.

Z ARCHIWUM „TP”

Wierny czytelnik

JERZY PILCH

pisarz i felietonista „TP”

Od czasu do czasu redakcję „TP” odwiedza osobiście lub też śle pod naszym adresem miłą korespondencję tzw. wierny czytelnik. W ostatnich latach – nie ma co ukrywać – korespondencja ta miewa dość często zabarwienie pożegnalne. Jestem waszym wiernym czytelnikiem od samego początku, pisze wierny czytelnik, czytuję was nieprzerwanie od 1939 roku, wychowałem się na was, teraz jednak, kiedy przeczytałem to, co napisał ksiądz Tischner, odchodzę. Dziękuję za wszystko. Nigdy o was nie zapomnę. Wasz wierny czytelnik.

Nie chcę bynajmniej przesadnie w tym miejscu – a jest to delikatne miejsce wywodu – wzmacniać tonację szyderczej. Wierny czytelnik ma prawo zadeklarować swą wierność i ma też prawo, by zadeklarować kres swej wierności. Redakcja ma wszakże też prawo powiedzieć, iż nie każde rozstanie z wiernym czytelnikiem sprawia jej jednaki ból. Tak jest, bywają wśród wiernych czytelników „TP” bardzo ciężkie przypadki.

„TP” 36/1993

PRZYSZŁOŚĆ PRYZYSTAŁA NA POJEZIE-RZU DRAWSKIM. Podczas niedawnego, lutowego zmięzchu po bezchmurnym dniu zachodzące słońce dało z siebie wszystko, chcąc stworzyć nieprawdopodobny, zniewalający spektakl. Barwny aż do przesady, pojemny jak najszerszy travelling; aby objąć cały obraz, głowa musiała kręcić się od prawa do lewa, niczym w gimnastycznym ćwiczeniu. To było bardziej nawet wstrząsające niż piękne; bardziej nadmierne niż wyważone. Gdybym sam reżyserował przedstawienie, może bym odjął jedną nutę czy jeden odcień. Niepotrzebnie; po co bronić się przed czymś, co nadchodzi radykalnie?

Zrobiłem pierwsze od bardzo wielu dni zdjęcie. Pochyliliśmy się nad komórką i niemal jednym głosem wykrzyknęliśmy: Rothko! Z podziwem, lecz tym razem nie po to, by kulturalnie zakotwiczyć naturalny widok w dziele sztuki, ani też po to, by, odwrotnie, ujrzyć doskonałość przyrody jako wzór do artystycznego naśladowania. Uderzające było co innego: wymienialność jednego na drugie, poczucie, że na horyzoncie można by powiesić obraz Rothko, a do ścian galerii przyczepić tamten zmięzch. Podobne stopniowanie kolorów; żadna barwa nie była tu obca, każda wywodziła się z poprzedniej; w sposób ciągły czern na dole przechodziła przez kolejne rozjaśnienia, aż w końcu stawała się rozpalonym żółcieniem, różem i pomarańczą na samej górze. Albo odwrotnie. Wyższy żółcień, granat i pomarańcza powoli schodziły w niską czern i w niej się zanurzały.

W tamtej chwili pojąłem, że spotkanie słońca z nocą oraz obrazy Rothko uchwyciły równoległe i ujawniły jakąś powszechną zasadę i postać bytu, którą można uchwycić własnym okiem, przez którą można zagospodarować własną możliwość pełnego, dobrego istnienia – możliwość należąca raczej do kategorii cudów niż do codzienności. Nazwałem tę zasadę „gradacją” i jakiś czas później – dodam anegdotycznie – pojąłem z łatwością, dlaczego np. zawsze lubiłem swetry wydziergane czy wyprodukowane w myśl stopniowego przenikania się kolorów, przechodzenia jednej barwy w jej

różne nuanse, najczęściej coraz jaśniejsze i delikatniejsze. Albo dlaczego zafascynowała mnie kiedyś pamiętna scena z filmu Spielberga „Bliskie spotkania trzeciego stopnia”, kiedy to istoty pozaziemskie i ziemskie dopasowują zagrane przez siebie gamy, aby wreszcie osiągnąć tę samą wysokość tonów.

CO BY TO JEDNAK ZNACZYŁO, pamiętać o zasadzie gradacji? Uwierzyć w gradację? Dojrzeć w naszym życiu ruch cieniowania, przetaczania jednego (jednego koloru, jednego gestu, uczucia, słowa) w kolejne wcielenia, w pośrednie awatary? Gradacja prowadzi o stopień wyżej, albo o stopień gdzie indziej, lecz odrzuca zanikanie. Nie zanikanie zatem, lecz przenikanie; odejście w aurze wierności, przemiana, która nie zmienia. Bo też dziesiąty stopień nosiły w sobie załączki pierwszego.

Dobrze byłoby tak rzeczy widzieć. Dziesiąty rok miłości – chociażby – ma geny roku pierwszego; nie jest do niego zupełnie podobny, jest, co tam dużo gadać, po dziesięciokroć inny, zapewne trudniejszy, lecz nie jest niegdysiejszy. Pozwala żyć, jeśli uwierzmy w zbawienną gradację, w harmonii, a w najgorszym wypadku w harmonijnej dysharmonii. Uwierzyć w gradację przynosi ulgę i wolność; żadnych tu żali, grozy przemijania, rozważania straty, nawet jeśli ból dotkliwie uwiera.

Ale też gradacja nie prowadzi do stoicyzmu; nie ma w niej stania, biernej akceptacji; wyzwala ruch, energię przeskoku, pęd, podczas którego mało jest czasu na wątpienie, a dużo na werwę.

Jej hymnem, wyobrażam sobie, mógłby być słynny wiersz Daniela Naborowskiego „Na oczy królowny angielskiej, która była za Fryderykiem, falcgrafem reńskim, obranym królem czeskim”.

*Twe oczy, skąd Kupido na wsze
ziemskie kraje,
Córo możnego króla, harde prawa daje,
Nie oczy, lecz pochodnie dwie
nielitościwe,
Które palą na popiół serca
nieszczęśliwe.
Nie pochodnie, lecz gwiazdy, których
jasne zorze*

Błagają nagłym wiatrem rozgniewane
morze.
Nie gwiazdy, ale słońca pałające różno,
Których blask śmiertelnemu oku pojąć
próżno.
Nie słońca, ale nieba, bo swój obrót mają
I swoją śliczną barwą niebu wprzód
nie dają.
Nie nieba, ale dziwnej mocy są bogowie,
Przed którymi padają ziemscy
monarchowie.
Nie bogowie też zgoła, bo azaż bogowie
Pastwią się tak nad sercy ludzkimi
surowie?
Nie nieba: niebo torem jednostajnym
chodzi;
Nie słońca: słońce jedno wschodzi
i zachodzi;
Nie gwiazdy, bo te tylko w ciemności
panują;
Nie pochodnie, bo lada wiatrom te
hołdują.
Lecz się wszystko zamyka w jednym
oka słowie:
Pochodnie, gwiazdy, słońca, nieba
i bogowie.

OCZYWIŚCIE MOŻNA TEN WIERSZ CZYTAĆ jako barokowe cacuszko, oparte na koncepcie wyliczenia tak w tamtych czasach rozposzechnionego. Ale też jako *exemplum gradacji*; pod zabawą i uśmiechem (albo: wraz z zabawą i uśmiechem) dostrzec wypowiedź o budowie naszego języka, zatem i naszej egzystencji. Jeśli wszystko się mieści w „jednym oka słowie”, jeśli „pochodnie, gwiazdy, słońca, nieba i bogowie” są niuansami siebie samych, wzajemnymi odcieniami, odmiennymi stężeniami tego samego, dostajemy od świata gratisowe wsparcie. Nie wiemy, skąd przyszliśmy i dokąd idziemy, nie wiemy, czym jest „oko słowa” i jakie jest to słowo, tkwimy w środku bez właściwego początku i kresu na horyzoncie, jednak, choć tu sprowadzeni, nie tkwimy w więziennym bezruchu. Pochodnie, gwiazdy, słońca, nieba i bogowie, i jeszcze, i jeszcze. ©

Autor jest pisarzem, historykiem literatury, tłumaczem i znawcą wina. Autor wielu książek, za „Książkę twarzy” otrzymał Nagrodę Literacką NIKE. Ostatnio opublikował „Rondo Wiatraczna”. Z „Tygodnikiem” współpracuje od 2001 roku.



OPP / FOT. GRAZYNA MAKARA

MONIKA LECH,
dyrektorka
ds. rozwoju.
Na zdjęciu
z redaktorem
naczelnym Piotrem
Mucharzskim
w newsroomie
„Tygodnika”

Wierzę, że różnorodność leży u podstaw każdego rozwoju. Tylko wtedy, gdy dostrzegamy innych ludzi, inne poglądy, inne opinie – możemy obiektywnie i rzetelnie opisywać rzeczywistość i zmieniać świat.

Twój 1,5% podatku pomaga w utrzymaniu Tygodnikowej różnorodności. Nie zapomnij o wpłacie na Fundację Tygodnika Powszechnego.

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania?
Zadzwoń: 12 426 53 31
lub napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl
– chętnie pomożemy!

1,5%



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

» **KRS 0000 125 605**

Twoje wsparcie pozwala zmieniać świat. Naprawdę

KRÓL KABARETU

Pisał teksty najpopularniejszych piosenek międzywojnia, prowadził słynne warszawskie kabarety. Zyskał sławę jednego z ojców polskiej kultury masowej. 130 lat temu urodził się Andrzej Włast.

STANISŁAW CALIK

WYSOKI BRUNET W ROGOWYCH OKULARACH, lekko przy łysinie – tak go zapamiętano. Chętnie i przyjaźnie przyjmował debiutantów, którzy przynosili swoje rękopisy, uwielbiał kreować nowe gwiazdy. Nieżonaty, poświęcał się całkowicie ulubionemu zajęciu. Praco-
holik, wymagający szef, bezlitośnie roz-
stawiał się z aktorami leniwymi lub nie-
spełniającymi oczekiwań.

Jednak choć był w centrum uwagi opinii publicznej, jego biografia wciąż ma wiele białych plam.

POLSKI MANCHESTER | O pierwszych dwóch dekadach jego życia wiadomo niewiele. Udało nam się jednak czegoś dowiedzieć. Dziecko urodzone w marcu 1895 r. w Łodzi, mieście pod władzą imperium rosyjskiego, nazywało się Gustaw Baumritter.

O rodzinie nie ma żadnych bliższych informacji. Jednak rodzice musieli mieć dość pieniędzy, by kształcić syna w prywatnej średniej szkole A. Jeżewskiego, a następnie opłacić studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

Paradoks polega na tym, że łódzkie księgi adresowe z 1900 r. (gdy Gustaw miał 5 lat) i 1913 r. (ostatni jego rok w szkole) nie podają Szymona Baumrittera, głowy rodziny, wśród przedsiębiorców czy właścicieli nieruchomości. Czy był np. lekarzem, prawnikiem, architektem? Nie ma go wśród przedstawicieli tych zawodów.

Jednak w Łodzi, przemysłowym ośrodku zwanym „polskim Manchesterem”, działało wiele filii dużych banków rosyjskich. Ojciec naszego bohatera

mógł tam pracować. Po stronie matki zaś, Salomei z Eisenmannów, byli zamożni krewni. Wśród nich: Icek Rabinowicz-Eisenmann, właściciel kamienicy przy ul. Konstantynowskiej 59. Możliwe, że rodzina tu mieszkała.

NIELEGALNI WIDZOWIE | Przypadkowe spotkanie ze starszym o sześć miesięcy rówieśnikiem ukształtuje przyszłe życie Gustawa. Nowy przyjaciel interesuje się literaturą, pisze wiersze, tłumaczy poezję Leopolda Staffa na esperanto. Jest jednak słaby w naukach ścisłych, raz nawet został drugorocznikiem. Wkrótce zostanie słynnym poetą międzywojennej Polski – nazywa się Julian Tuwim.

W 1907 r. w Łodzi otwiera się pierwszy w mieście teatr variété „Urania” z tancerkami, szansonistkami, dwiema orkiestrami, kuplecistami, cyrkowcami itp. Właścicielem jest Teodor Junod, ojciec przyszłego gwiazdora filmowego Eugeniusza Bodo.

Nastoletni Gustaw i Julian od czasu do czasu zakradają się na widowie – uczniowie nie mogą oglądać kabaretu – i dosłownie mdleją od bajecznej atmosfery elegancji, swobodnych manier i rytmu. Nawiasem mówiąc, 10-letni syn pana Junody też występuje, w stroju kowboja. W przyszłości los znów połączy dwóch nielegalnych widzów i małego kowboja – na profesjonalnej scenie w stolicy.

LEGIONISTA | Ukończywszy w 1914 r. szkołę, Gustaw jedzie na studia. W wolnym czasie pisze rewii „Pod murami Warszawy” i proponuje ją Teatrowi

Udziałowemu. Premiera odbywa się 20 grudnia 1914 r. Na afiszu autor figuruje jako Andrzej Włast – odtąd znika Gustaw Baumritter.

Tymczasem od pół roku trwa I wojna światowa. Latem 1915 r. armie niemiecka i austro-węgierska wypierają wojska cara z ówczesnej Kongresówki (centralnej Polski). Z punktu widzenia prawa międzynarodowego to teren okupowany i nie można prowadzić tu poboru, ale ochotnicy mogą zgłaszać się np. do Legionów Polskich, walczących u boku c.k. armii.

20-letni Andrzej Włast (zgodnie z jego wolą, trzymajmy się odtąd tego nazwiska) zgłasza się do 5. Pułku Piechoty Legionów. Na front nie pójdzie – gdy okazuje się, że ma doświadczenie literackie, zostaje skierowany do sztabu, do Wydziału Propagandy (dziś powiedzielibyśmy: wojny informacyjnej). Organizuje wydarzenia kulturalne.

Legiony to formacja szczególna, pełno tu ludzi kultury. Młody Włast nawiązuje liczne kontakty; dzięki nim zajmie później kierownicze stanowiska w teatrach.

W maju 1916 r. zostaje kierownikiem literackim kabaretu „Bi-Ba-Bo”, uruchamia własną rewię o niemal szekspirowskim tytule „Być albo nie być” i daje zielone światło debiutowi rewiowemu swego druha Tuwima. W 1918 r. zostaje kierownikiem literackim kabaretu „Miraz”.

KABARECIARZ | Gdyby był tylko kierownikiem, jego „gwiazda” szybko by zgasła. Ale on działa jako autor rewii, pisze teksty do znanych polskich i niemieckich melodii. Te przeróbki na aktualne tematy



Zizi Halama i Tadeusz Olsza w rewii „1000 pięknych dziewcząt” w Teatrze Morskie Oko. Warszawa, 1929 r.

„Perskiego Oka” nie udaje się uratować, po dwóch miesiącach zostaje zamknięte. Włast decyduje się na ryzykowny krok: otwiera własny kabaret „Nowe Perskie Oko”. Wynajmuje inną salę z większą widownią i wygodniejszą sceną. W listopadzie nowy teatr rewiowy zaczyna występy z programem „Publiczność ma głos” – i odnosi sukces.

Ponieważ właściciele marki „Perskie Oko” skarżą się, że ich nazwa jest wykorzystywana, Włast zmienia nazwę na „Morskie Oko”.

PARYŻ W WARSZAWIE | To właśnie „Morskie Oko” szybko staje się główną stołeczną sceną rozrywkową. „Przebogate dekoracje, wspaniałe kostiumy, wielki balet, dwie orkiestry (jedna na scenie, druga na widowni), dwadzieścia cztery girls, boje, gwiazdy i gwiazdorzy... Rekordowe powodzenie. Rewie utrzymują się na afiszu trzy do czterech miesięcy” – wspominał aktor i piosenkarz Kazimierz Krukowski.

Włast nie tylko jest właścicielem, dyrektorem i reżyserem „Morskiego Oka”, ale także czołowym autorem. Pisze teksty do takich przebojów jak „Jesienne róże” (uznawane za jedno z najlepszych polskich tang), „Tango Milonga” (stało się światowym hitem, było wykonywane na Broadwayu), „Śpij, moje serce” (przebój roku 1932), „Tango andrusowskie”, „Czy pani mieszka sama?” i innych. Niektóre z nich do dziś nie straciły na popularności.

SEKRET SUKCESU | Włast jest zawsze o pół kroku przed konkurentami. Co roku kilka razy odwiedza Paryż, analizuje repertuar słynnych kabaretów „Casino de Paris” i „Folies-Bergère”, a obserwacje wykorzystuje w swojej pracy. Z kolei po jego podróży do Ameryki w „Morskim Oku” pojawiają się nowe tańce: charleston, cakewalk, two-step, black bottom.

Śledzi hity także z innych krajów. Na przykład w Związku Sowieckim bardzo popularna staje się humorystyczna piosenka „Przy samowarze ja i moja Masza”. Wkrótce w „Morskim Oku” publiczność oklaskuje piosenkę „Pod samowarem siedzi moja Masza” – nie jest to tłumaczenie, ale dowcipna wariacja na temat. →

(jak podwyżki cen, miejskie włóczęgi itp.) cieszą się popularnością.

Zwiąawszy swoje życie z kabaretem, Włast komponuje do niego swoistą odę w satyrycznej piosence „Za 10 lat”, nie zapominając o Tuwimie, piszącym pod pseudonimem Wim, a także o sobie samym:

*Tylko na scenie nam nie będzie źle tu,
Nie zginie z głodu artystyczna brać,
Kto swe zdolności da dla kabaretu,
Będzie miesięcznie miliard marek brać!
„Bis!” – pan zawołasz i zapłacisz tysiąc
Za „Tirli-Tirli” lub za „Kobiet zjazd”,
A za piosenkę, mogę tu poprzysiądz...
7,50 weźmie Wim lub Włast!*

O popularności młodego autora świadczy m.in. wydanie w Warszawie już

w 1919 r. książki „Andrzej Włast. Piosenki”, w 1921 r. książki „Estrada. Utwory Andrzeja Własta”, a w 1923 r. tomiku jego poezji „Serce tatuowane”. Nic dziwnego, że to jemu zlecają pisanie tekstów piosenek najsłynniejsze warszawskie kabarety: „Stańczyk”, „Qui Pro Quo” i „Perskie Oko”.

TRAMPOLINA | W lipcu 1927 r. zostaje kierownikiem artystycznym „Perskiego Oka”. Tak naprawdę to jego, autora najpopularniejszych piosenek, zaprosili do ratowania zespołu, w którym występują takie gwiazdy jak Bodo (ten sam kózdki mały kowboj), Zula Pogorzelska, Konrad Tom, Loda Halama i inni. Mimo to widownia, która i tak jest niewielka, staje się coraz bardziej pusta. Publiczność woli inne kabarety.

→ Włast zaskakuje publiczność nowinkami technicznymi. W rewii „1000 pięknych dziewcząt” system luster tworzy taki efekt, że kilkudziesięciu tancerzy na scenie wygląda, jakby było ich tysiąc. Do programu „Cała Warszawa” zamawia z Paryża „aparat piekielnego ognia”, który miał być tłem dla tańca diabłów. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie robi to na publiczności, skoro aktorzy, zobaczywszy ten ogień po raz pierwszy na próbie generalnej, bali się wyjść na scenę.

„TYLKO WŁAST!” | Zazdrośni lekceważąco nazywają Włastę grafomanem, a to ze względu na uproszczony charakter jego tekstów. Ale on pisze w ten sposób świadomie. Po pojawieniu się radia, a zwłaszcza kina dźwiękowego, zdaje sobie sprawę, że nadszedł czas kultury masowej i musi pracować dla jak najszerzej publiczności.

„Cała Warszawa śpiewa przeboje z Morskiego Oka” – wspominał Krukowski. Nawet Marian Hemar, znany autor tekstów i główny rywal Własty, który nie był skłonny do komplementów, musiał przyznać: „Tuwim i ja pisywaliśmy podobno najlepsze piosenki. Ale szlagiery, które prosto ze sceny szły na ulice Warszawy, Łodzi, Radomia, które ryczały radiowe i gramofonowe głośniki – te umiał pisać tylko Andrzej Włast!”.

Piosenki z repertuaru „Morskiego Oka” Włast promuje w pomysły sposób. Najpierw uzgadnia z magazynem „Przegląd Mody”, że redakcja „będzie zamieszczać stale teksty najpopularniejszych szlagierów wraz z melodią”. Następnie niektóre przeboje są nadawane w Polskim Radiu.

Zakłada też Wydawnictwo Andrzeja Własty, które publikuje jego przeboje (słowa, nuty) w książeczkach z kolorowymi artystycznymi okładkami. To dodatkowy dochód i popularność.

DOBRA MELODIA | Patrząc z perspektywy, widać, że Włast to jeden z najbardziej płodnych autorów piosenek międzywojennej Polski. Napisał ponad dwa tysiące utworów. Co tydzień tworzył kilka nowych piosenek, które od razu trafiały do repertuaru „Morskiego Oka”.

Proces twórczy wygląda następująco. Włast zamawia melodie u najlepszych warszawskich kompozytorów muzyki rozrywkowej, takich jak Henryk Wars czy Artur Gold. W tym czasie zapisuje



Książeczka z nutami do piosenki „Twój uśmiech”, 1931 r.



Andrzej Włast, 1935 r.

odpowiednie rymy w specjalnym zeszycie. Gdy melodia jest gotowa, do rymownika dopisuje wersy, tak aby pasowały do rytmu melodii i miały przynajmniej jakiś wspólny sens (uważał, że najważniejsza dla przeboju jest dobra melodia).

Nawiasem mówiąc, także polskie słowo „przebój” zawdzięczamy Włastowi. W 1930 r. gazeta „Express Wieczorny” ogłosiła konkurs na najlepszy polski odpowiednik słowa „szlagier” – i to on wygrał, z tym wymyślonym przez siebie słowem.

OSTATNIE LATA | Kryzys gospodarczy uderza w kieszenie widzów, latem 1933 r. „Morskie Oko” zostaje zamknięte. Jako powód czasem podaje się, że gwiazdy kabaretu nie chciały słyszeć o obniżeniu honorariów. Ale powód główny wydaje się jednak inny: rewie w paryskim stylu, których Włast jest niedoścignionym mistrzem, po prostu wychodzą z mody.

Przerzuca się więc na zyskującą popularność operetkę – i zostaje dyrektorem „Wielkiej Operetki”. Dwa lata później zainteresuje się nowym modnym gatunkiem: zostaje kierownikiem artystycznym i reżyserem kinorewii „Hollywood”. Dwa lata później wraca do „Wielkiej Operetki”, która zmieniła nazwę na „Wielka Rewia”.

Na początku 1939 r. powraca do swojego ulubionego gatunku, do kabaretu. Zakłada wraz z Kazimierzem Krukowskim i Kazimierzem Łaszewskim teatrzyk kabaretowy „Ali Baba”, zostaje jego kierownikiem literackim. Tutaj dwaj rywale w końcu się jednoczą: Włast i Hemar piszą satyryczną rewiię „Orzeł czy Rzeszka”, w której parodiują Hitlera, Mussoliniego, Chamberlaina.

Rewia z powodzeniem trwa na scenie od maja do końca sierpnia. Premierę nowego programu satyrycznego „Pakty i fakty” zapowiedziano na 2 września 1939 roku.

CZŁOWIEK Z WALIZKĄ | 1 i 17 września Niemcy i Związek Sowiecki atakują Polskę, zaczyna się II wojna światowa. W przeciwieństwie do wielu kolegów literatów, 44-letni Włast zostaje w Warszawie, a gdy niemieccy okupanci zakładają getto, idzie do niego wraz z rodzicami.

Ci, którzy widzieli go w tamtym czasie, wspominali, że szybko się postarzał, że w jego oczach widzieli smutek. W ciągu tygodnia przeżywa śmierć ojca i matki. Załamany, znajduje w końcu dla siebie jakieś zajęcie: wraz z innymi autorami występuje w kawiarni „Sztuka”, gdzie recytuje swoje wiersze.

Tymczasem jego przyjaciele z zewnątrz zbierają pieniądze, aby wykupić go z getta. W końcu udaje się wszystko zorganizować. Z małą walizką Włast rusza do bramy getta, gdzie ma zostać wypuszczony. Nagle, gdy widzi przy bramie strażnika w mundurze, wpada w panikę i zaczyna uciekać. Strażnik strzela.

Nie tylko dzień śmierci Andrzeja Własty (Gustawa Baumrittera), ale nawet rok pozostaje sporny. Według jednych źródeł był to rok 1941, według innych koniec 1942 r., według jeszcze innych – początek roku 1943.

© STANISŁAW CALIK

Autor jest ukraińskim pisarzem, historykiem i scenarzystą, obecnie mieszka w Polsce. W „Tygodniku” publikuje od 2023 roku.

STANISŁAW

Mancewicz: Kraina doktorów



PO TYM, CZEGOŚMY SIĘ ZUPEŁNIE NIE SPODZIEWALI, przyszło wszystko, czegośmy się spodziewaliśmy. Nie spodziewaliśmy się burdy u Pomarańczowego Wodza w Białym Domu, ale już pełnego jej zracjonalizowania i używania przez polską prawicę, oczywiście, jak najbardziej.

Zacznijmy od tego, jaką naukę powzięliśmy z lektury opisów wydarzeń waszyngtońskich w mediach polskiej prawicy. Rzecz trzeba głośno, że polska prawica – mamy na myśli szczególnie PiS – utraciła samodzielność i oryginalność w kreowaniu bluzgu. Jest to, każdy chyba przyzna, nowina i najbardziej dziś odkrywcze spostrzeżenie. Polska prawica przestała być swoiście twórcza, a stała się odtwórcza. Żyjąc w kulcie trumizmu, zaczęła otwarcie powtarzać bluzgi wymyślane hen za morzami, przez lepszych. To nas rozczarowuje, ale także trochę rozczarowuje wielbicieli tej formacji, zwłaszcza ambitniejszych i kreatywnych. Zdolność do rodzimej kreacji w tej branży była marką uznaną, wkładem do języka emocji. Nie nad estetyką czy etyką tu deliberujemy – po prostu odnotowujemy zmianę.

W praktyce ten regres czy, jak kto woli, małpowanie obserwujemy podczas występów dr. nauk humanistycznych K. Nawrockiego – kandydata obywatelskiego PiS na prezydenta. Z trudnościami w artykulacji powtarza bon moty bądź owego nadpobudliwego producenta elektryków, bądź prezydenta USA, a my ziewamy. Bo wsjo to mamy dawno obejrzone i przetłumaczone, z angielskiego na rosyjski i z rosyjskiego na polski. Nie

kryjemy, że w kampanii wyborczej oczekujemy jednak świeżości i rumieńców, a nie bladego dukania. Po to przecież włączamy relacje z wieców dr. K. Nawrockiego, by podygotać ze strachu, poczuć nadchodzący kres elit i pakować manatki. Tymczasem mowy wiecowe dr. K. Nawrockiego to świadectwo smutnej peryferyjności i opóźnienia. Owe nie miałyby miejsca, gdyby korzystał z oryginalnego repozytorium bluzgu, autorstwa jego patrona J. Kaczyńskiego, nawiasem dr. nauk prawnych. Gdzie – pytamy – legendarna pisowska gibkość w kreacji bluzgu? Dlaczego zdecydowano się na podróbkę? Taniocha. Na efekt nie trzeba było długo czekać, o czym świadczą wyniki słuchalności znacznie atrakcyjniej i oryginalniej nawijającego dr. nauk ekonomicznych S. Mentzena – kandydata Konfederacji.

Jest coś jeszcze, oto dr K. Nawrocki jest bardzo skoncentrowany. Nie na celu swej aktywności dzisiejszej – dodajmy. Łomocze mgr. D. Tuska, który nie kandyduje. Przecież, jak się wydaje, powinien łomotać dr. nauk humanistycznych R. Trzaskowskiego, który kandyduje. W ogóle wszyscy trochę zapomnieli o istnieniu dr. R. Trzaskowskiego, co jest dość osobliwą okolicznością jak na kampanię wyborczą, bo zapomnieli o nim zarówno przeciwnicy, jak i zwolennicy. W ogóle dr R. Trzaskowski ma farta – bo nikt mu nie robi wbrew. Nawet ów wyznaczony już namiestnik-ambasador USA, T. Rose (chyba bez doktoratu). Ów Rose – jak słyszymy – bardzo serio traktuje wyznaczoną mu misję wzięcia Polaków za tzw. mordę. Wieszczyimy, że gdy tylko rozpakuje walizki, weźmie się tu za nas wszystkich, od lewa do prawa, tak że będziemy skowyczeć albo zostaniemy posłani do wycinki lasów na Grenlandię. Jest nieco o ambasadorach w naszej literaturze, już zatem zalecamy lekturę „Dziadów”.

No więc my tu gadu gadu, ale ogół pyta, czy proponujemy dziś jakąś pointę. Nie bardzo, poza odnotowaniem, że doktorat jest w Polsce przepustką do prezydentury. Dobrze! ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie. W „Tygodniku” publikuje od 1993 r., od 2011 r. jest felietonistą.

Śląska!

Miejsce ważnych wydarzeń

24-28 marca 2025 r.

Biblioteka Śląska
pl. Rady Europy 1
40-021 Katowice

Czapliński / Nowacki /
Bieńczyk / Marcinów /
Twardoch / Madaliński /
Andruchowycz / Majzel /
Karbido / Tarwater /

REKLAMA

Tajemnice zakonnicy, która sięgnęła po sukces

Współcześnie każdego dnia spotykamy liderki, managerki, dyrektorki – to określenia znane, powszechne, ale jeszcze 200 lat temu niespotykane. Gdzieś jednak miały swój początek. Wszyscy znamy historię Marii Skłodowskiej-Curie – emancypantki, wzoru dla ruchu women empowerment. Nie będziemy więc znów opowiadać tego, co przepracowano wielokrotnie. Nasza bohaterka ma jednak wiele wspólnego ze słynną Polką. Współdzielili zamięłowanie do wyjątkowych substancji, imię oraz... kobiecą sprawczość w męskim świecie. Oto historia kobiety sukcesu, twórczyni Melisany, którą w prawie niezmienniej formie znamy do dziś – Marii Clementine Martin.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Przenosimy się do XIX wieku. Świat biznesu zdominowali, a wręcz zmonopolizowali mężczyźni. To oni otwierają nowe zakłady, zasiadają na najwyższych stanowiskach, podbijają świat – decydują o wszystkim. Jak zatem Maria Clementine Martin wyłamała się z tradycyjnego modelu społeczeństwa tamtych czasów, stając się pionierką kobiecej przedsiębiorczości? Aby zrozumieć to lepiej, cofnijmy się na moment do 1792 roku. 17-letnia wówczas Wilhelmine Martin wstępuje do zakonu, przyjmując imię Maria Clementine. Imię znane nam do dziś. Zapadnie w pamięci setek osób, szczególnie mężczyzn XIX-wiecznego biznesu, którym siostra utrże nosa.

ZAMIAST PROBLEMÓW

– WYZWANIA

W 1811 roku młodą zakonnice dotknął dekret napoleoński nakazujący rozwiązanie wszystkich klasztorów franciszkańskich. Kobieta stanęła przed nie lada wyzwaniem i rozpoczęła trudną tuczkę. Fundamenty ogromnych biznesów zbudowano jednak na wyzwaniach!

Źródła wskazują, że w 1815 roku siostra Maria niósła pomoc rannym żołnierzom obu stron w bitwie pod Waterloo, zdobywając wiedzę o ziołach oraz preparatach roślinnych. Obecność na froncie znacząco skróciła kobiecie drogę do sukcesu. Prędko trafiła bowiem przed oblicze króla Fryderyka Wilhelma III. Władca pruski docenił zasługi bohaterki i nagroził zakonnice dożywotnią pensją – 160 talarów rocznie. Dziś powiedzielibyśmy, że właśnie pojawiła się szansa na dywersyfikację przychodów – tak też pomyślała Maria. Zabłysnęła swoim biznesowym zacięciem i zaczęła działać. Już niedługo te pieniądze pomogą jej stworzyć własną ziemię i produkować preparaty ziołowe. Ale do tego czasu... jeszcze przez kilka lat pozostanie w cieniu.

PIERWSZE OBJAWIENIE

Maria zniknęła na kilka lat z kart historii. Aż do roku 1821,

kiedy to znów dała o sobie znać w niemieckim dziś Münster. Jak się okazało, świat stawił przed siostrą następne wyzwania, którym dzielnie stawiała czoło, kształtując swój charakter. Założycielka Klosterfrau utknęła w zawiłościach prawnych związanych z prowadzeniem alternatywnej medycyny. Lekarze sprzeciwiali się zabiegom z wykorzystaniem roślin i ziół, jakie przeprowadzała, pomagając pacjentom dotkniętym fistułami. Problemem okazał się brak stosownego wykształcenia medycznego. Siostra zwróciła się więc o pomoc do króla, ponownie licząc na jego protektorat. Nic z tego. Urzędnicy nie zezwolili na kontynuowanie działań.

Maria pozostała jednak w Münster jeszcze przez kilka lat. Pomimo wielu przeciwności nie poddała się. Udowodniła, że niosąc pomoc potrzebującym, doskonale odnajduje się w męskim świecie biznesu i tylko czas oraz

dalsza ciężka praca dzielą ją od sukcesu.

WIĘCEJ NIŻ WODA KOLONIA

6 listopada 1825 roku 50-letnia wówczas kobieta zaskakuje ogłoszeniem w „Kölnische Zeitung”, w którym reklamuje produkowaną własnoręcznie wodę kolońską (spirytus melisowy). Droga ku sukcesowi zaprowadziła ją do Kolonii. Przygotowywane tam, dzięki prostej destylacji, remedium szybko zyskało na popularności. Pierwotwór Melisany zaczął święcić triumfy dzięki swoim właściwościom łagodzącym i wyciszającym. Siostra Maria Clementine Martin połączyła naturalną moc roślin i ziół w jednej recepturze. Stworzyła kultowy dziś produkt Melisana Klosterfrau, którego jednym ze składników (i źródłem całej nazwy) od początku jest melisa.

WYZWANIA NAPĘDZAJĄ SUKCESY

Na biznesowym szlaku Marii stało jednak kolejne niemałe wyzwanie. Spirytus melisowy był według ówczesnych przepisów kosmetykiem i uchodził za towar perfumeryjny. Oznaczało to jedno – każde reklamowanie spirytusu karmelitańskiego lub melisowego sprzedawanego jako lek podlegało zakazowi

MELISANA

**NA CO STOSOWAĆ
MELISANĘ KLOSTERFRAU?**

NA OBJAWY PRZEZIĘBIENIA I GRYPY

NA MNIEJ NASIŁONE NERWOBÓLE

NA UŁATWIENIE ZASYPIANIA

Melisana Klosterfrau Original, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: Stosowanie doustne: w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwienia zasniania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobolach i powysiłkowych bólach mięśni. Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o. MEL. 2025.03.13.2

Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

prawnemu. Ich produkcja i sprzedaż była bowiem zastrzeżona wyłącznie dla aptekarzy! Maria mimo wszystko stała się bezpieczną sukcesem, podejmując kilka kluczowych kroków. 7 listopada 1829 roku ponownie zwróciła się do króla Fryderyka Wilhelma III. Tym razem o zgodę na oznaczenie środka leczniczego orłem pruskim. Dekretem rządowym z dnia 28 listopada 1829 roku otrzymała zezwolenie. Melisana mogła jako jedno z niewielu remediów w Kolonii nosić królewski herb na opakowaniu, który do dzisiaj jest umieszczany na każdej butelce. Zakonnica odniosła wielki sukces w ustanowieniu i obronie dobrej pozycji rynkowej swojej firmy, mimo kilku niepowodzeń. Siostra zakonna ponownie wykazała się determinacją.

KOLONIA NA KOLANACH – CZAS NA ŚWIAT

Wreszcie nadszedł czas, aby o produkcie dowiedział się cały świat. Maria Clementine Martin wzięła w 1838 roku udział w renomowanej Wystawie Sztuki i Przemysłu, zorganizowanej przez Gewerbe-Verein w Kolonii na Heumarkt. Reklamy jej ziołowego remedium nadal pojawiały się w „Kölnische Zeitung”. Melisanę znano coraz więcej

konsumentów. Przed śmiercią siostra sporządziła testament, wyznaczając swojego asystenta Piotra Gustawa Schaebena jako spadkobiercę, ufając, że będzie wiernie kontynuował jej dziedzictwo.

Maria zmarła 9 sierpnia 1843 roku. 8 lat po jej śmierci, w 1851 roku, preparat ziołowy otrzymał pierwszą nagrodę na Wystawie Światowej w Londynie. Przedsiębiorstwo zgodnie z testamentem przeszło w ręce Piotra Gustawa Schaebena (1815–1885). Nowy właściciel znacznie je rozbudował i rozpowszechnił preparat na całym świecie. Formuła i sposób przygotowywania produktu przez lata były udoskonalane i dostosowywane do wymagań prawnych i potrzeb pacjentów. Dziś Melisana Klosterfrau Original jako tradycyjny lek roślinny dostępny bez recepty, dzięki zawartości 13 ziół, jest pomocna na:

- objawy przeziębienia i grypy,
- powysiłkowe bóle mięśni,
- objawy stresu, w tym ból brzucha i wzdęcia na tle nerwowym*,
- mniej nasilone nerwobóle,
- stany złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym nasilone zmianami pogody,
- ułatwianie zasypiania.

* na objawy stresu, doustnie w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha); do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach; pkt 4.1. CHPL Melisana Klosterfrau Original.

A firma MCM Klosterfrau Healthcare z siedzibą w Kolonii nadal łączy tradycję z nowoczesnością. Obecnie jej produkty dostępne są w ponad 20 krajach.

MELISANA NA... SUKCES

Historia Marii Clementine Martin jest nie tylko opowieścią o odwadze i przedsiębiorczości, ale także inspiracją dla nas wszystkich. Jej dziedzictwo, kontynuowane przez Klosterfrau, przemawia do naszych serc i umysłów. Przypomina, że nie ma granic dla marzeń i dążeń. To historia o tym, jak jedna kobieta zmieniła świat swoją determinacją i świeżą wizją, odciśkając trwale piętno na kartach historii. Maria pokazała nam, że warto dbać i walczyć o samego siebie – również stawiając w swojej apteczce Melisanę! Tak na wszelki wypadek...

MELISANA

KLOSTERFRAU ORIGINAL, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: stosowanie doustne – w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysyłkowych bólach mięśni.

Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o. Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania i tylko wtedy, gdy jest to konieczne. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

Artykuł sponsorowany przez MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o. MEL.2024.02.01

MELISANA
NA
NA
NA

OBJAWY STRESU, TAKIE JAK BÓL BRZUCHA I WZDĘCIA NA TLE NERWOWYM*

STANY ZŁEGO SAMOPOCZUCIA O PODŁOŻU PSYCHOSOMATYCZNYM NASILONE ZMIANAMI POGODY

MELISANA
Klosterfrau
Original
Płyn doustny, płyn na skórę

Melisana Klosterfrau Original, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: Stosowanie doustne: w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwienia zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysyłkowych bólach mięśni. Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o. MEL. 2025.03.13.1

*na objawy stresu, doustnie w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha); do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach; pkt 4.1. CHPL Melisana Klosterfrau Original.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Zwróć uwagę na przeciwwskazania. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.



EPOKA NIE TYLKO KAMIENIA

Gdy wyobrażamy sobie praludzi,
pewnie widzimy jaskiniowca roztrzaskującego kość solidnym pięściakiem.
A może ostrym kawałkiem tej samej kości szyli też ubrania?

ŁUKASZ KWIATEK

JASKINIA WAPIENNA SWARTKRANS w RPA, leżąca ok. 30 km na południe od Johannesburga w obszarze nazywanym Kolečką Ludzkości, jest jednym z najważniejszych stanowisk paleoantropologicznych na świecie. Z osadów, które woda, wiatr i grawitacja nagromadziły w tym miejscu przez dwa miliony lat, wydobyto tysiące fragmentów kości dziesiątków gatunków zwierząt, w tym nadszpiewanie dużo należących do hominidów (człowiekowatych).

Przez wieki to miejsce musiało być atrakcyjnym legowiskiem dla drapieżników. Jego badania zaczęły się pod koniec lat 40. ubiegłego wieku, krótko po tym, jak w położonej o kilometr dalej jaskini Sterkfontein odkryto czaszkę dwunożnej małpy człowiekowatej, sklasyfikowanej jako *Paranthropus robustus* (był to bliski kuzyn australopiteków, ale od nich masywniejszy). To Swartkrans okazała się najbogatszym w skamieniałości parantropów miejscem na świecie – szacuje się, że pozyskano stamtąd fragmenty szkieletów nawet stu różnych osobników.

Co więcej, w latach 80. na 270 kościach zwierząt ze Swartkrans odkryto ślady pozostawione przez ogień o temperaturze dochodzącej do 500 stopni Celsjusza. Taki ogień najczęściej nie pojawia się przy naturalnie występujących pożarach, można go zaś uzyskać celowo – np. w paleniskach. Wydaje się więc, że żyjące na tym terenie hominidy – mogły to być parantropy czy australopiteki, ale też współwystępujący z nimi praludzie – objadały się w Swartkrans pieczonym mięsem dużych zwierząt już ok. 1,5 mln lat temu. A ponieważ te ślady są jednymi z najstarszych dowodów na celowe użycie ognia, według Charlesa Kimberlina Braina, autora tego odkrycia, wskazują na epokową zmianę w naszej ewolucyjnej historii.

Odtąd bowiem dzięki kontroli nad ogniem hominidy przestały być atrakcyjną zwierzyną łowną (właśnie tak tłumaczono nadzwyczajne nagromadzenie kości parantropów w najstarszych warstwach osadowych w Swartkrans), a stały się władcami sawanny. Być może potomkowie tych samych istot, w których wcześniej gustowały pradawne

Wizja artystyczna australopietka.

Te dwunożne małpy człowiekowate, które występowały ok. 2-4 mln lat temu, najprawdopodobniej wytwarzały proste narzędzia.

lwy, lamparty czy hieny, z pochodniami w dłoniach przepędzili z jaskini drapieżniki i zadomowili się w miejscu, które dotąd było grobowcem ich bardziej bezbronnych przodków. Zaś włączenie wysokokalorycznego, pieczonego mięsa do diety hominidów umożliwiło spektakularną ewolucję zachłannego na energię mózgu. U naszych przodków zwiększył on rozmiar niemal trzykrotnie w ciągu ostatniego 1,5 mln lat.

Kości, zęby i rogi

W Swartkrans znaleziono także jedne z najstarszych dowodów na to (sprzed ok. 1,5 mln lat), że hominidy używały kości innych zwierząt jako narzędzi. Mogły one służyć do wykopywania jadalnych bulw lub rozgrzebywania kopców termitów.

Odkrywca pierwszych skamieniałości hominidów na tym terenie, Raymond Dart (to on sto lat temu jako pierwszy opisał w nauce australopiteki), mniej więcej w ten sposób wyobrażał sobie początki drogi prowadzącej od dwunożnej małpy do człowieka. Jego zdaniem australopiteki i parantropy grasowały po sawannie uzbrojone w narzędzia wykonane z kości, zębów i rogów zwierząt i polowały na siebie nawzajem, a także na pawiany i antylopy. Miały one stworzyć kulturę materialną – od trzech wymienionych rodzajów materiału nazywaną osteodontokeratyczną – która według Darta poprzedzała epokę kamienia o setki tysięcy lat.

Większość paleoantropologów sceptycznie odnosiła się do tego pomysłu. Krytycy zwracali uwagę na to, że kości zwierząt mogły być wprawdzie wykorzystywane przez wczesne hominidy w różnych celach, ale raczej sporadycznie, bo nie zebraliśmy na to dowodów ze zbyt wielu lokalizacji. Poza tym brakowało śladów sugerujących, że nasi odlegli przodkowie celowo poddawali kości obróbce, by wytwarzać z nich bardziej praktyczne narzędzia – niewiele na to wskazuje chociażby w przypadku kości ze Swartkrans. Dart przekonywał, że analizowane przez niego kości z innego, jeszcze starszego stanowiska w RPA (z doliny Makapansgat), były celowo modyfikowane. Jego krytycy utrzymywali jednak, że to, co on uznał za ślady obrabiania kości techniką odłupkową, powstało raczej pod wpływem czynników geologicznych i zębów drapieżników.

Dlatego Dart pewnie cieszyłby się z wyników badań opisanych właśnie w „Nature” – bo choć nie dowodzą one jego tezy o kulturze osteodontokeratycznej, to przynajmniej pokazują, że kościane artefakty mogły odegrać ważniejszą niż dotąd sądzono rolę w naszej ewolucji kulturowej.

Flet z niedźwiedzia

Dla ludzi o anatomii niemal nieodróżnialnej od naszej, którzy żyli ok. 90-45 tys. lat temu, narzędzia wykonywane z kości i rogów zwierząt były fundamentalnym elementem ekwipunku. Można z nich wytworzyć np. ostre groty strzał i włóczni, w tym ząbkowane ostrza, wyjątkowo nieprzyjemne dla ofiar, w których ciałach zostaną zatopione, a także igły czy haczyki do łowienia ryb. Można też z nich zrobić instrumenty muzyczne – o czym świadczy liczący przeszło 50 tys. lat flet z Divje Babe w Słowenii, wykonany z kości niedźwiedzia jaskiniowego.

Tego rodzaju narzędzia zmieniają życie. Wyobraźmy sobie choćby komfort noszenia zszywanych, a nie wiązanych paskami ubrań, w szczycie epoki lodowcowej. Albo uniesienia duchowe, jakie przynosi koncert wirtuoza fletu wykonany przy ognisku w jaskini.

W tym samym okresie, w którym wymyślne narzędzia kościane stają się powszechne, na stanowiskach archeologicznych wzrasta także złożoność i poziom wyrafinowania narzędzi kamiennych. Archeolodzy mówią wówczas o rewolucji kulturowej – tzw. rewolucji inicjalnego górnego paleolitu. Możliwe, że jej sprawcami byli przedstawiciele naszego gatunku i to ta przewaga technologiczna pomogła im w tym samym okresie opanować całą Eurazję, wcześniej zamieszkiwaną przez naszych kuzynów – neandertalczyków i denisowian.

Mamy też starsze dowody na to, że kości czasem wykorzystywane były jako materiał do tworzenia narzędzi – choć znacznie mniej finiszjnych. Większość z tych dowodów datuje się na ok. 400 tys. lat i mniej. Np. w 2021 r. Paola Villa z University of Colorado Boulder i współpracownicy opisali w „PLOS One” największy tego rodzaju zbiór kościanych narzędzi, znalezionych na stanowisku Castel di Guido we Włoszech. Niemal sto artefaktów wykonano z części szkieletu słonia – głównie trzonek kości długich oraz z żeber. →

↳ Uzyskane artefakty mogły służyć np. jako ostrza, przedmioty do skrobania czy obróbki innych materiałów, takich jak skóra lub drewno. Przygotowanie ich wymagało pracy rozplanowanej na kilka etapów. Podobnie prezentują się pochodzące z tego samego okresu narzędzia kościane znalezione w Schöningenen w Niemczech, wykonane jednak z kości koni.

Na podstawie dotychczasowych odkryć mogło się więc wydawać, że kości zwierząt początkowo interesowały naszych przodków przede wszystkim dlatego, że można było z nich wyssać pożywny szpik i czasem pogrzebać nimi w ziemi – a nie dlatego, że nadawały się do produkcji bardziej zróżnicowanych narzędzi. Pojedyncze starsze znaleziska – np. odkryty w Kenso w Etiopii kościany pięściak sprzed ok. 1,4 mln lat, opisany w 2020 r. – nie zmieniały tego poglądu. Jednak w świetle najnowszych doniesień trzeba już będzie nieco zmodyfikować.

Grunt to technika

Ignacio de la Torre z Consejo Superior de Investigaciones Científicas w Madrycie i współpracownicy na początku marca donieśli w „Nature” o zbiorze 27 pokaźnych narzędzi z kości słoni i hipopotamów, wykonanych ok. 1,5 mln lat temu. Odkryte zostały w wąwozie Olduvai w Tanzanii – tym samym miejscu, od którego wywodzi się nazwa pierwszej szeroko rozpoznanej techniki łupania kamieni, tzw. kultury olduwajskiej.

Przygotowanie tych artefaktów wymagało niemałego wysiłku – przeciętnie od każdej kości odłupano 17 mniejszych fragmentów, by nadać jej zaplanowany, szpiczasty kształt. Zapewne nieprzypadkowo do tego celu wybrane zostały grubsze i bardziej wytrzymałe kości kończyn.

Okres ok. 1,5 mln lat, z którego pochodzą te narzędzia, to ciekawy etap w epoce kamienia – mniej więcej wtedy rozpowszechniają się bowiem tzw. narzędzia aszelskie. Są one poddawane dwustronnej obróbce, a w efekcie cieńsze, bardziej praktyczne i ostrzejsze od niezbyt poręcznych narzędzi olduwajskich, które bardziej nadawały się do rozłupywania kości niż filetowania. Dlatego autorzy badań spekulują, że kości zwierząt mogły być tym

materiałem, na którym nasi przodkowie przećwiczyli bardziej precyzyjną technikę odłupkową, a następnie ponownie zastosowali ją w kamieniach. W ten sposób narzędzia z kości mogły ułatwić przejście od kultury olduwajskiej do aszelskiej.

Mniej spekulatywny scenariusz zakłada, że narzędzia z kości pojawiały się w różnym okresie w ciągu ostatnich 1,5 mln lat – tam, gdzie nasi przodkowie akurat mieli dostęp do zwłok dużych ssaków (początkowo zapewne nie potrafili na nie polować). Skoro i tak miażdżyli te kości, by dostać się do szpiku, równie dobrze mogli niektóre z nich poddać obróbce. Możliwe, że na odkrycie czeka znacznie więcej kosztnych artefaktów, także takich pochodzących z okresu miliona lat, który dzieli kości ze Swartkrans i wąwozu Olduvai od tych znalezionych w Castel di Guido i Schöningen. Fakt, że dotąd ich nie znaleźliśmy, może wynikać po prostu z pecha – w końcu materiał organiczny zachowuje się znacznie gorzej niż kamienny.

Eksperyment w Lomekwii

Epoka kamienia, zwłaszcza jej wczesne fazy, nadal skrywa wiele tajemnic. Jej początków musimy szukać poza naszym rodzajem. Najstarsze przetworzone kamienie, znalezione w Lomekwii w Kenii, liczą ok. 3,3 mln lat. Nie znamy żadnych skamieniałości sklasyfikowanych jako ludzkie, które pochodziłyby z tego okresu. Najstarszy taki okaz – fragment żuchwy z Ledi Geraru w Etiopii – liczy ok. 2,8 mln lat. To zresztą dyskusyjny i w najlepszym razie graniczny przypadek – specjaliści dopatrują się w nim zarówno cech typowych dla australopiteków, jak i ludzi. W każdym razie pierwsze istoty, u których obserwujemy mózgi wyraźnie bardziej rozwinięte niż u australopiteków, parantropów czy współczesnych małp, w zapisie kopalnym pojawiają się dopiero w ciągu ostatnich 2 mln lat.

Według paleoantropologów wielgaśne narzędzia lomekwiańskie, których wykonanie wymagało uderzania kawałkiem skały trzymanym w obu dłoniach w inny głąz, położony na ziemi, są odosobnionym eksperymentem kulturowym, niepowtórzonym w żadnym innym miejscu na świecie.

Najstarsze narzędzia olduwajskie, które wykonuje się, trzymając w jednej dłoni tzw. rdzeń, od którego brzegów odłupuje się mniejsze odłupki kamieniem trzymanym w drugiej ręce, mają ok. 3 mln lat i pochodzą ze stanowiska Nyayanga w Kenii. Zespół Thomasa Plummera znalazł w tym samym miejscu także kości nosorożców ze śladami nacięć oraz dwa zęby parantropa. Możliwe więc, że to właśnie te hominidy, a nie ludzie, były twórcami techniki olduwajskiej.

Znacznie bardziej zaawansowana technika aszelska, wymagająca kilkuetapowej obróbki, która po raz pierwszy w zapisie kopalnym pojawia się ok. 1,75 mln lat temu, jest już łączona wyłącznie z naszym rodzajem. Tradycyjnie uważa się, że kolejną rewolucją technologiczną była dopiero technika lewaluaska, młodsza o ponad milion lat. Jej charakterystyczną cechą było żmudne przygotowanie rdzenia w taki sposób, by ostatecznie jednym uderzeniem dało się odłupać od niego już gotowe narzędzie – np. imponująco ostre groty o liściastym kształcie.

Wiemy dziś, że rozwój tych technologii nie następował w równym tempie. Gdy ok. miliona lat temu mieszkańcy hiszpańskich wzgórz Atapuerki posługiwali się narzędziami olduwajskimi, w Afryce od dawna kwitła technika aszelska.

Wiemy też w końcu, że kamienie nie wyczerpywały zbioru materiałów, które nasi przodkowie przetwarzali we własnych celach. Jedną kwestią to kości. Inna – materia roślinna. Najstarsze odnalezione drewniane włócznie lub oszczepy liczą ok. 400 tys. lat – w tym zbiorze są m.in. włócznie z Schöningen, używane do polowania na konie i inne duże ssaki (z których kości, jak już wiemy, sporadycznie tworzone narzędzia). Nieco starsze są ślady drewnianej konstrukcji, znalezione w pobliżu wodospadu Kalambo w Zambii – dwie nacięte kłody, połączone ze sobą – opisane w 2023 r. Najstarszy znany przykład czegoś przypominającego deskę liczy zaś ponad 780 tys. lat i pochodzi ze stanowiska Geszer Benot Ja'akow w Izraelu – może świadczyć o tym, że stała tam jakaś prymitywna osada.

Możemy więc być pewni, że epoka kamienia nie była wyłącznie epoką kamieni i jaskiń.

© ŁUKASZ KWIATEK

Efekt Trumpa

AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Stany Zjednoczone zaczęły wprowadzać zmiany w sposobie finansowania badań naukowych – m.in. po to, by walczyć z lewicową ideologią. Ich konsekwencje będą globalne.

PREZYDENT ZAPOWIEDZIAŁ, ŻE CHCE wytępić oszustwa, marnotrawstwo i nadużycia przy użyciu skalpela, a nie topora. Ludzie nie powinni marnować energii na plotki i spekulacje” – tak nominowany na szefa NASA miliarder Jared Isaacman skomentował doniesienia o planie zdziśiatkowania agencji, której sterów jeszcze nawet nie zdołał objąć. Trudno się jednak dziwić naukowcom, którzy przestrzegają przed nadchodzącą rzezią w agencji. Dotychczasowe działania Trumpa i kierującego Departamentem Efektywności Rządowej (DOGE) Elona Muska pokazują, że do amerykańskiej nauki i edukacji zabrali się nie skalpelem, a piłą mechaniczną.

Według źródeł portalu „Ars Technica” dyrektor Białego Domu ds. Zarządzania i Budżetu Russell Vought planuje obcięcie wydatków na badania naukowe w NASA o 3,9 mld dolarów, czyli o połowę. „Jeżeli ten plan zostanie wdrożony, będzie to dla nauki o kosmosie w USA wydarzenie na skalę wielkiego wymiaru” – pisze Casey Dreier, szef polityki kosmicznej w The Planetary Society. Mówi się, że NASA może zostać zmuszona do zakończenia misji międzyplanetarnych czy wyłączenia teleskopu Hubble’a. Cięcia dotkną także badań nad zmianami klimatycznymi – satelity agencji dostarczają kluczowych informacji o stanie planety.

Cięcia w medycynie

Cięcia to nie wypadek przy pracy, lecz rezultat planu przygotowywanego od

lat przez stronników Donalda Trumpa. Kierowany przez Voughta prawicowy think tank Center For Renewing America (CFRA) już w 2022 r. ogłosił projekt masowych zwolnień i cięć w amerykańskich ośrodkach naukowych, zwłaszcza tych, które mają cokolwiek wspólnego z badaniem zmian klimatu, ale też m.in. prowadzą badania biomedyczne, które – wedle CFRA – mają wykazywać „lewicowy skręt”.

Przykład? Podczas niedawnego przemówienia przed Kongresem prezydent Trump zżył się, że poprzednia administracja wydała 8 mln dolarów na „stworzenie transpłciowych myszy”. Tyle że granty przyznano, ale na myszy... transgeniczne. Czyli takie, które dzięki zmodyfikowanemu DNA służą za modele chorób u ludzi. Te konkretne miały służyć badaniom m.in. wpływu terapii hormonalnych na ryzyko raka piersi, reakcję na szczepionki przeciw HIV, objawy astmy oraz płodność.



Protest przeciwko prowadzonej przez administrację Trumpa polityce naukowej i cięciom wydatków. Chicago, 7 marca 2025 r.

Cięcia przeprowadzone w ciągu niewiele ponad miesiąca od objęcia przez Trumpa urzędu dotknęły także Narodowe Instytuty Zdrowia (NIH), największą na świecie instytucję przyznającą granty na badania biomedyczne. NIH dysponowały dotąd budżetem na granty w wysokości 47 mld dolarów – 25 razy większym od kolejnego co do wielkości fundatora, pozarządowej organizacji Wellcome Trust z siedzibą w Londynie. Rezultatem finansowanych przez NIH grantów było 1,3 mln publikacji naukowych i odkrycia dotyczące np. immunoterapii przeciwnowotworowej, terapii HIV czy malarii. Instytuty miały udział

w opracowaniu 354 z 356 leków zatwierdzonych do wykorzystania w USA w latach 2010-2019.

Nowe kierownictwo agencji podjęło decyzję o cofnięciu setek grantów, a nowe będą przyznawane na innych zasadach. Naukowcy będą mogli przeznaczyć zaledwie 15 proc. środków na koszty pośrednie, czyli np. utrzymanie laboratoriów, administrację czy korzystanie z zewnętrznych platform sekwencjonowania genów. Dla wielu ośrodków naukowych oznacza to po prostu bankructwo.

Szansa dla Chin

Odczuwamy też chaos, jaki ogarnął jedną z najważniejszych na świecie agencji zajmujących się monitorowaniem atmosfery i oceanów. NOAA odpowiada nie tylko za badania klimatu, ale też za ostrzeżenie przed huraganami czy tornadami. Agencja zwolniła już jedną czwartą pracowników, w tym m.in. załogi należących do agencji samolotów, które wlatują w serca huraganów w celu gromadzenia danych pomagających prognozować zachowanie sztormów.

We wtorek 11 marca połowę pracowników zwolnił Departament Edukacji. Rano dowiedzieli się, że do końca dnia mają opuścić biura i że to ich ostatni dzień pracy. Trump jeszcze podczas kampanii zapowiadał, że zamierza przekazać wszystkie decyzje dotyczące szkolnictwa władzom stanowym. Pracownicy departamentu ostrzegają jednak, że to może oznaczać koniec stypendiów federalnych i wsparcia dla najuboższych uczniów.

„Dzisiejsza redukcja etatów odzwierciedla zaangażowanie Departamentu Edukacji w efektywność, odpowiedzialność i zapewnienie, że zasoby są kierowane tam, gdzie mają największe znaczenie: do uczniów, rodziców i nauczycieli” – oświadczyła sekretarz edukacji Linda McMahon, wcześniej znana głównie jako szefowa... federacji wrestlingu.

Pekin korzysta z okazji. Wielu zwolnionych z pracy i pozbawionych grantów amerykańskich uczonych dostało w ciągu ostatnich dwóch tygodni reklamy zachęcające do podjęcia pracy w Chinach. „W Shenzhen czekają na was nieograniczone możliwości rozwoju” – zachęcała jedno z ogłoszeń. Dla wielu specjalistów od biotechnologii, sztucznej inteligencji czy kosmosu to może być propozycja trudna do odrzucenia. ©



Flannery O'Connor hodowała prawie sto pawi. W rozłożystych piórach i mieszaninie kolorów widziała manifestację mistycznych sił. Majątek rodzinny Andalusia, 1962 r.

WIARA I GROTESKA

Dla Flannery O'Connor religia katolicka była zasadą organizującą rzeczywistość, w której centrum znajdowała się namacalna, głęboka tajemnica wiary. Godziła przeciwstawne siły: potrzebę odkupienia i poczucie absurdu.

MICHAŁ CHOIŃSKI



JOE MCTYRE / AP / EAST NEWS

KIEDYŚ MATKA FLANNERY O'CONNOR, Regina, zapytała Roberta Giroux, wydawcę książek jej córki, czy nie mógłby spróbować nakłonić ją, żeby dla odmiany napisała coś o „miłych ludziach”. Ale nawet Giroux, który pracował z największymi, Jackiem Kerouackiem, Georgem Orwellem czy Virginią Woolf i był jednym z głównych rozgrywających na amerykańskim rynku wydawniczym, przy całej sile swojego autorytetu nie mógł wpłynąć na wolę młodej pisarki.

I nawet nie przeszło mu do głowy, żeby próbować. Wyobraźni Flannery O'Connor nie dało się ujarzmić.

Mroczne historie

25 marca mija sto lat od jej urodzin. Wyjątkowy głos O'Connor nadal bawi, szokuje i daje do myślenia. Czytając napisane przez nią historie – dwie powieści i ponad trzydzieści opowiadań – mamy wrażenie, że chodzimy po galerii krzywych zwierciadeł. Czego tu nie ma! Sprzedawca Biblii dla zabawy kradnie sztuczną nogę ateistce z niepełnosprawnością („Pocziwi wiejszy ludzie”); lekkoduch, aby przypodobać się głęboko wierzącej żonie, pokrywa całe plecy tatuażem z wizerunkiem Jezusa, czym prowokuje ją do przemocy („Plecy Parkera”); narcystyczny dziadek najpierw bije, a potem morduje własną wnuczkę na złość zięciowi i zaraz potem, doświadczywszy duchowego objawienia, umiera na zawał serca („Widok na las”); a rozczarowany wiarą kaznodzieja zakłada bezbożny Kościół i wydlubuje sobie oczy, aby stać się jego pokutnikiem („Mądrość krwi”).

Mroczne historie O'Connor są kalejdoskopem konfliktów i absurdów. Ale przemoc nigdy nie miała tu tylko szokować. Towarzyszyło jej żarliwe przekonanie autorki o fundamentalnej potrzebie odkupienia.

W zbiorze esejów „Misterium i Maniery”, O'Connor pisała, że zawsze irytowali ją ludzie, dla których fikcja literacka jest ucieczką od rzeczywistości. A przecież – jak dowodzi – to „skok na głęboką wodę rzeczywistości”. Brutalna rzeczywistość miała w założeniu wstrząsnąć osobami czytającymi jej teksty tak mocno, by stać się zarzewiem duchowego przebudzenia, dotknięciem czegoś niezgłębionego. Od pierwszego zdania, zawsze przykuwającego uwagę i często zwiastującego paradoks historii, O'Connor prowadzi skonfundowanych czytelników w kierunku dojmującego, mistycznego doświadczenia. Jak głosi tytuł jej drugiej powieści, odwołujący się do cytatu biblijnego, to „gwałtownicy porywają Królestwo Niebieskie”.

Dla Flannery O'Connor gwałtowność stała się podstawą programu artystycznego. Jak pisała, „do tych co niedośłyszą, trzeba krzyczeć, a dla tych co niedowidzą, trzeba kreślić duże i wstrząsające znaki”. W ten sposób podtrzymywała w swo-

jej prozie z pozoru przeciwstawne siły – z jednej strony żarliwą wiarę i potrzebę odkupienia, a z drugiej poczucie absurdu i zatracenie się w transgresji.

Głos z Południa

Pochodziła z Georgii. W jej czasach wciąż odczuwalne były echa Wojny Secesyjnej, którym towarzyszyło poczucie odmienności w stosunku do reszty kraju. Jak pisał William Faulkner, na Południu Ameryki „przeszłość nie umiera nigdy, nie jest nawet przeszłością”. Krajobraz społeczno-polityczny regionu determinowały poczucie historycznej krzywdy, silne podziały społeczne i konserwatyzm.

Prawo segregacji oddzielało od siebie Afroamerykanów i białych mieszkańców Południa nie tylko w kawiarniach, autobusach i szkołach, ale też mentalnie. To czas brutalnego rasizmu i działalności Ku Klux Klanu, gdy w samej tylko Georgii dokonywano trzech linczów tygodniowo. Trudno się dziwić, że pisarstwo Południowego Gotyku to nurt nawiedzany przez duchy, targany paradoksami i mocno zorientowany na to, co dziwne, groteskowe i niepojęte.

Urodzonej w rodzinie o irlandzkich korzeniach pisarce zawsze towarzyszyło poczucie odmienności. Była żarliwie wierzącą katoliczką mieszkającą na protestanckim obszarze tzw. Biblijnego Pasa. Miała talent do wychwytywania z otaczającego świata wszystkiego, co odrębne i niezwykle. Na prestiżowym programie kreatywnego pisania Uniwersytetu Iowa O'Connor opowiadała, jak w wieku sześciu lat opiekowała się kurczakiem, który chodził tyłem. Jego fenomenem zainteresowała się nawet telewizja. Fascynacja ptakami towarzyszyła jej zresztą od zawsze.

W późniejszych etapach życia hodowała przy domu rodzinnym prawie sto pawi. Podkreślała, że moment, gdy po serii gwałtownych ruchów męskie osobniki rozkładają ogony, jest dla niej magiczny. W rozłożystych piórach i mieszaninie kolorów widziała manifestację mistycznych sił. Tych samych, które inspirowały ją artystycznie, prowadząc od cielesnego szoku do doświadczenia estetyczno-duchowego. W podobnie hipnotyczny sposób chciała inspirować osoby sięgające po jej twórczość. Obrazy pawich ogonów często zdobią okładki jej opowiadań zebranych.

→ Studia w Iowa były dla młodej pisarki przepustką do kariery i drzwiami do świata literackiego. Jednak wpływ regionu, z którego pochodziła, był oczywisty. Jeden z jej wykładowców w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co do niego mówiła. Poprosił, by zapisała to, co chciała powiedzieć, na kartce papieru – tak silny był jej południowy akcent. W pamiętniku przyznawała, że trudno jej było utożsamić się z innymi studentami i studentkami – albo byli niewierzący, albo w przeciwieństwie do niej nie traktowali religii jako czegoś, co organicznie przenika każde zapisane zdanie i każdą wymyślną historię.

Ale to w Iowa poznała wielu współczesnych sobie pisarzy, zaprzyjaźniła się też z poetą Robertem Lowelllem. A co najważniejsze, zaczęła tam pracować nad swoją debiutancką powieścią, „Mądrością krwi”. Czuła wyraźnie, podobnie jak jakiś czas później, w kolonii artystycznej Yaddo w Saratoga Springs, na odległej północy Stanów, że jej wyobraźnia pracuje na wyjątkowej częstotliwości. Pisała w jednym z esejów, że wszystko, co wywodzi się z Południa, będzie dla czytelnika z Północy groteskowe, „chyba że w istocie jest groteskowe, to wtedy będzie jawiło się jako realistyczne”.

Na regionalnej mapie estetycznej plasowała się właśnie w królestwie groteski, która nie była jednak tylko kwestią stylu, ale sposobu rozumienia świata i obcowania z nim.

Ciało stało się ciałem

W roku 1950, w wieku dwudziestu pięciu lat, O'Connor zaczęła odczuwać silny dyskomfort w rękach i nogach. W pierwszej chwili pojawiło się podejrzenie, że to reumatyzm. Potem jednak, gdy jechała do rodzinnego domu na Boże Narodzenie, przyszła gorączka i charakterystyczne wypieki – a wraz z nimi poprawna diagnoza. Podobnie jak ojciec, który zmarł dziesięć lat wcześniej, pisarka miała toczyć chorobę o charakterze immunologicznym. Jej ciało atakowało samo siebie. Przez kilka miesięcy raz po raz trafiała do szpitala w Atlancie, a gdy wreszcie została z niego na dłużej wypisana, poruszanie się, a zwłaszcza chodzenie po schodach, sprawiało jej już trudność. Matka O'Connor zdecydowała, że oboydwie przeprowadzą się do Andalusii – wiejskiego domu, gdzie dziś znajduje się muzeum poświęcone pisarce.



Plakat filmu „Wildcat”

O'Connor nie interesowały proste historie o zbawieniu.

Jej ambicja artystyczna, sprzężona z żarliwym przeżywaniem tajemnicy wiary, nie pozwalała na teksty, które miałyby po prostu podnosić na duchu.

Od tego momentu praca twórcza O'Connor i codzienne życie poza miastem zaczęły splatać się w nieustanną walkę z czasem i bolesnym doświadczeniem własnej śmiertelności. Lekarze prognozowali, że pisarka ma przed sobą najwyżej pięć lat życia. Żyła jednak dwanaście. Chodziła o kulach, a w czasie spacerów lubiła otaczać się swoimi ukochanymi pawiami. Prowadziła też ożywioną korespondencję i cały czas nieustępliwie pracowała nad kolejnymi tekstami. Podkreślała potem w listach, że „choroba to miejsce, które uczy więcej niż jakakolwiek wycieczka do Europy”. Ten atak na ciało formował jej twórczość, jak i wiarę.

Jej doświadczenie życiowe dobrze oddaje biograficzny film pt. „Wildcat”, który miał premierę dwa lata temu. W kulminacyjnej scenie wyreżyserowanego przez Ethana Hawke’a obrazu, Flannery O'Connor leży w łóżku, a na jej twarzy widać cierpienie. Na prośbę matki schorowaną pisarkę odwiedza ksiądz, grany przez Liama

Neesona. O'Connor ze łzami w oczach, drżącym głosem mówi: „Wyczekuję łaski. Widzę ją, wiem, że tam jest, ale nie mogę jej osiągnąć”. Ksiądz jest poruszony i skonsternowany. Gdy postanowił nawiedzić chorą, nie spodziewał się, że spotka kogoś przeżywającego religię w tak dojmujący i żywy sposób. Widzi też oddaną swojej sztuce bezkompromisową artystkę – pisarkę, która szuka sposobu, by skonfrontować się z ciężarem żarliwej wiary, własnej choroby i ambicji opowiadania historii. Hawke mówił potem w wywiadach, że ta scena to „serce filmu”.

Dla O'Connor religia katolicka była zasadą organizującą rzeczywistość, w której centrum znajdowała się namacalna, głęboka tajemnica wiary. Stanowiła ona przeciwwagę dla materialnego świata ogarniętego konsumpcjonizmem, balansującego na krawędzi po koszmarze pierwszej i drugiej wojny światowej. To doświadczenie religijne dla O'Connor nie było ani symboliczne, ani uwarunkowane kulturowo. Jego dojmująca wręcz obecność odznaczała się dla niej w każdej interakcji z innymi osobami i w każdym akcie twórczym. Gdy raz spotkaniu grupki literatów w Nowym Jorku usłyszała, że Eucharystia jest „dobrym symbolem”, odparła „Jeśli to tylko symbol, to do diabła z nią!”.

Ciężar bezkompromisowej wiary był dla pisarki nieraz przysgniatający. „Ludzie nie zdają sobie sprawy, ile kosztuje religia” – pisała. „Myślą, że wiara to duży koc elektryczny, gdy tak naprawdę to krzyż. Ciężiej jest wierzyć, niż nie wierzyć”. To z tego względu O'Connor nie interesowały proste historie o zbawieniu. Jej ambicja artystyczna, sprzężona z żarliwym przeżywaniem tajemnicy wiary, nie pozwalała na teksty, które miałyby po prostu podnosić na duchu.

„Wszystkie opowiedane przeze mnie historie dotyczą postaci, którym oferowana jest łaska i które nie są w stanie jej przyjąć” – wyjaśniała w listach. Pokazując ten zasadniczy konflikt z różnych perspektyw i opisując desperackie próby bohaterów, by okiełznać rzeczywistość na przekór tajemnicy, O'Connor chciała przekazać fundamentalną prawdę o rzeczywistości – prawdę swojej wiary.

Dzika kotka

W jednym z wywiadów przeprowadzonych po premierze filmu Ethan Hawke

oraz jego córka, Maya Hawke, aktorka znana z serialu „Stranger Things” i odtwórczyni roli Flannery O’Connor, zostali poproszeni o skomentowanie tytułu: „Wildcat”. Podkreślali, że „dzika kotka” (ang. *wildcat*) to metafora sprzeczności w historycznej postaci O’Connor – w kruchej posturze naznaczonej chorobą kryły się potężne, nieposkromione siły: nieustępliwość, wiara i wola tworzenia. „Poruszyła mnie myśl, że największą przeszkodą stojącą między mną a realizacją mojego pełnego potencjału [twórczego] jest sama gotowość działania” – wyjaśniała Maya pytana o inspiracje. To właśnie młoda aktorka była pomysłodawczynią filmu. Opowiadała, że z twórczością O’Connor związana była od wielu lat, a fragmenty jej pamiętnika wykorzystywała jako materiał do recytacji w trakcie przesłuchań do szkoły aktorskiej. Postać O’Connor utożsamia dla niej determinację, by tworzyć, i bezkompromisowość wobec własnej drogi artystycznej, co w pierwszych dekadach XX wieku dla kobiety-pisarki w USA było utrudnione kulturowo i społecznie.

Maya do udziału w projekcie namówiła swojego ojca – reżysera i aktora, dla którego przełomem w karierze była rola w filmie „Stowarzyszenie umarłych poetów” z 1989 r. Refleksja nad rolą literatury towarzyszyła Hawke’owi od czasu tego filmu. I również dla niego postać O’Connor ma wymiar symboliczny: „Miała zapalczywość Charlesa Bukowskiego” – wyjaśnia. „I chciała zostać znaną pisarką. Ale miała też dużą dozę chrześcijańskiej pokory”. Ten konflikt był dla reżysera ważnym punktem odniesienia.

„Wildcat” nie opowiada zresztą tylko o samej O’Connor. Sceny z jej życia przeplatają się ze scenami z jej opowiadań, dając wyraz słowom jej biografa, Jonathana Rogersa: „Historia życia Flannery O’Connor to bardziej opowieść o jej życiu wewnętrznym niż zewnętrznym”. Cały czas zaglądamy więc do świata południowej groteski, historii opowiadających o rzeczywistości, która istnieje równolegle z dobrze ułożonym światem kompromisów i konwenansów społecznych. Maya Hawke w wywiadach podkreślała, że każda postać z opowiadań O’Connor to inny aspekt samej pisarki i inne jej wcielenie.

Flannery O’Connor w wyborze autora



■ **OCALISZ ŻYCIE, MOŻE SWOJE WŁASNE. OPOWIADANIA ZEBRANE (2019)**

Wydany sześć lat temu zbiór opowiadań to przekrój przez twórczość pisarki.

Obok najbardziej znanych historii, znajdziemy tu też opowiadania, które po raz pierwszy pojawiły się w języku polskim. Wszystkie budują obraz złożonego, ostrego i groteskowego świata pisarki. Tłumaczyli Maria Skibniewska i Michał Kłobukowski.



■ **MĄDROŚĆ KRWI (1992)**

Pierwsza powieść O’Connor, pełna groteski i mrocznego humoru. Pochodzący z Południa USA bohater, Hazel, postanawia zostać

kaznodzieją. Wobec poczucia pustki i kryzysu wiary powołuje do życia własny Kościół i wpada w wir wydarzeń, które ukazują absurdalność świata.

Tłumaczyła Magda Kucharska.



■ **MISTERIUM I MANIERY. PISMA PRZYGDONE W WYBORZE I OPRACOWANIU SALLY I ROBERTA FITZGERALDÓW (2020)**

Dorobek O’Connor to też eseje i listy.

W tym zbiorze przeczytamy o wszystkim, co zajmowało uwagę pisarki: od pawłów, przez kulturę Południa, po doświadczenia religijne. Pisma O’Connor uzupełniają fikcję i pogłębiają jej odbiór. Tłumaczył Michał Kłobukowski.

W prywatnej korespondencji

W 2020 r., trzynaste lat po nazwaniu jej imieniem budynku akademika, władze Loyola University w stanie Maryland usunęły jej nazwisko z tablicy. Według oświadczenia przedstawicieli uczelni, poglądy pisarki podszyte były rasizmem w takim stopniu, że pozostają w konflikcie z wartościami, którym hołduje uczelnia. Stało się to po publikacji w tygodniku „New Yorker” eseju pt. „How Racist was Flannery O’Connor?” pisarza Paula Elie. Zwrócił on uwagę na to, jak często używała obelg rasistowskich w prywatnej korespondencji, jak w Massachusetts odrzucała ją obecność Afroamerykanów na zajęciach na uczelni i jak w metrze siadała zawsze między przyjaciółmi i rodziną, żeby przypadkiem miejsca koło niej nie zajęła osoba o innym kolorze skóry. To istotny kontekst we współczesnej rozmowie o jej twórczości.

Esaj wywołał burzliwą dyskusję wśród osób zajmujących się twórczością O’Connor. Autorowi zarzucano, że używa współczesnych standardów moralnych do oceny osoby, która urodziła się niemal sto lat temu. Elie odpowiadała, że skoro w jej czasach nie brakowało autorów i autorek, którzy z dużą większą wrażliwością i świadomością społeczną sprzeciwiali się rasizmowi i segregacji rasowej, postać O’Connor nie powinna być zwolniona z tego rodzaju krytyki.

Ethan Hawke też nie unikał tematu w wywiadach udzielonych po premierze filmu. „Nie można opisywać historii Ameryki bez dotykania jej grzechów i ran” – wyjaśniał. „O’Connor wychowywała się w chorym miejscu, na Południu. Ale była rasistką, w której dojrzała już zmiana”. Chcąc pokazać tę zmianę, Hawke umieścił w filmie sceny z opowiadania, w którym O’Connor wyśmiewa południową bigoterię i ukazuje absurdalne zachowanie białej kobiety, która z wyższością chce obdarować czarne dziecko drobnymi, co rozwściecza jego matkę. Skonfliktowane poglądy pisarki stanowią nieodłączny element jej historycznej postaci i tożsamości regionalnej. Razem z jej żarliwą wiarą i determinacją artystyczną dopełniają wielowymiarowy obraz jej życia. © MICHAŁ CHOIŃSKI

Autor wydał niedawno książkę „The New Yorker. Biografia pisma, które zmieniło Amerykę”. Z „Tygodnikiem” współpracuje od 2024 r.

Z serduszkciem, bez serca

MICHAŁ WALKIEWICZ

„Buddę. Dzieciaka '98” w reżyserii Kamila „Buddy” Labuddy obejrzało w pierwszy weekend blisko 350 tys. polskich widzów. Dystrybutor pękał z dumy, bo to więcej niż „Top Gun: Maverick” i „Diuna”. Co się dzieje?

TO BYŁA MSZA, A NIE SEANS. GDYBY zamiast foteli wstawiono klęczniki, ludzie zdzieraliby sobie kolana. Ciszka jak makiem zasiał, spływające po policzkach łzy, aż strach sięgnąć po popcorn. Na ekranie tymczasem coś, jakby ostatni film w dziejach; jednocześnie western, dramat, opowieść inicjacyjna, no i oczywiście – łatwo o tym zapomnieć w natłoku atrakcji – dokument.

Bohater filmu, influencer i gwiazda YouTube'a Kamil „Budda” Labudda, rozprawia o życiu i śmierci, wznosi dłonie ku niebu na wypełnionym po brzegi stadionie, pędzi sportowym samochodem po górskich serpentynach, odchodzi w stronę zachodzącego słońca. Można go pomylić z tym drugim, mniej u nas popularnym, oryginalnym Budda. Zwłaszcza, gdy sugeruje, że w ludzkim umyśle tkwi moc zaklinania rzeczywistości.

Labudda zaklął rzeczywistość. Od ubiegłego roku trwa przeciw niemu postępowanie w sprawie przestępstw podatkowych (miał narazić skarbowkę na stratę blisko 60 mln zł), prania pieniędzy oraz kierowania zorganizowaną grupą przestępczą. W kolejce na ekrany kin (podstawa marketingowej ekspansji) meldują się natomiast inni influencerzy.

Na polskich ekranach wciąż króluje „100 dni do matury” Mikołaja Piśzczana, komedia sensacyjna wyprodukowana przez popularny kolektyw Ekipa i obsadzona gwiazdami grupy Genzie. Marcowy repertuar zamyka z kolei dokument o Julii Żugaj – młodej influencerce i piosenkarce. Tytuł nie pozostawia wątpliwości: „Jesteśmy Żugajkami”. Ale jak to? Wszyscy?

Przejście na Buddyzm

Kto z nas nigdy nie pomylił filmu z zawalowaną reklamą prężnego przedsiębior-

stwa, niech pierwszy rzuci kamieniem. Podobne produkty wpisują się w końcu w nowożytną tendencję „korporacji branży filmowej” oraz odwieczny trend merkantylizacji sztuki. Problem z przenikaniem się światów kina oraz influencingu leży jednak zupełnie gdzie indziej.

Sztuka, choć miewa charakter misyjny, nie musi schlebiać uśrednionym gustom. Influencing uzależnia promocję pozytywnych wzorców od kryterium opłacalności. Z tych interesów powstaje koszmerek, czyli kino markujące „refleksję nad wartościami”, lecz całkowicie służebne wobec reguł popytu i podaży.

„Buddę. Dzieciaka '98” w reżyserii samego zainteresowanego oraz Krystiana Kuczkowskiego obejrzało w pierwszy weekend blisko 350 tys. widzów. Dystrybutor pękał z dumy, bo to więcej niż „Top Gun: Maverick” i „Diuna”. Ja użyłbym innej skali. Mamy bowiem do czynienia z najbardziej kasowym dokumentem w historii rodzimej kinematografii. Poprzedni rekord należał do „Ani”, biografii zmarłej aktorki Anny Przybylskiej (również w reżyserii Kuczkowskiego). Kolejny, jak miemam, ustanowią „Żugajki”. Dobrze myślicie, znów za sprawą Kuczkowskiego, byłego dyrektora programowego TVP. Rodzimy dokument – a przynajmniej ten, który chcemy oglądać w kinach – ma jego twarz.

Bączki w Lambo

Czy widz „Buddy” kupi karnet na Krakowski Festiwal Filmowy? Można okopać się w szanłach moralnej wyższości i pogrzmiwać, że motłoch woli filmy o influencerach niż „Album wideofoniczny” Beksińskich. Z perspektywy masowego widza Beksińscy mają jednak zasadnicze wady: Zdzisław nie został pod domem dziecka skrzynki z pie-

niędzmi, a Tomasz nie kręcił bączków zielonym Lamborghini.

Casus „Buddy” jest emblemacyjny dla całej relacji odbiorcy, wychowanego przez media społecznościowe, z rzeczywistością kształtowaną przez tradycyjne media oraz analogową kulturę. Jeśli posłuchamy fanów filmu, usłyszymy historię biednego chłopaka, który wyciągnął się za uszy z bagna, odniósł sukces, podzielił bogactwem, a następnie padł ofiarą zawistnego establishmentu. A skoro pod aresztem w Nowogardzie, gdzie przebywał „Budda”, organizowano pikietę, to trudno zakładać, że zmienia tę optykę kolejne aresztowania, medialne relacje oraz dowody w sprawie.

Z kronikarskiego obowiązku przypomnę tylko, że na początku marca bieżącego roku funkcjonariusze CBS zatrzymali kolejne dziesięć osób w sprawie nielegalnych loterii „Buddy”. Byli wśród nich dziennikarze sportowi, organizatorzy walk MMA, a także gwiazdy YouTube'a i influencerzy.

Wymiana autorytetów

Bez względu na to, czy mówimy o dokumentach, czy o fabularnych diagnozach naszego cyfrowego wieku, influencerzy nie są ani artystami, ani rzemieślnikami kina. Stworzony przez nich publiczny „awatar” rozsadza nawias fikcji do tego stopnia, że, czy tego chcą, czy nie, zawsze pozostają sobą. Nie bez powodu w licznych komentarzach na autorskich kanałach, a nawet w oficjalnych materiałach dystrybutora, czytamy często o „prawdzie” i „autentyczności”, które za ich sprawą pojawiają się na ekranie.

Rękojmnią tejsze „prawdy” jest sukces – odniesiony oddolnie, wbrew mediom głównego nurtu, oderwanym od rzeczywistości elitom oraz ideologicznie zacządzonym środowiskom artystycznym. „Budda” to zatem nie tylko „prawdziwy gwiazdor”, ale też „prawdziwy filantrop” (nie to, co Owsiak), „prawdziwy społecznik” i „prawdziwy Polak”. Prawdziwy, czyli wychowany w biedzie, mówiący językiem „zwykłego człowieka”, budujący piramidę potrzeb na fundamencie fantazji o szybkich autach i wielkich pieniądzach.

Kino powinno takie bzdury weryfikować. Nie mówiąc nawet o tym, że powinno weryfikować talent aktorski, transparentność lokowania produktów



Kadr z filmu „Budda. Dzieciak '98”, reż. Krystian Kuczkowski, Kamil Labudda, 2024 r.

oraz masę innych rzeczy. Trudno jednak krzyknąć „sprawdzam” w filmie finansowanym z kieszeni zainteresowanych. Granice pomiędzy sztuką a marketingiem i autopromocją robią się coraz bardziej przezroczyste. Paliwem tego kryzysu jest powszechne przekonanie, że nowe media to ostatni bastion wolności słowa; że youtuberzy nie chodzą na pasku reklamodawców; że self-made meni funkcjonujący poza kulturalno-towarzystwiskim układem są biologicznie niezdolni do kłamstwa.

Pytanie, na ile sami influencerzy tworzą taki obraz mediów społecznościowych, jest w zasadzie drugorzędne. To właśnie na nich, jako na mimowolnych trybunów ludu, najłatwiej projektuje się własne marzenia i fobie. Zwłaszcza w tak spolaryzowanym politycznie, społecznie i kulturowo kraju. Żugaj, z którą miałem okazję porozmawiać przy okazji premiery jej książki dla młodzieży, zdaje się mieć świadomość tego stanu rzeczy. W swoich fanach, w sile kliku milionów, dostrzega dyrygentów z batutą. Swoją „muzyczny i literacki content” dostosowuje do ich wieku, potrzeb i aspiracji.

Jeśli ktoś myśli, że kino będzie wyjątkiem, to jest przestrzenią, w której influencerzy zmieniają swoją strategię i dadzą upust indywidualnej wrażliwości, powinni przerwać wykonywaną czynność i pójść do kina na „100 dni do matury”.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że rytm tej komedii wybija palec stukający w kalkulator. Co druga scena jest aluzją do internetowej działalności grupy Genzie, gatunkowy kostium uszyto dla świętego spokoju, zaś profesjonalni aktorzy poruszają się między idolami młodzieży jak rodzice na imprezie w akademiku. Przecież dzieło powstało pod kuratelą Ministerstwa Edukacji Narodowej.

Kino znajdzie drogę?

Pandora Gate, czyli afera, w trakcie której wielu polskich youtuberów zostało publicznie oskarżonych o przestępstwa seksualne, wybuchła jesienią 2023 r. Od tamtej pory nikt nie usłyszał prokuratorskich zarzutów, nie udało się również przerzucić żadnego kulturowego pomostu między odległymi światami. No chyba że za takowy weźmiemy protekcyjnalne pochwały „dziennikarskiej przenikliwości” influencerów ze strony dziennikarzy tradycyjnych mediów oraz konkluzje paru filmowców, że gwiazdy internetu nadają się i na przedmiot, i na podmiot sztuki. Skończyło się na dramatycznym niedoszacowaniu kulturotwórczego potencjału tej branży.

Kino jest dziś niezłym miernikiem tego potencjału, co widać doskonale po frekwencji. „#Jestem M. Misfit” Marcina Ziębińskiego z wideoblogerką Sylwią Lipką w roli głównej otworzyło się w 2019 r. na

100 tys. widzów. „100 dni do matury” ma już na koncie pół miliona sprzedanych biletów. Z kolei „Budda” kontynuował swój zwycięski bieg w streamingu.

Strach przed wykluczeniem, na który cierpi nasza branża filmowa, doprowadził do kuriozalnej sytuacji: oto kinowe triumfy święcą rozciągnięte do pełnego metrażu spoty autopromocyjne. Nawiasem mówiąc, ten sam rodzaj lęku zamienił faceta oskarżanego o wyłudzenia i oszustwa w najpopularniejszego rodzimego podkastera.

Emocje i wyzwania

Jeżeli nazwiska Jimmy’ego Tatro, Baby Ariel czy Cameron Dallas coś wam mówią, to raczej nie dlatego, że lubicie zabawiać znajomych filmowymi ciekawostkami. To najwyżej notowane gwiazdy mediów społecznościowych, które, mimo usilnych prób, nie zrobiły większej kariery w kinie czy w telewizji. I o ile samo przenikanie się światów kina oraz internetowego influencingu nie jest niczym nowym, kluczowa wydaje się skala. To, co w Hollywood będzie osobliwością tygodnia, u nas stanie się trendem.

„Tworzymy projekt na skalę światową, łącząc influencerów z profesjonalnymi aktorami, co przyniesie świeżość obu branżom. To największy projekt Ekipy, z ogromnym budżetem i ryzykiem, ale także wielkim potencjałem sukcesu, →

→ który otworzy drogę do kolejnych globalnych przedsięwzięć filmowych. Podjąłem to ryzyko, bo jestem pewien, że nasz sektor ma siłę rozwoju, a Laniakea Pictures kolejne sukcesy przed sobą. Wierzmy, że film będzie impulsem do ważnych rozmów w szkołach i domach o emocjach i wyzwaniach, z jakimi mierzy się młodzież” – mówi o „100 dniach...” Łukasz „Wujek Łuki” Wojtyca, prezes Ekipy, w rozesłanej do mediów informacji prasowej. Nazwijcie mnie staroświeckim, ale skoro „emocje” i „wyzwania” młodzieży, to raczej nie w rozwojowym „sektorze” i na drodze do „globalnych osiągnięć”.

Kino dokumentalne jest w tym względzie wyjątkowo delikatną materią. W jego definicję wpisane są przecież dylematy etyczne, refleksje na temat tego, co wolno pokazać, do jakiego stopnia można zainscenizować rzeczywistość, jak oddzielić bohatera od promowanych przez film wartości. Lecz nawet w fabule ostentacyjne budowanie własnej marki to mało szlachetna praktyka. Zwłaszcza, jeśli przeznaczają się na nią kosmiczne pieniądze. Budżet „100 dni do matury” szacuje się na 17 mln zł. To jedynie 5 mln mniej niż „Kos”, czyli historyczny epos Pawła Maślony o powstaniu kościuszkowskim.

Zdaję sobie sprawę, jak dziadersko brzmi to zdanie. Gwarantuję natomiast, że zabrzmiałoby lepiej, gdy uświadomimy sobie, że „Kos” jest filmem zabawniejszym, mądrzejszym, lepiej zrobionym i o większych walorach edukacyjnych.

Filmowcy o influencerach

Gdy odwrócimy wektor, okaże się, że filmowcy nie mają większych problemów z opowiadaniem o polowaniu na polubienia oraz życiu w rytmie instagramowych powiadomień. Fenomen influencerstwa nie jest aż tak skomplikowany, by nie dało się go wszyć w tkankę rozmaitych gatunków – od dramatu („Król Internetu” Gii Coppoli), przez dokument („The American Meme” Berta Marcusa), po thriller („Spree” Eugene’a Kotlyarenko). W USA tworzy się dzięki temu coś na kształt kulturowego dialogu – każdy skok na kasę kontrowany jest mniej lub bardziej udaną analizą zjawiska. W Polsce takich analiz po prostu nie mamy.

W założeniach „Dziewczyna influencerka” Szymona Gonery miała być jakąś

Czy można zrozumieć influencerów



MATERIAŁY PRASOWE X4

■ **SWEAT (2020)**, reż. Magnus von Horn
Królowa fitnessu kocha swoich poddanych, lecz na szczycie jest samotna. Von Horn rezygnuje z publicystyki na rzecz intymnego portretu jednostki. I pewnie dlatego w tych zapasach ze współczesnością udaje mu się uniknąć banału. W roli głównej wielka Magdalena Koleśnik.

■ **THE AMERICAN MEME (2018)**, reż. Bert Marcus
Na ekranie same gwiazdy – Paris Hilton, Josh Ostrovsky, Brittany Furlan, Emily Ratajowski. Tyle, że nieco smutniejsze i bardziej refleksyjne niż zazwyczaj. Nic dziwnego – choć trudno w to uwierzyć, historie paru internetowych imperiów napisano potem i łzami.

■ **OCET JABŁKOWY (2025)**, reż. Samantha Strauss
Influencerka i ewangelistka medycyny alternatywnej Belle Gibson skończyła swoją karierę z wyrokiem, w niestawie. Zaś poświęcony jej serial to idealna propozycja na czasy „zdroworozsądkowego” oporu przeciw nauce.

■ **INFLUENCERKA (2022)**, reż. Kurtis David Harder
Gatunkowa jazda bez trzymanki, czyli horror, którego fabuły zdradzać nie wypada. Warto natomiast powiedzieć, że grająca tytułową rolę Cassandra Naud to jeden z niewielu przykładów udanego transferu ze świata social mediów do kina.

odповідzią na potrzebę kina szybkiego reagowania. Bohaterki filmu, dwa automaty spacerujące po maltańskich plażach i mówiące do siebie hasłami kluczami z Google, to jednak mało wiarygodne reprezentantki swojej profesji. Nawet jeśli za karierę płacą Rozpadem Więzi Międzyludzkich, a w trakcie kłótni jedna mówi drugiej, że łączy je tylko algorytm. Sami rozumiecie, że trudno traktować to wszystko poważnie.

Chlubnym wyjątkiem pozostaje „Sweat” Magnusa von Horna. To historia gwiazdy fitnessu, która zapada się w sobie w tempie wprost proporcjonalnym do rosnącej popularności. *Nihil novi sub sole* – kolejna opowieść o samotności i złotej klatce. Ale z ciekawym twistem. W centrum fabuły leży bowiem pytanie o granice (nie)świadomości. Już w pierwszej scenie bohaterka, wystylizowana na duchową przewodniczkę i prowadząca ku oświeceniu kursantki z galerii handlowej, perfekcyjnie markuje stan epifa-

nijnego uniesienia. Czy wie, że jej spełniony sen o sławie to społeczna mrzonka? A może naprawdę wierzy w to, że sprzedaje coś autentycznego?

Nie przemawia przeze mnie ironia. Szczerze ciekawi mnie, jak na to pytanie odpowiedzieliby bohaterowie tego tekstu. Z omawianych filmów wynika bowiem, że raczej nie wierzą w to, co mówią – a przynajmniej nie na tyle, by przedłożyć „autentyczność” nad biznesplan. Rozumiem chęć poszerzania strefy wpływów. Myślę jednak, że samo kino zyskuje na tym układzie niewiele. Traci natomiast coś bardzo cennego – możliwość bezstronnej, krytycznej oceny rzeczywistości. Czy nam się to podoba, czy nie, influencerzy są jednym z jej najjaskrawszych symboli. © MICHAŁ WALKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem i krytykiem filmowym. Redaktor naczelny portalu Filmweb w latach 2013-2024. Współpracuje z „Tygodnikiem” od 2008 r.

W świecie, który dzieli,
my szukamy tego, co łączy.

Najnowsze, specjalne wydanie
„Tygodnika Powszechnego” powstało dla tych,
którzy mają dość prostych podziałów
na swoich i obcych.

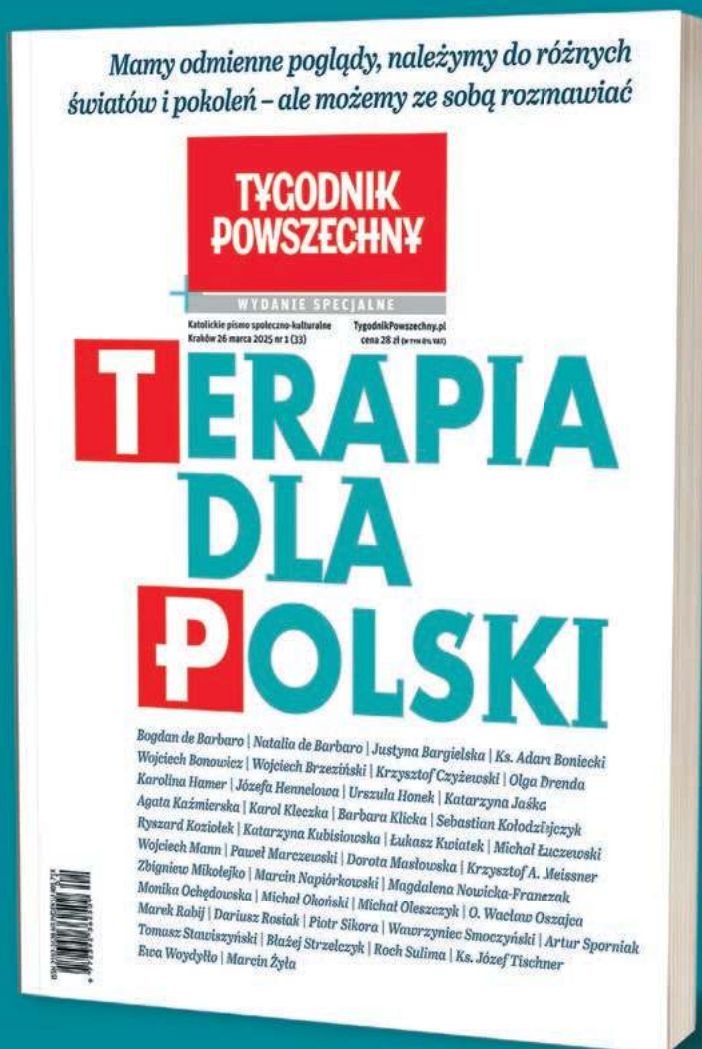
To zaproszenie do rozmowy ponad liniami frontu,
ponad uprzedzeniami i schematami.

Dyskutujmy, zamiast się okopywać.

Bo Polska jest jedna – choć niejednorodna.

W numerze m.in.

- Bogdan de Barbaro
- Natalia de Barbaro ■ Justyna Bargielska ■ ks. Adam Boniecki
- Wojciech Bonowicz
- Olga Drenda ■ Urszula Honek
- Dorota Maślowska ■ Zbigniew Mikotejko ■ Magdalena Nowicka-Franczak ■ Michał Okoński
- Michał Oleszczyk ■ Marek Rabij
- Tomasz Stawiszyński
- ks. Józef Tischner
- Ewa Woydytło.



Weź, czytaj i rozmawiaj z nami!

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE

TERAPIA DLA POLSKI

W sprzedaży od środy 26 marca, w najlepszych salonikach prasowych i kioskach.

Utracone i upragnione

KAROLINA BRODA

Paolo Sorrentino tworzy filmy, w których nawet upływ czasu jest uwodzicielski. Piękno, które odeszło, jest dzięki temu jeszcze silniej obecne. To w nim jest prawdziwe życie.

KIEDY W 2013 R. ŚWIAT ZOBACZYŁ KULTOWE dzisiaj „Wielkie piękno” w reżyserii Paola Sorrentino, publiczność oszalała. Krytyka filmowa – podobnie. Potem był Oscar, a hollywoodzkie „Variety” z mocą branżowej wyroczni potwierdziło to, co wielu wiedziało już wcześniej: „oto narodził się nowy Fellini”.

„Wielkie piękno” było nie tylko hołdem złożonym Felliniemu, ale też dowodziło, że oto wyłonił się twórca na jego – wydawało się niedoścignioną – miarę. Sorrentino znalazł się teraz w dość odosobnionym bastionie prawdziwych magów kina, tworzących na własnych warunkach, wbrew i w poprzek wymaganiom branży, modom i poprawności politycznej.

Ręka Boga

Jako człowiek nieśmiały, Sorrentino nie zdradza wiele na temat swojej biografii. Raczej każe tropić jej ślady w kolejnych produkcjach filmowych wychodzących spod jego ręki. Jak twierdzi, każda z nich jest podszyta autofikcją, lecz najbardziej wprost autobiograficznym filmem pozostaje „To była ręka Boga” (2021). Sorrentino, tworząc w filmie swoje *porte parole* pod postacią szesnastoletniego Fabietta, powrócił do rodzinnego miasta, ukochanego Neapolu, który niegdyś wyposażył go w atrybuty pomocne w kształtowaniu swojej artystycznej ścieżki, żeby poddać się filmowej terapii, rozliczyć ze sobą.

Urodził się w 1970 r. w rodzinie niewyróżniającej się kapitałem symbolicznym czy kulturowym. Jak większość krajan, znalazł go w futbolu. Argentyńczyk Diego Maradona, przebiegły piłkarski geniusz, jest dla neapolitańczyków wyborem wzniosłym i oczywistym jednocześnie (to jemu, obok rodziców, Sorrentino zadedykował jedyne do tej pory swoje Oscara).

Taka piłka nożna – niezależna, trochę dzika i kreatywna – określiła trajektorię losu Sorrentino. Nawet jeśli nie uczyniła go wybitnym piłkarzem, tylko reżyserem-samoukiem. Maradona – w dosłownym sensie – uratował mu życie. W 1986 r. Paolo zamiast wyjazdu z rodzicami do domku w górach wybrał kibicowanie ukochanemu piłkarzowi, odpowiedzialnemu za zapewnienie argentyńskiej drużynie narodowej zwycięstwa na mistrzostwach świata w Meksyku. Legendarny gol zdobyty nieprzepisowo przez Diega w meczu z Anglią, zwany „ręką Boga”, okazał się także opatrnościowy dla samego Sorrentino, ratując go przed zaczadzeniem, które zabiło wówczas rodziców reżysera we własnym domu.

Tragedia związana z osieroceniem na zawsze pozostawiła ślad w psychice reżysera. Neapol – miasto jego młodości i jego piłkarska tradycja – powraca jako nieustająca inspiracja. Taką właśnie historię opowiada brawurowy i przepelniony nostalgią, nominowany do Oscara film „To była ręka Boga”. Inspiracje kinowe przysły dopiero później, za sprawą reżysera Antonia Capuana. Na jego polecenie Sorrentino napisał w 1998 r. scenariusz do „Kurzu Neapolu”. Capuano dał mu kolejną ważną lekcję – nauczył, że musi „doświadczać życia, by mieć coś do powiedzenia ludziom”, dodając aspirującemu reżyserowi wiary w powodzenie jego kariery. I tę lekcję Sorrentino odrobił z nawiązką, tworząc bohaterów tęskniących za pełnią życia, pragnących raz jeszcze doświadczyć tego, co już dawno przeżyli. *La dolce vita* często przybiera u niego postać czegoś utraconego, lecz nie mniej upragnionego. Tytułowa bohaterka filmu „Bogini Partenope” (2024), wchodzącego właśnie do kin w Polsce, także podąża tym tropem.

Zmarszczki Neapolu

Po minimalistycznym, oszczędnym w środkach, intymnym „To była ręka Boga” Sorrentino powraca tu do filozoficznych rozważań rodem z „Wielkiego piękna” (2013) i „Młodości” (2015). Po raz kolejny pyta o relacje między najbardziej odległymi biegunami ludzkiego życia. W „Bogini Partenope” czasem górę bierze przesadzona, perswazyjna estetyka tak silnie kojarzona z jego kinem, ale są też momenty wyciszenia i stonowania.

Widać, że reżyser nie obawia się powrotów do tej samej puli tematycznej. Jest tu i rozbuchany do granic możliwości Kościół z wątpliwymi moralnie duchownymi, i dzika magia futbolu, i kobiece ciała uwiecznione w męskich spojrzeniach. Jest też oczywiście miłość do Neapolu – gorętsza niż kiedykolwiek wcześniej. Zachodzi jednak jedna, bardzo istotna różnica – Sorrentino po raz pierwszy w centrum fabuły umieszcza bohaterkę, a nie, jak dotychczas, zblazowanego bohatera w podeszłym wieku.

Wolna, spontaniczna, młoda oraz obdarzona budzącą zazdrość urodą Partenope (Celeste Dalla Porta) jest niekonwencjonalną intelektualistką, przed którą otwiera się ścieżka uniwersyteckiej kariery antropolożki. Jej cięty humor pozwala skutecznie zbywać zaloty kolejnych mężczyzn. Ale, jak to bywa w filmach tego reżysera, i ona nie ucieknie od starości – nawet najpiękniejsze ciało pokryje konstelacja zmarszczek. Nie ma wątpliwości, że Sorrentino, jak żaden inny twórca, z przemijania potrafi uczynić spektakl uwodzenia. Pytanie, czy nawet tak spektakularna formuła nigdy się nie wyczerpuje?

„Wielkie piękno” było porównywane do „Słodkiego życia” Felliniego. Produkcja, obsypana licznymi nagrodami (aż sześćdziesiąt jeden wyróżnień, w tym Oscar za najlepszy film nieanglojęzyczny), wyznaczyła nowy okres w twórczości reżysera. Wtedy ostatecznie narodziła się stylistyczna forma najsilniej kojarzona dzisiaj z Sorrentinem. Rozbuchane kadry i tematyczny pakiet: Kościół katolicki, Włochy i włoskość (z Rzymem i Neapolem na czele), oniryzm przemieszany z realizmem, *sacrum* nierozzerwalnie splecione z *profanum*. Także główna postać filmu – Jep Gambardella (w tej roli ulubieniec reżysera, Toni Servillo) – w najwyższym stopniu uosabia cechy sorrentinowskiego bohatera. Czyli cynicznego melancholika,



Paolo Sorrentino przed premierą filmu „To była ręka Boga”. Neapol, 16 listopada 2021 r.

prześmiewczego nostalgika z niespożytą siłą wyobraźni. Wykorzystuje ją, by nieustannie zawracać, zerkać wstecz i rozpamiętywać przeszłość.

Ten typowy dla Sorrentina bohater pojawiał się już w „Skutkach miłości” (2004), prawdopodobnie jednym z bardziej przygnębiających i pogrążonych w marazmie obrazów kinowych. Bohaterem jest Titta Di Girol – równie dostoyny, co tajemniczy i anonimowy gość szwajcarskiego hotelu. Zмага się z bezsennością, dni spędza na wypalaniu kolejnych papierosów i obserwowaniu przypadkowych osób, co jakiś czas dożylnie aplikując sobie heroinę. To jednak zupełnie inny język kinowy niż ten, do którego Sorrentino przyzwyczał nas później – ascetyczny, minimalistyczny i wymagający od odbiorcy niezwykle skupienia.

Czego nie chce

Jednak to „Wielkie piękno” stworzyło bohatera z rysem sentymentalizmu, ironii i dystansu. W sam raz, by gorzkie prawdy o życiu stały się bardziej żośne, łatwiejsze do przelknięcia. Zapowiada to pojawiający się na początku filmu cytat z „Podróży do kresu nocy” Louisa-Ferdinanda Céline’a: „Podróżować jest bardzo pożytecznie, to

wprawia w ruch wyobraźnię. Reszta to tylko zawód i mordęga. Nasza podróż jest całkowicie urojona. W tym jej moc”.

Tacy są bohaterowie Sorrentina – wiedzą, że tylko unoszą się na powierzchni życia. Są bez szans na zatopienie się w jego nurcie, tylko dryfują ku końcowi. Jakoś zawsze jest im do niego bliżej niż dalej. Pamięć u Sorrentina to tylko jedna z funkcji wyobraźni, zdolna przekształcać przeszłość na własną modłę. Wspomniany już bohater „Wielkiego piękna” Jep Gambardella, pisarz i dziennikarz na twórczej emeryturze, w dniu swoich 65. urodzin decyduje się wyruszyć w egzystencjalną podróż ulicami Rzymu i zatopić się w przeszłości, aby odnaleźć – choćby w drobnostkach codzienności – dawno utracone tytułowe piękno.

Tak naprawdę tęskni za piersiami swojej pierwszej dziewczyny, czyli za wszystkim: uczuciem prawdziwej i niepewnej, nieskalanej miłości. Teraz, po niespełnionym seksie z piękną Oriettą, zawodowo zajmującą się „byciem bogatą”, niespodziewanie umyka i w introspektywnym geście mówi do widza: „Najważniejszą rzeczą, jaką odkryłem kilka dni po 65. urodzinach, była myśl, że nie mam już czasu, by tracić go na robienie tego, czego nie chce”.

Jego czas nieubłaganie się kurczy – lecz Sorrentino jako jedyny współczesny reżyser tworzy kino, w którym nawet ten upływ czasu jest uwodzicielski.

Tendencję tę tylko częściowo przełamuje „Bogini Partenope”. Główna bohaterka nie daje się przypisać do tak pomyślanej kliszy, niech nas to jednak nie zmyli – nostalgicy u Sorrentina mogą kryć się na obrzeżach. Np. w postaci zrezygnowanego pisarza Johna Cheevera (Gary Oldman) wprost wyznającego Partenope: „Nie chcę marnować nawet jednej minuty twojej młodości”, czy powoli odchodzącego na emeryturę profesora-tutora głównej bohaterki – Silvia Orlanda (Devoto Marotta). Tak uosobiona starość może wybrzmieć tylko w kontraście do czarującej młodości – to w niej reżyser cały czas widzi nadrzedną wartość współczesnego świata.

Czy było coś pięknego u Sorrentina po „Wielkim pięknie”? Przede wszystkim „Młodość” (2015) – opowieść o przyjaźni dwójki starzejących się mężczyzn, granych przez wielkie gwiazdy kina: kompozytora Freda (Michael Caine) i reżysera Micka (Harvey Keitel). Już w tytule jest nawiązanie do motywów przewodnich reżysera. Starość powraca niczym lustro dla całej egzystencji, bohaterowie są wypaleni, →



GIANNI FIORITO / MATERIAŁY PRASOWE MONOLITH FILMS

Celeste Dalla Porta, Dario Aita i Daniele Rienzo w filmie „Bogini Partenope”, reż. Paolo Sorrentino (Włochy, 2024)

→ w zaawansowanym stadium apatii. Sorrentino najbardziej interesują (wbrew poprawnej politycznie tendencji współczesnego świata filmowego) ci najbogatsi, nierzadko artyści. To im przygląda się najczęściej, tworząc groteskowe, prześmiewcze portrety, okraszone dawką empatii. Nie inaczej jest w tymże filmie – możliwość twórczej pracy choć na chwilę konserwuje starość, sztuka przedłuża życie.

W 2016 r. Sorrentino serwuje światu „postsekularny melodramat” (jak nazywa go filmoznawca Russell Kilbourn) w nowym, serialowym formacie HBO. Oś fabularną „Młodego papieża” stanowią losy Piusa XIII, pierwszego amerykańskiego biskupa Rzymu w historii Kościoła. Mimo że Sorrentino określa się jako osoba niewierząca, to nie kryje swojej fascynacji Kościołem i wiarą, co stanowi podszewkę wielu jego dzieł.

Semper Italia, semper bellezza

Życie bohaterów Sorrentino przeleciało lub przelatuje im przez palce, a przynajmniej takie towarzyszy im poczucie: jego krwiobieg, esencja jest gdzie indziej. W „Bogini Partenope” Sorrentino ponownie mamy nas zapierającymi dech krajobrazami i obeszładniającymi

cymi pięknem wnętrzami, aby ostatecznie prosto w twarz wypowiedzieć naga, wciąż tę samą prawdę o życiu: ono nie trwa wiecznie, a koniec jest bliżej, niż nam się wydaje. Ten film również rozpoczyna się od cytatu z Céline’a. Tym razem: „Oczywiście, że życie jest ogromne. Możesz zgubić się wszędzie”.

Ale to kino nie jest eskapistyczne, bo nawet gdy Sorrentino ucieka od tego, co „tu i teraz”, to tylko po to, żeby pokazać szerszy horyzont ludzkiej egzystencji, a może nawet zniwelować strach przed śmiercią, pokazać, że sztuka potrafi ocalać. Słyszycy z łączenia skrajnych rejestrów, w „Bogini Partenope” zestawia „starość i młodość, piękno i brzydotę, euforie i rozpacz, niewinność i perwersję, absurd oraz śmiertelną powagę” – jak sam trafnie diagnozował własne tematy. Także Włochy są dla niego niekończącą się inspiracją, co udowadnia też w najnowszym obrazie, choć nie tak wprost jak w swoich satyrach politycznych: „Boskim” (2008), portrecie powiązanego z mafią chadeckiego premiera Giulia Andreottiego, czy zrealizowanym dziesięć lat później filmie „Oni” (2018) o operetkowym biznesmenie, premierze i seksoholiku Silviu Berlusconi oraz jego kręgu.

Włoskość kipi z ekranu, jest w końcu emblematem reżysera, czymś, bez czego nie daje się on w ogóle pomyśleć. Jest tego świadom, refleksywnie i intertekstualnie polemizując nie tylko z tradycją włoskiego kina, ale też literaturą i sztuką. Oczywiście „Bogini Partenope” również nosi jego znak firmowy, czyli umiejętność kadrowania; aż się prosi, żeby pojedyncze kadry wieszać na ścianie jak obrazy. Sama Partenope jest kimś więcej niż tylko uosobieniem idei piękności, kolejną Afrodytą. Jej uroda fascynuje i przyciąga wielu, ale ostatecznie to ona ma decyzyjną moc. Wykorzystując swoją powalającą *physis*, rozdaje karty, jak chce – przedkłada samą siebie i interes wolnego życia ponad wszystkie czułe słówka mężczyzn.

„Bogini Partenope” to przenikliwe i namiętne dzieło wizjonera obdarzonego niepodrabialną wyobraźnią. Wybujała forma ma służyć życiu, miłości, wolności. Wtedy przywraca wiarę w magię kina.

© KAROLINA BRODA

Autorka (ur. 2002) jest redaktorką i promotorką miesięcznika „Znak”. Publikowała m.in. w tym miesięczniku, w „Czasie Kultury” i Culture.pl. Tekst jest jej debiutem na tych łamach.

▪ **Charles Burns, EL BORBAH**, przeł. Wojciech Góralczyk, Kultura Gniewnu. Od 7 marca.

EL BORBAH TO CHANDLEROWSKI detektyw do kwadratu – pije na umór, pali jak smok, zawsze mówi o jedno słowo za dużo, a gdy zabraknie mu argumentów, perswadowuje pięścią. Ima się spraw beznadziejnych, jednak w przeciwieństwie do Philipa Marlowe’a nie posiada kręgosłupa moralnego, powoduje nim wyłącznie szmal. W jego garderobie nie ma prochowca i kapelusza, są za to trykot i maska luchadora. Charles Burns, amerykański twórca komiksów (współpracował m.in. z „Rolling Stone” i „New Yorkerem”) w albumie „El Borbah” łączy zamiłowanie do filmów *noir* z fascynacją *lucha libre* (meksykańską odmianą wrestlingu) i kinem klasy B. Wychowanek legendarnego magazynu „Raw” korzysta



tu z gatunkowych prefabrykatów, aby za ich pomocą dać wyraz swojej zwichrowanej wyobraźni. Wykreowany przezeń świat zamieszkuje zdeformowani dziwacy rodem z horrorów Clive’a Barkera. Z kolei dotyczące ich śledztwa sytuują się gdzieś na przecięciu lynchowskiej gro-

teski, czarnego kryminału i filmów o El Santo. Ambicją Burnsa nie jest jednak stworzenie pastiszu. Zamiast kroczyć ścieżką hołdowania poprzednikom, wytycza swój własny, autorski szlak. Czytelnicy, którzy pójdą jego śladami, natrafią na rozbrajające, pieprzne żarty, eksplikację ludzkich przywar i pochwałę osobliwości. A to wszystko zilustrowane klarowną kreską, łączącą wpływy pop-artu i retrofuturyzmu, skąpaną w emblematycznej dla *noir* czerni.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

▪ **Dawid Tyszkowski, MAM SZCZĘŚCIE**, FONOBO Label. Od 28 lutego.

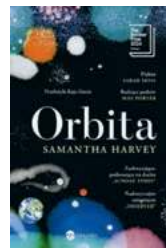
TO JUŻ DRUGA PŁYTA MŁODEGO, dwudziestodwuletniego kompozytora i autora piosenek. Debiutancki album „Mój kot zaginał i już raczej nie wróci” (2023) przyniósł Dawidowi Tyszkowskiemu nominację do Fryderyków i Odkryć Empiku. „Mam szczęście” to pamiętnik okresu dojrzewania młodego mężczyzny. Przemianom, które obserwujemy razem z artystą, ulega tu nie tylko ciało, osiągające nagle rozmiary i ciężar wieloryba nieprzystającego – na swoje nieszczęście – marzyć o lataniu. Reorientacji ulega także cała sfera emocji. To dlatego na płycie pojawiają się zarówno piosenki



będące dialogiem dorosłego już dziecka z jego rodzicami („Mam szczęście”), ale też utwory opisujące smutek, wstyd czy zwątpienie, które szukają odpowiednich słów i środków wyrazu. Intym-

nym, bardzo dobrym tekstom (mamy ostatnio szczęście do młodych tekściarzy) towarzyszą świetne kompozycje Tyszkowskiego, Kamila Patera i Jakuba Staruszkiewicza, dające emocjonalnej gorączce upragniony spokój i harmonię. Wiele piosenek brzmi skądinąd tak, jakby miało ilustrować nowoczesny musical („Nie ma takiej miłości”, „Wszystko tu szepcze”), co sprawia, że są świetną ścieżką dźwiękową codzienności. Nie tylko dla dwudziestolatków.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA



▪ **Samantha Harvey, ORBITA**, przeł. Kaja Gucio, Wielka Litera. Od 12 marca.

OLGA TOKARCZUK zdefiniowała niegdyś nagrodzonych Bookerem „Biegunów” jako powieść konstelacyjną. Termin

stanowił próbę uchwycenia nowoczesnej prozy sylwicznej, odbiegającej od klasycznej narracji powieściowej, w której akcja rozwija się linearnie, przygoda za przygodą. „Bieguni” są rodzajem dziennika przepłatane esejem i opowiadają o złożoności świata oglądanego w bezustannej podróży. Zeszłoroczna laureatka Nagrody Bookera, angielska pisarka Samantha Harvey, bez wątpliwa tradycję powieści konstelacyjnej kontynuuje. Nie tylko dlatego, że akcja jej najnowszej książki rozgrywa się na okołozemskiej orbicie, w krążącej wokół Ziemi „puszce”. Mimo usytuowania w przestrzeni statku kosmicznego, nie jest to *science fiction*, do jakiego przywykliśmy, lecz rodzaj prozatorskiej konstelacji, w której znajdziemy rozważania nad istotą ciszy, czasu czy cielesności (w próżni i stanie nieważkości odczuwanych inaczej). Sześcioro astronautów opisanych przez Harvey – trochę jak podróżnicy słynnego komiksowego Snowpiercera, pociągu nieustannie okrążającego zamrożoną ziemię – robi po godzinach pracy listy rzeczy krzepiących, na których istotne miejsce zajmują drzewa oraz – uwaga – sprawy pozabawione głębszego znaczenia. „Wiecie, czego najbardziej nie mogę się doczekać po powrocie?” – pyta Włoch Pietro. „Rzeczy, których nie potrzebuję”. Niebiańska próżnia zbyt mocno domaga się logiki.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

FOT. MICHAŁ LICHTAŃSKI // GRAŻYNA MAKARA // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nowy cykl Podkastu Tygodnika Powszechnego:

CIEKAWIE, CO CZYTA

Nasi idole i ulubieńcy. Aktorki i aktorzy, muzycy, sportowcy, piosenkarki i piosenkarze. Jakie książki czytają przed snem, co ostatnio ściągnęli na swój czytnik, który tytuł ich zachwycił?

Posłuchaj rozmowy Moniki Ochędowskiej z **MATTEO BRUNETTI**

Nagie kino

ANITA PIOTROWSKA

Szorstkie, prawie ogołoczone z konwencji i metafor kino, chwilami do bólu naoczne i dosłowne, może być jednocześnie zabawne. Nawet jeśli nie wszystkim odpowiada humor rozpaczą podszyty.



NIGDY CIĘ NIE LUBIŁAM” – TO CHYBA najgorsze słowa, jakie może usłyszeć dorosły syn od matki. Zwłaszcza że w tym momencie obwieszcza mu ona, że choruje na raka, lecz przecież ważniejsze są sprawy praktyczne, związane z pogrzebem czy dziedziczeniem. To bez wątplenia najmocniejsza ze scen „Symfonii o umieraniu”, trwająca kilkanaście długich minut, aczkolwiek porównanie jej do znanego dowcipu rysunkowego Marka Raczkowskiego wcale nie byłoby nadużyciem.

W filmie Matthiasa Glasnera nagie okrucieństwo podane jest często w taki sposób, że zamienia się w absurd. I choć jesteśmy w świecie, gdzie wszystko: rodzina, sztuka, praca bywają źródłem cierpień i „nawet sens nie ma sensu”, ten film w mało spodziewanych momentach przynosi wyzwolenie od bezsensu.

Rzeczywiście, trudno polubić Toma. Nie tylko dlatego, że gra go Lars Eidinger, jeden z czołowych dziś aktorów niemieckich, wspaniale odgrywający śliskie, nieodgadnione do końca postaci. Tym razem jego bohater zajmuje się dyrygenturą w młodej międzynarodowej orkiestrze berlińskiej i wydaje się zbyt pochłonięty

pracą, by przejmować się telefonami od matki (Corinna Harfouch), która alarmuje, że choremu na demencję ojcu właśnie się pogorszyło.

W pierwszej z pięciu części filmu oglądamy tę samą sytuację widzianą z punktu widzenia matki, coraz bardziej zniedołężniałej, zdanej na sąsiedzką pomoc i opiekę społeczną. Lecz Glasner komplikuje ten obraz rodzinnej znieczulicy uprawianej przez młodsze pokolenia, bo w tym samym czasie Tom potrafi rzucić wszystko i asystować przy porodzie swojej dziewczyny sprzed lat. Czyżby chodziło o działanie zastępcze lub ucieczkowe? I że niby zawsze lepiej być bliżej życia niż umierania? Gdyby film dawał gotowe i banalne odpowiedzi, nie byłby wart poświęcenia mu aż trzech godzin.

„Symfonia o umieraniu” to jedna z tych opowieści, która na każdym kroku bliska jest spektakularnej wywrotki. Operuje wszak ciężką materią (choroba, starość, samotność, depresja, śmierć), a muzyczny koncept (przygotowania do prapremiery tytułowej symfonii) nadają mu ryzykownie bombastyczną oprawę. Zwłaszcza że Bernard (zasłużenie nagradzany Robert Gwisdek), czyli neurotyczny kompozytor utworu, znajduje się na skraju załamania, przy okazji zdręczając innych swoim artystycznym niespełnieniem.

Takich zapalnych punktów jest w filmie dużo więcej. Na przykład istną bombą z opóźnionym zapłonem wydaje się młodsza siostra Toma, Ellen (Lilith Stangenberg), pogubiona alkoholiczka z zaprzepaszczonym talentem wokalnym, pracująca jako asystentka w gabine-

cie stomatologii holistycznej. Trudno jednak się nie roześmiać, kiedy dziewczyna i jej kochanek, żonaty lekarz, omawiają nad znieczulonym pacjentem swoje bardzo intymne sprawy.

Glasner i jego aktorzy mistrzowsko ustawiają sceny skrajnie niewygodne, wręcz zawstydzające, zawieszane na krawędzi jakiejś wizerunkowej katastrofy. Jednocześnie owa „cienka linia”, o której rozprawiają muzycy, a która ma oddzielać coś głęboko dotykającego od kiczu udającego dotkliwość, nigdy nie zostaje tu przekroczone, nawet w najbardziej brawurowych momentach.

Oglądając „Symfonię”, można mieć skojarzenia z kinem Ingmara Bergmana – tak ostentacyjnie bywa nagie, zarówno w sferze psychologii, jak i fizjologii. Nie przypadkiem podczas samotnej wigilii jeden z bohaterów odpala sobie film „Fanny i Aleksander”, dość specyficzny w kategorii świątecznych otulaczy, tak jak specyficzna bywa „familijność” tej historii. Bo Glasner pracuje na otwartych ranach, krążąc wokół toksycznych rodzin, oziębłych związków, brutalnych gestów, ale stara się nie dopuścić do całkowitego zakażenia. Uruchamia w swoich bohaterach nietypowe mechanizmy autoimmunologiczne, w miejsce poluzowanych więzi znajduje bardzo nieoczywiste połączenia, zaś najokrutniejsze, trudne do wytrzymania konfrontacje okazują się w jego filmie niezbędne.

Głównym osiągnięciem niemieckiego reżysera jest to, że szorstkie, prawie ogołoczone z konwencji i metafor kino, chwilami do bólu naoczne i dosłowne, może

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6
FM Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



PETER HARTWIG / MATERIAŁY PRASOWE AURORA FILMS

**SYMFONIA
O UMIERANIU**

(„Sterben”)
– reż. Matthias Glasner.
Prod. Niemcy 2024.
Dystryb. Aurora Films.
W kinach od 21 marca.

Matthias Glasner to niemiecki reżyser i scenarzysta znany z filmów „Wolna wola” (2006), „Litość” (2012) czy „Droga do odkupienia” (2017). Pracował także w hamburskiej Operze Narodowej jako twórca projekcji filmowych.

W 2024 r. jego „Symfonia o umieraniu” triumfowała na rozdaniu Niemieckich Nagród Filmowych, a na Berlinale otrzymała Srebrnego Niedźwiedzia za scenariusz.

Na zdjęciu: Lilith Stangenberg jako Ellen Lunies i Ronald Zehrfeld jako Sebastian Vogel w filmie „Symfonia o umieraniu”

być jednocześnie zabawne – nawet jeśli nie wszystkim odpowiadał będzie humor rozpaczą podszyty. Zwłaszcza że tak zwane sytuacje życiowe zostają tu doprowadzone do ekstremum i czasem wymagają zachowania niezgodnego z powszechnie przyjętą normą. Dziwny prolog, w którym nagrana smartfonem dziewczynka wygłasza mądrości o podążaniu za swoim sercem, z czasem wypełnia się własną treścią. Oglądamy ludzi tak zasupłanych w swoich krzywdach i zranieniach, tak zaplątanych w innych ludzi, że działają czasem wbrew sobie samym. Paradoksalnie, w chwilach największego kryzysu, te same osoby stać na rodzaj empatii, do której raczej nie byłiby zdolni ci życiowo uporządkowani, pochodzący ze zdrowych rodzin i skupieni na trosce o swoje stadło.

Na szczęście, jako studium rodziny ponowoczesnej film nie pracuje w trybie domyślnym i z czasem rozmontowuje jej ustawienia systemowe. Wnika głęboko pod warstwę cywilizacyjnych diagnoz i nie szuka pocieszenia na siłę. Pomijając muzyczną strukturę „Symfonii”, jest w niej jeszcze nieilustracyjna muzyka Lorenza Dangelę, piszącego od lat dla kina, teatru czy baletu. Gdy podczas próby orkiestry niezadowolony z efektów kompozytor pyta muzyków, co właściwie sądzą o jego eksperymentalnym utworze pod tytułem „Umieranie”, ci narzekają, że za długi, że potrafi zanużyć na śmierć, że brak mu sensu i nadziei. Jest w tym oczywiście autoironia i zarazem ukryta deklaracja, jakim filmem „Symfonia o umieraniu” być nie chce. I w dużej mierze jej się to udaje.

Wybrzmiewa w symfonicznym finale wszystko, co chciałoby się głośno powiedzieć, nie popadając w sentymentalizm ani cynizm. Na przykład, skąd się bierze obojętność Toma, dlaczego związek jego schorowanych rodziców wygląda w schyłkowej fazie tak, a nie inaczej, albo czemu rockandrollowa Ellen, ponoć ulubienica matki, pakuje się w sytuacje autodestrukcyjne. A trzymając się jej wyuczonej profesji i medycznych porównań: ten długi film o niemiłości i zamrożonej komunikacji jest niczym wyrywanie zęba „na żywca” – bolesne, mało estetyczne, choć przecież oczyszczające. Podobnie jak ta straszna rozmowa matki i syna, po której można już tylko umrzeć, albo otworzyć się wreszcie na prawdziwą pomoc. ©

Lektor:

Każdej nocy Krúdy



■ Gyula Krúdy
**WSZYSTKIE KOBIETY SINDBADA.
OPOWIADANIA WYBRANE**
Wybór i przekład Elżbieta Cygielska i Anna Górecka. Poślowie Elżbieta Cygielska.
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2025, ss. 368

LEGENDA LITERATURY WĘGIERSKIEJ, PISARZ NIEZWYKLE oryginalny, którego stopniowo dopiero poznajemy – później niż tych, co się do jego dziedzictwa przyznawali, jak Sándor Márai i noblista Imre Krúdyego. Po wyborze opowiadań i felietonów „Miasto uspijonych kobiet” otrzymaliśmy kolejny tom opowiadań (niektóre się powtarzają), których bohaterem jest Sindbad – kluczowa postać świata wykreowanego przez Gyulę Krúdyego (1878-1933).

Kim jest Sindbad? Nie manipulatorem Don Juanem, choć kochanek to nienasycony, a jego podziw dla kobiet ma rys nieco wampiryczny. Postacią mityczną, która swobodnie przemieszcza się pomiędzy życiem a śmiercią, zarazem jednak bytem realnym, osadzonym w świecie schyłkowej bądź już upadłej c-k Monarchii (znajdzie się tu także małe polskie uzdrowisko).

„Nie wiadomo, ile lat ma bohater – pisze Elżbieta Cygielska – w gruncie rzeczy cały czas jest mężczyzną w smudze cienia, zagrożonym zawałem lub innym rodzajem przedwczesnej śmierci (...) Ale śmierć Sindbadowi niestraszna. Z woli autora nonszalancko przekracza on tę granicę i dalej wędzie awanturniczy żywot; raz jest młodzieńcem zaledwie stutrzyletnim, to znów ubiera się starannie, jak na dżentelmena trzystuletniego przystało...”. I nieustannie żegluję „po rozległej, zrodzonej ze wspomnień, snu i zmyślenia czasoprzestrzeni”, której małomiasteczkowe, prowincjonalne realia każą myśleć o Schulzu.

„Opowiadania Krúdyego z przełomu wieków. Mając osiemnaście lat, pisał już z całkowitą samoświadomością i pewnością, przeraźliwą ostrością widzenia i wielką umiejętnością wyrażania. (...) Miał w sobie tajemniczą siłę” – notował Márai w sierpniu 1977 roku (tłum. Teresa Worowska). Najpiękniejszy hołd złożył mu wcześniej: to powieść „Sindbad wraca do domu”, w której wizja ostatniego dnia życia Krúdyego stanowi zarazem wrażliwy pastisz jego stylu, jakby Márai postanowił dopełnić jego dzieło epilogiem.

W dzienniku Máraiego nazwisko Krúdyego przewija się nieustannie. A ostatnie zapisy dokonane przez blisko 90-letniego autora budzą prawdziwy dreszcz. Po długiej chorobie odeszła jego ukochana żona, nie żyje też nikt z rodzeństwa, niespodziewanie umarł przybrany syn. Została samotność, czekanie na właściwą chwilę dla drobiazgowo zaplanowanego samobójstwa, ostatnie lektury. A właściwie jedna: „Każdej nocy Krúdy”... ©©

PAWEŁ

Bravo

Polskie Toskanie

PANI SIEDZĄCA WTEDY PRZY TYM SAMYM, CO JA, WYSOKIM stole przy oknie, musiała być skonsternowana. Gdyby ją spytać, co zapamiętała z tamtego popołudnia, odpowiedziałaby, że dziwny facet w wieku przedemerytalnym koło niej mrucał. Mieszał łyżką w zupie i mrucał jak jakiś przedszkolny misio, chociaż porządny lokal, w którym zaszła ta okoliczność, nie pozycjonuje się jako typowa rodzinna jadalnia z bacherami gotowymi każdego wysmarować sosem.

Mruczałem, bo brzusek był kontent, tylko w duszy coś mi nie grało. Ale idźmy po kolei. Przedarłem się z bielańskich ostępów na jakże stołeczny Mokotów, bom wyczytał, iż w cennym przeze mnie przybytku na obiad jest *ribollita*. Czyli najbardziej z możliwych toskańska zupa. Zupiszczę wręcz, wygląd i skład tego dania od razu zdradza pochodzenie ludowe, ze świata, gdzie nikt nie popija klarowanego bulionu z kokilek. Jak to bywa z potrawami ludowymi, z pokolenia na pokolenie babcynimi (A gdzie mama? Czemu mama w tych łańcuchach dziedziczenia smaków wypada z rachuby?) – zupiszczę ma wiele wariantów, ale wykreślonych na dwóch stałych osiach współrzędnych.

Na osi Y mamy więc obowiązkowy zestaw jarmuż-burak liściowy-fasola. Do tego w domyśle aksjomat każdego włoskiego dania, czyli trójmian cebula-marchew-seler naciowy (macie to równanie zapisane na końcu zeszytu razem z wzorem na składanie naleśnika oraz kuchenną liczbą pi, czyli temperaturą koagulacji żółtka). Plus różne warzywa, z przypraw przeważnie tymianek. Jarmuż powinien być ten tzw. toskański, o grubych wrzecionowatych liściach, ostrzejszy w smaku od naszego strzępiastego, ale w marcu nikt nie będzie się rozdrabniał na takie szczegóły.

Na osi X odkłada się zwykle wektor czasu, a ten jest dla *ribollity* absolutnie kluczowy, bowiem żadna toskańska babcia nie podałyby wnuczkom zupy zaraz po ugotowaniu. Musi ostygnąć, przegrzyć się, a następnie zostać ponownie zagotowana (stąd przedrostek *ri-* w nazwie) z porządną ilością suchego chleba, który nada potrawie zawiesi-



ADOBE STOCK

ność. Snob powiedziałaby „teksturę”, ale zabijmy go śmiechem, bo gdzie i jaka tekstura w takiej brei.

Chleb tradycyjnie niesolony, ale takiego nikt poza Toskańczykami (i szerzej, ludźmi ze środkowej części buta) nie piecze. Z solą czy bez, chleb należy do kanonu *ribollity*. Kiedy jadłem stołeczną wersję, okazało się jednak, że za wkładkę skrobiową robiły w mojej misce drobne kluseczki. Syty, lecz z lekka zaskoczony, zamieniłem przy wyjściu kilka słów z szefem. I nie mogłem nie przyjąć jego argumentu. Kluseczki zamiast chleba to konieczny kompromis z polskim smakiem. Dla Toskańczyka półpłynna konsystencja, jaką dają rozmiękłe kawałki pieczywa, to struktura nośna wielu odwiecznych dań – z flakami i pomidorową *pappa* na czele. Tak się zawsze jadło (patrz: babcia). Dla Polaka to jednak pomyłka, jeśli wręcz nie powód, by odstawić ze wstrętem łyżkę, jak u tego chłopa ze sztuki Mrożka, któremu zaskroniec wpadł do barszczu. Nie ma co ludzi zmuszać do zbyt głębokiego zanurzenia w cudzy obyczaj, bo się uduszą i uciekną z krzykiem na bezpieczny, rodzimy brzeg. Nic w tym złego, że hołubimy jakiś ideał, ale nie jesteśmy gotowi wyrzec się swoich granic w konfrontacji z rzeczywistością, jaka gdzieś tam pod spodem się kryje.

Z racji piękna krajobrazu i ludzkich siedzib, historycznych śladów oraz bogactwa kultury materialnej (co się przekłada na obfitość jadła i napitku), Toskania stała się ziemską lokalizacją reklamowego rajku. Taka kukła, na którą można naciągnąć dowolny kaftan. Uczestniczę na Facebooku w grupie, której uczestnicy wrzucają wszystkie napotkane w mediach „polskie



GRAZYNA MAKARA



Toskanie” i inne warianty tego chwytu. Nawet nie macie pojęcia, ile ich tutaj mamy! Można w każdy weekend lata zwiedzić jedną, a i tak się nie wyczerpie listy. Wystarczy sielski pagórek, najlepiej z winnicą, cyprysów u nas brak, ale przecież mamy gęste szpalery tui. Nic w tym dziwnego, umysł normalnie przecież pracuje przez różne asocjacje, żeby wzbudzić pożądane odruchy. Koledzy z grupy zaczęli łowić szerzej, mamy więc polskie Paryże, Jerozolimy i Padwy północy, Szwajcaria też się znajdzie (oprócz tej prawidłowej, kaszubskiej). Czasem tylko ktoś wjedzie z impetem w groteskę, reklamując wakacje na „albańskich Małediwach”.

Jest więc dużo śmiechu, ale podszytego smutkiem. Najlepiej warunkuje się nas, grając na kompleksach. Niektóre z tzw. polskich Toskanii to urokliwe miejsca, cudne pagórki i zgrabne miasteczka, pełne własnego, a nie pożyczonego życia. To krzywdą kazać im stawać w jednym szeregu z widokami spod Sieny i załkami Cortony. Zwłaszcza że tam bywa, jak w tych dniach, mokro, zimno, a ulice niektórych miast w dolinach zalewa po kolana błoto. Na obiad zaś podają papki, jakby zębów nie mieli.

Przesadzam w drugą stronę? Oczywiście. Sam bym się tam wybrał, gdy tylko posprzątają po powodzi. Wynająłbym sobie w internetowym serwisie apartament w Palazzo Capponi alle Rovinate, rzut beretem od Ponte Vecchio, Uficcjów i innych równie starych wspaniałości. Należy do tego samego rodzaju, któremu Polska zawdzięcza Tessę, naszą pierwszą nowoczesną nauczycielkę dobrego jedzenia i życia na sposób mniej więcej florencki. To ona jest dla mnie najprawdziwszą polską Toskanią.

TOSKANIA

Z racji piękna krajobrazu i ludzkich siedzib, historycznych śladów oraz bogactwa kultury materialnej (co się przekłada na obfitość jadła i napitku), Toskania stała się ziemską lokalizacją reklamowego raj.

ADOBE STOCK

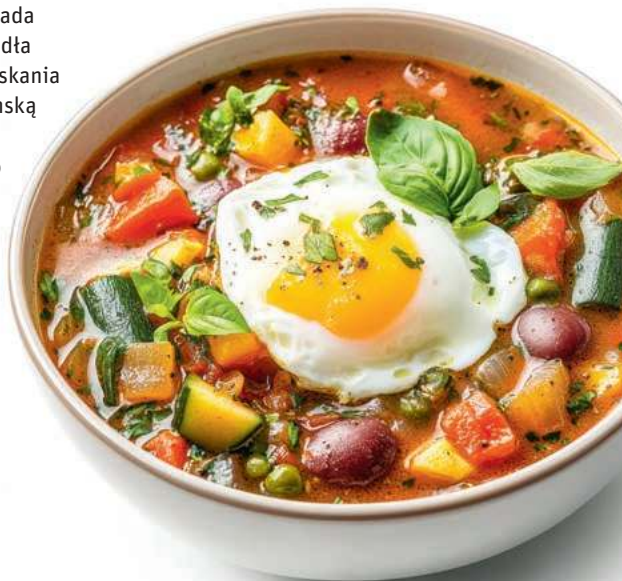


Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023). W „Tygodniku” od 2011 r.

Acquacotta

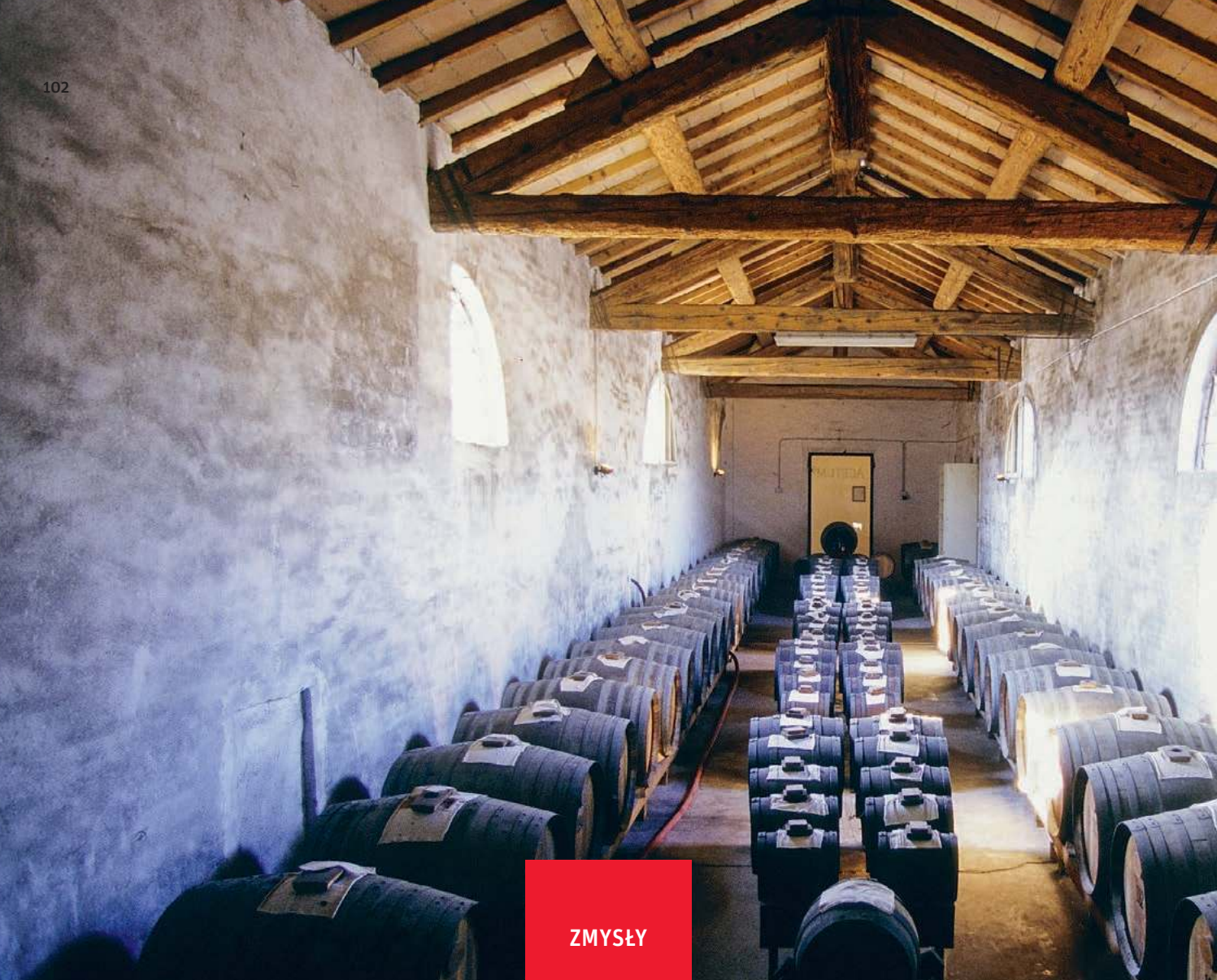
Toskański klasyk, choć mniej popularny od ribollity. Znaczący dosłownie „gotowana woda” i podobnie jak różne nasze „wodzianki”, stanowi typowy repertuar bardzo biednej, wręcz głodowej kuchni. No cóż, w Toskanii głód smakował inaczej...



SKŁADNIKI:

- 2** duże czerwone cebule
- 3** łodygi selera naciowego **4** jajka
- 0,7 l** wody lub bulionu warzywnego
- puszka pomidorów ▪ czerstwy pszenny chleb typu włoskiego (np. ciabatta) ▪ sól ▪ pieprz
- liście bazylii

Kroimy na plasterki cebulę i selera (oraz, jeśli mamy pod ręką, np. parę łodyg buraka liściowego, można też dodać jedną marchew). W dużym garnku dusimy je na wolnym ogniu kilka minut, podlewając paroma łyżkami wody, aż trochę zmiękną. Dodajemy pomidory, delikatnie je rozgniatamy, solimy, zalewamy wszystko 0,75 l wody (lub bulionu warzywnego), przykrywamy, gotujemy ok. pół godziny. Doprawiamy pieprzem i bazylią, wbijamy wprost do zupy jajka, tak żeby się ze sobą nie stykały, przykrywamy i dalej podgrzewamy kilka minut, aż się białko lekko zetnie. Na dno głębokich talerzy lub misek dajemy grubą pajdę czerstwego chleba, który wcześniej zrumieniliśmy w piecu, zalewamy zupą, w wersji „na bogato” możemy posypać tartym serem pecorino. Zapewne rzuci wam się w oczy podobieństwo do szakszuki – chwyt z gotowaniem jajek w potrawie jest powszechny w całym basenie Morza Śródziemnego. ©&®



ZMYSŁY

BALSAM NA KWAŚNO

Tradycją w Modenie jest tworzenie octu, gdy w rodzinie urodzi się dziecko. Wtedy jedną z baterii pochodzących z roku urodzenia opatruje się imieniem potomkini lub potomka.

BARTEK KIEŻUN

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ LAT UPŁYNEŁO OD PREMIERY SERIALU „Rodzina Soprano” – usłyszałem w radio. Najpierw poczułem się stary, a potem przypominałem sobie jednego z moich ulubionych bohaterów i jego tyradę dotycząca aceto balsamico.

Corrado Soprano na pytanie o ocet balsamiczny zaczął krzyknąć, że kiedyś nie było balsamico i wszystkim jedzenie smakowało, a dziś nie ma talerza, którym nie byłby polany.

„Bzdura, nowinka, moda, w dodatku niesmaczna, kiedy byłem mały, nie było balsamico” – zakończył.

Nie da się ukryć, dobrze go rozumiałem. Aceto balsamico pojawił się w Polsce mniej więcej w tym samym czasie, co rodzina Soprano, a jego ilość na talerzu świadczyła o tym, że mamy do czynienia z kuchnią wysoką. W restauracjach stały butelki z tym delikatnym octem, a jeśli nie, to pewne było, że kucharze namalują jego zagęszczoną wersją wzory na talerzach,



MATT ALEXANDER / EAST NEWS

Fermentacja aceto balsamico w beczkach

naśladować Jacksona Pollocka. Owa zagęszczona wersja była nazywana redukcją, choć nie miała nic wspólnego z tym pojęciem.

Z Modeny w świat

Wrzaski mafiosa były pozbawione sensu. Być może w USA aceto balsamico był nowością, ale w Italii ten ocet znano przecież od wieków.

Emilia-Romania to dla smakoszy prawdziwe Eldorado. Jej stolica, Bolonia, słynie z polanych szałowim masłem tortellini i wybornej mortadeli. Parma szczyci się parmigiano, czym do szału doprowadza leżące nieopodal Reggio, które przegrało bój o to, kto pierwszy produkował ten wspaniały ser. Lambrusco po latach fatalnej opinii zaczęli doceniać sommelierzy, znalazło więc swoje miejsce w enotekach i na restauracyjnych stołach. A Modena? To piękne miasto swój największy kulinarny skarb skrywa na strychach. Tam właśnie dojrzewa aceto balsamico. Przynajmniej ten prawdziwy.

Ten tańszy i znany z supermarketowych półek, mimo że oznaczony unijnym certyfikatem i opisany jako Aceto Balsamico di Modena IGP, jest efektem szybkiej i przemysłowej produkcji. Kiedy w Modenie spotkałem się z Lorenzem Righim,

rzemieślnikiem produkującym ocet balsamiczny, usłyszałem, że przemysłowy ocet jest po prostu niesmaczny. „Jak to? – pomyślałem – czyżby Lorenzo był krewnym Corrada?” Słuchałem jednak uważnie.

– Podczas produkcji octu dozwolone jest mnóstwo rzeczy, prawie wszystko – powiedział Lorenzo – a wymyślne kształty butelek oraz kolorowe etykiety z herbami i niska cena odwracają uwagę od rzeczy zasadniczej, czyli niskiej jakości.

A potem skupił się na historii. Świat oszalał na punkcie wyjątkowego produktu z Modeny dopiero w latach 80. XX wieku, choć pierwsza wzmianka o nim znajduje się w anonimowym poemacie sprzed ośmiuset lat. Utwór dotyczył życia tokańskiej władczyni Matyldy, która – jak zaświadcza autor – częstowała pielgrzymów wędrujących do Rzymu octem z Modeny w swojej posiadłości w Canossie.

Na kolejne historyczne świadectwa trzeba było chwilę poczekać. W XIV wieku inwentaryzacja majątku rodziny d'Este rządzącej w Ferrarze i Modenie potwierdziła, że na strychu rodzinnego zamku piętrzyły się beczki pełne cennego balsamu, którego sława przekroczyła już granice Półwyspu Apenińskiego. Markizowie rozsyłali go bowiem do zaprzyjaźnionych rodzin książęcych i królewskich w całej Europie. Przed transportem ocet zamykano w drewnianych skrzynkach opatrzonych pieczęciami, by zmniejszyć ryzyko fałszerstw.

Wielką miłością darzyła aceto balsamico Katarzyna Wielka, co odnotowali carscy skrybowie. W Modenie zaś zapisano, że specjalną dostawę wysłano do Franciszka II, cesarza Austrii, z okazji koronacji. O tym, jak dar spożytkował cesarz, niewiele wiadomo, ale w Petersburgu ocet na pewno był wykorzystywany zgodnie ze sztuką. Wszak panująca ponad trzydzieści lat caryca miała włoskiego kuchmistrza.

Gorące lata, lodowate zimy

– Musisz zapamiętać jedno nazwisko – usłyszałem od Lorenza, gdy wdrapywaliśmy się na strych jego domu. – Nikt nie zrobił tyle dla aceto balsamico, co Francesco Aggazotti. Ten włoski polityk, enolog i prawnik w jednej osobie zabrał się do zagadnienia w sposób naukowy, gdy tylko zrozumiał, że produkcja octu balsamicznego powinna mieć swoje zasady. Opracował je i opisał w liście, który 2 marca 1862 r. otrzymał prawnik Pio Fabriani.

Aggazotti opisał i wyselekcjonował odmiany winogron, których moszcz może być wykorzystywany do wytworzenia najlepszego aceto balsamico. Wybrał dwie białe odmiany gatunku trebbiano: montanaro i di spagna oraz trzy czerwone z gatunku lambrusco: di Sorbara, salamino i gasparossa. Dodał też, że owoce powinny pochodzić z pól w okolicach Modeny, bo tamtejsze gleby charakteryzują się małą zawartością wapnia i zawierają mikroelementy, które wspaniale wpływają na smak końcowego produktu.

Szybko też stało się jasne, że jednym z najbardziej istotnych czynników mających wpływ na wyjątkowość aceto balsamico jest klimat wokół Modeny. Gorące, ale wilgotne lata oraz lodowate, pełne podmuchów wiatru zimy sprawiają, że ocet ma idealne warunki do dojrzewania.

– Dochodzimy do sedna – oznajmił Lorenzo, gdy stanęliśmy w pomieszczeniu pełnym beczek z octem, którego zapach świdrował mi w nosie. Podstawą octu jest winogronowy moszcz, czyli wyciśnięty sok, podgrzewany na minimalnym

→ ogniu tak, by nie dopuścić do karmelizacji cukru. Po wystudzeniu należy poddać go fermentacji w drewnianych beczkach wysterylizowanych wcześniej gorącym octem. Koniecznością jest starzenie octu w tak zwanej „baterii”.

– Spójrz tu – Lorenzo machnął ręką wskazując drewniane baryłki po mojej prawej stronie. Bateria to minimum pięć drewnianych beczek w różnych rozmiarach, wykonanych z różnych gatunków drewna. W trzech czwartych wypełnia się je winnym moszczem i co najważniejsze, nie zamyka się ich szczelnie. Chodzi o to, by zapewnić dostęp tlenu. Dlatego każdego dnia octu jest coraz mniej i mniej.

I choć dzienny ubytek jest niezauważalny, to w skali roku mogą to być dwa, a nawet trzy litry, w zależności od różnicy temperatur.

Beczki ustawione w kolejności od największej do najmniejszej trzeba w trakcie leżakowania uzupełniać. Tę najmniejszą dopełnia się z większej beczki obok, i tak po kolei do największej, której zawartość uzupełnia się moszczem. Taki proces w zależności od producenta może trwać 12, 25 lub nawet 50 lat. I powinien odbywać się na terenie prowincji Modena. Wilgotne, gorące lata powodują przyspieszenie, a chłodne zimy zwalniają procesy fermentacyjnych.

Zimą, gdy bakterie odpowiedzialne za fermentację obumierają i osadzają się na dnie beczki, aceto balsamico podlega naturalnemu klarowaniu. Same beczki muszą zaś co dwa lata przejść proces oczyszczania z osadu, który wpływałby na smak octu. Również gatunki drewna, z którego zrobione są beczki, mają olbrzymi wpływ na to, jak ocet będzie smakował. Inne aromaty daje drewno orzechowe, inne kasztanowe.

– Chodź, zrobimy sobie małą degustację – usłyszałem. Lorenzo chwycił wielką szklaną pipetę i zanurzył ją w beczce. Potem przelał zawartość na łyżkę i rzeczywiście okazało się, że ocet z każdej beczki miał zupełnie inny smak.

Jak Ferrari

Na fali rosnącej popularności octu z Modeny powołano do życia specjalne konsorcjum. W 1993 r. opracowano szczegółowe zasady, których muszą trzymać się producenci Aceto Balsamico di Modena IGP.

Ogromne zapotrzebowanie na rynku i jednocześnie wymagania dotyczące niskiej ceny spowodowało, że zasady dotyczące Aceto Balsamico di Modena IGP zostały poluzowane. Ustalono, że wystarczy, gdy jeden z etapów powstawania produktu odbywa się na obszarze, do którego odnosi się jego nazwa. W praktyce oznacza to, że wystarczy, by siedziba firmy znajdowała się na terenie prowincji Modena i już ma prawo produkować aceto balsamico di Modena.

Miejsce pochodzenia owoców miało dla twórców regulaminu zdecydowanie mniejsze znaczenie. Dopuszczono także używanie do produkcji 50 proc. octu winnego zamiast soku winogronowego, bo to przyspieszyło całość procesu i dlatego dziś, by wyprodukować ocet z oznaczeniem IGP, wystarczy zaledwie 60 dni. A produkcja jest coraz większa i sięga już 98 milionów hektolitrow w roku. Co najgorsze jednak, do produkcji można

Jak wiele genialnych wynalazków ludzkości, pojawił się w kilku miejscach naraz. W starożytnym Egipcie, Grecji i w Rzymie, ale także w Japonii i Chinach.

Najstarsze wzmianki pochodzą z Babilonii i mają siedem tysięcy lat.

wykorzystywać dodatki smakowe i zagęszczające, takie jak karmel, guma arabska czy barwniki.

– Wyobrażasz sobie? – Lorenzo zawiesił głos. Na szczęście okazało się, że powołano też konsorcjum nadzorujące produkcję Aceto Balsamico di Modena Tradizionale DOP. To oznaczenie gwarantuje, że produkt jest zgodny z zasadami ustalonymi przez stulecia i wszystkie fazy produkcji odbywają się na terenie pochodzenia produktu. Oznacza, że ocet jest produkowany w 100 proc. z winogronowego moszczu pochodzącego z upraw zlokalizowanych w prowincji Modena, a proces jego starzenia trwa minimum 12 lat.

Następnie ciemny i gęsty ocet przelewany jest do butelek stworzonych przez włoskiego projektanta Giorgetta Giugiara, który wcześniej projektował dla firmy Ferrari.

Jakby tego było mało, octu z Modeny nie wolno butelkować producentom samodzielnie. Za ten proces odpowiada Consorzio. Powód jest prosty. Zupełnie jak w czasach księstwa Este, ze względu na wysoką cenę produktu mogłoby dochodzić do fałszerstw. Dlatego produkcję kończy banderolowanie będące znakiem jakości.

Dobry ocet balsamiczny nie może być tani, a wpływ na jakość i cenę ma wiele czynników. Prawdziwe aceto musi mieć kontakt z drewnem beczki, a nie ze stalowym tankiem. Ważne są też różnice temperatur. To z ich powodu w przeszłości octowne umieszczano na strychach domów. Dziś są to raczej pomieszczenia, w których o temperaturze decydują programy komputerowe.

Niektóre z beczkowych baterii mają imiona, bo tradycją w Modenie jest tworzenie octu, gdy w rodzinie urodzi się dziecko. Wtedy jedną z baterii z roku urodzenia opatruje się imieniem potomkini lub potomka.

Legends o occie

Dzięki wiedzy Lorenza miałem dobry obraz sytuacji. Niemalże pełen. Coś jednak nie dawało mi spokoju. Ocet balsamiczny produkuje się od średniowiecza, ale nie jest to przecież pierwszy ocet, jakiego spróbowali ludzie. O kwaśnym octowym smaku wspomina się od starożytności.

Zapewne, jak wiele genialnych wynalazków ludzkości, pojawił się w kilku miejscach naraz i to niezależnie od siebie. Znany był niemalże jednocześnie w starożytnym Egipcie, Grecji i w Rzymie, ale także w Japonii i Chinach. Najstarsze wzmianki w źródłach pisanych pochodzą z Babilonii i mają siedem tysięcy lat. Tam otrzymywano go z wina daktylowego. Wbrew pozorom nie skrapiano nim sałatek. Ocet daktylowy był popularnym napojem, wykorzystywanym w kosmetyce i jako lekarstwo na dolegliwości żołądkowe.

Raczej pewne jest, że pierwsze octy powstały przypadkiem, być może nawet wbrew woli człowieka. Spontaniczna fermentacja przekształciła cukier w alkohol, a potem na kulinarnej scenie pojawiły się bakterie octowe z rodzaju acetobacter i gluconobacter, które utleniły etanol zamieniając go w kwas octowy. Co najważniejsze, produktem wyjściowym mogłoby być wiele



Medyk odwiedzający ofiarę zarazy trzyma przyłożoną do nosa gąbkę nasączoną octem. Drzeworyt, Niemcy, XVI w.

różnych płynów, nie tylko wino daktylowe, ale także – w innych częściach globu – owocowe soki, białe i czerwone wino albo jabłkowe cydry. Istotna była zawartość cukru i kwasu.

Przypisywano mu wiele cech. Stanowił ważny składnik lekarstw, a zawierające ocet mikstury miały wiele zadań. Mogły wybielać cerę i poprawiać samopoczucie. Nierozcieńczony ocet używany był do odkażania ran, a Kleopatra dzięki temu, że jej kucharze używali octu, mogła wygrać zakład, że będzie w stanie zjeść fortunę na obiad. Swoim pracownikom kazała rozpuścić w occie perły, a potem wypić ową perłową lemoniadę, rozstrzygając spór na swoją korzyść.

Bardzo znanym motywem w chińskim malarstwie są trzy postacie próbujące octu, który staje się metaforą życia. Alegoryczna kompozycja przedstawia trzech założycieli głównych tradycji religijnych i filozoficznych Chin. Trzej mężczyźni zanurzają palce w beczce pełnej octu i smakują go. Jeden reaguje kwaśną miną, drugi gorzkim wyrazem twarzy, a trzeci słodko się uśmiecha. Trzej mężczyźni to odpowiednio Konfucjusz, Budda i Lao Tsy. Konfucjanizm widział życie jako kwaśne, potrzebował zasad, aby poprawić ludzką egzystencję; buddyzm widział życie jako gorzkie, zdominowane przez ból i cierpienie; a taoizm ostrzegł je jako zasadniczo dobre w swoim naturalnym stanie.

Uniwersalny lek

Ocet pojawił się także w Biblii. Jeden z żołnierzy podał gąbkę nasączoną octem Jezusowi. Historycy podkreślają jednak, że ocet wymieniony w Nowym Testamencie był raczej napojem, czasem medykamentem popularnym w całym basenie Morza Śródziemnego. Rzymianie nazywali go „acetum” lub „posca”,

a Grecy mówili „oksos”, „fouska” lub „oksykraton”. Produkowano go z octu winnego, który był ubocznym i łatwo dostępnym produktem fermentacji wina. Mieszano go z wodą i doprawiano do smaku. W czasach Chrystusa miał już długą historię, bo pierwsze wzmianki na jego temat pochodzą z IV w. p.n.e.

Plutarch w swoim żywocie Marka Porcjusza Katona Starszego, znanego polityka, czynnego w drugiej połowie III wieku, utrzymuje, że bohater jego opowieści pijał go dla orzeźwienia regularnie, zwłaszcza w czasie wypraw wojennych, w których wiele razy uczestniczył. Rzeczony napitek wspomina również rówieśnik Katona, komediopisarz Plaut. Opisuje on mieszaninę wody i octu winnego jako napój produkowany przez każdą rodzinę na własny użytek w domach, ale dodaje, że można było również kupić go od ulicznych sprzedawców. Kolejne wzmianki można znaleźć u Swetoniusza. Wspomina on, że w Neapolu octową lemoniadą handlował Aulus Witeliusz, który potem, w roku 69 n.e., na krótko został cesarzem.

W medycynie mieszanina octu i wody była wykorzystywana jako środek do leczenia uszkodzeń ciała. Używano jej jako swego rodzaju antyseptyku, którym przemywano chore miejsca przed opatrunkiem. Aecjusz z Amidy przepisywał przyłożenie gąbki nasączonej rzeczoną płynem na ukąszenia psów, a Paweł z Eginny zalecał polewanie nim miejsc zajętych stanem zapalnym lub nawet zaatakowanych przez gangrenę. Zwilżano nim bandaże, również te, które nakładano na rany pooperacyjne. Używano go też przy hamowaniu krwotoków, nasączone zimnym płynem gąbkę przykładano do krwawiącego nosa. Owa mieszanina wody z octem winnym była środkiem wykorzystywanym szczególnie często w armii, gdzie w skrajnych, bojowych warunkach brak było innych medykamentów.

Te zastosowania medyczne mogą pomóc zrozumieć opis z Ewangelii. Chrystus bowiem, odniósłszy rany podczas biczowania i podczas drogi krzyżowej, wymagał interwencji medycznej. Nie dziwi więc stwierdzenie, że pomocy Jezusowi udzielił żołnierz. Wiedział, że woda z octem może zatamować krwawienie i ochłodzić rozpalone gorączką oblicze.

Przez kolejne wieki niewiele się zmieniło. Z odkażających właściwości octu korzystali średniowieczni arystokraci, którzy nie wychodzili na ulicę bez chusteczek bądź gąbeczek nasączonych octem. Trzymane przy nosie pozwalały uniknąć mdłego zapachu rozkładających się śmieci i płynących rynsztokami ścieków. Lekarze zadżumionych, z charakterystycznymi czapkami z wielkimi dziobami, również nie rozstawiali się z octem. Nim i olejkami nasączali pakuły, które wpychali w dziób, by filtrować i odkażać powietrze, którym oddychali.

Na południu Europy, w Wenecji, Dubrowniku czy Barcelonie wykorzystywano w tym celu ocet winny, ale octów jest więcej. W przeszłości powszechne były octy, które za bazę miały miód. Octy azjatyckie powstają z ryżu. W krajach środkowo-wschodniej Azji ocet wciąż wytwarzany jest z daktyli, a w Kanadzie z syropu klonowego. Mieszkańcy Karaibów używają trzciny cukrowej, ale orzechy kokosowe też mogą być bazą do przygotowania octu. Nie wiem, czy należałoby o tym poinformować Corrada Soprana. Pewnie na nic oprócz irytacji nie można by liczyć.

© BARTEK KIEŻUN

Autor jest dziennikarzem i blogerem kulinarnym, specjalistą w dziedzinie kuchni śródziemnomorskiej, o której wydał świetne książki. Z „Tygodnikiem” współpracuje od 2023 r.

TOMASZ

Stawiszyński:

Moment szansy



SZEŚĆ LAT TEMU DJ DANIEL DOSTAŁ STRASZĄCĄ diagnozę. Guz mózgu, rozległy i wyjątkowo złośliwy, maksymalnie pięć miesięcy życia. Dzisiaj – po trzynastu operacjach, z których każda, jak mówi jego ojciec, wiąże się nie tylko z ryzykiem trwałych uszczerbków w ciele, ale i głębokimi zmianami osobowości – ten trzynasto-latek wciąż tu jest. I ma już kilkaset odznak policyjnych z wielu różnych amerykańskich jednostek.

Wstąpić do policji – to było od zawsze jego wielkie marzenie. Niedawno spełniło się kolejne. Sean M. Curran, nowy dyrektor Secret Service, oficjalnie mianował DJ'a agentem tej służby. Nie można sobie wyobrazić bardziej prestiżowego wyróżnienia. Moment, kiedy chłopiec podniósł do góry odznakę i przytulił Currana, był naprawdę wzruszający.

Wtedy DJ znalazł się jednak w samym środku politycznej wojny. Wszystko działo się bowiem 4 marca, podczas pierwszej w tej kadencji przemowy Donalda Trumpa do Kongresu. To Trump postanowił uhonorować DJ'a członkostwem w Secret Service, to on zaprosił go do parlamentu, on także przedstawił go zgromadzonym, streścił jego historię i poprosił Currana o wręczenie odznaki. Republikanie zareagowali owacją na stojąco. Demokraci natomiast siedzieli bez ruchu. Nawet nie wstali, poza jedną bodaj kongresmenką. Nie bili brawa, nie uśmiechali się. Milczeli, kurczowo ściskając w dłoniach tabliczki z napisami „Musk kradnie” i „Ratować Medicaid”.

Podsumujmy. Trzynastoletni chłopiec, od kilku lat borykający się ze śmiertelną chorobą, po trzynastu operacjach, zostaje zaproszony do Kongresu, gdzie otrzymuje odznakę, o której marzy. W tym czasie grono dorosłych ludzi, sprawujących odpowiedzialne stanowiska na najwyższych szczeblach amerykańskiej polityki, demonstracyjnie okazuje mu lekceważenie. Dlaczego? Dlatego, że do Kongresu zaprosił tego chłopca ich polityczny konkurent, przeciwko któremu postanowili w ten sposób zaprotestować. Jak czuł się DJ? Czy rozumiał, że nie chodzi tutaj o niego, lecz o partyjno-polityczną wojnę, której stał się mimowolnym zakładnikiem? Nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale patrzyłem na te sceny z głębokim niesmakiem. Był to popis małości, który – nawiasem mówiąc – obróci się zapewne przeciwko samym Demokratom. Jak można, w imię politycznej zemsty, zachowywać się w ten sposób wobec dziecka?

Pojedyncze wypowiedzi niektórych polityków rzucają światło na ten spektakl. Podkreślają oni na przykład, że choć Trump

zaprosił DJ'a do Kongresu, to jednocześnie obciął fundusze na badania nad rakiem, a ich milczenie było właśnie znakiem oporu przeciwko tej polityce. Oczywiście, jest to jak najbardziej wskazane, żeby z całą mocą krytykować decyzje Trumpa dotyczące służby zdrowia czy nauki (oraz wielu innych spraw). Bez wątplenia dzieją się w tych obszarach rzeczy niepokojące i trzeba przeciwko nim głośno protestować. Tyle że akurat nie w takim momencie. Nie kosztem dziecka, które doświadcza być może jednej z najjaśniejszych, najszcześniejszych chwil w całym swoim trudnym, pełnym cierpienia życiu.

Cóż, w tym publicznym blamażu sporej części amerykańskich kongresmenów – jedną z najbardziej przykrych okoliczności w tej sprawie jest miejsce akcji – odzwierciedla się coś wysoce symptomatycznego. Charakterystycznego dla zjawiska politycznej polaryzacji osiagającej rozmiary wręcz gargantuiczne. Jakiś bez mała trans, zakrzywienie poznawcze, obejmujące dużą grupę ludzi, którzy – m.in. właśnie przez to, że są w grupie – zaczynają się zachowywać w sposób całkiem irracjonalny. Że polaryzacja wyłącza empatię, wyobraźnię i współczucie, to widać na co dzień także w Polsce, gdzie występuje ona w rekordowym stężeniu. Histeria, myślenie spiskowe, obelgi, chamskie, brutalne inwektywy miotane w oponentów przez ludzi mających się za kulturalnych. To wszystko spotykamy nieustannie, wystarczy otworzyć media społecznościowe albo dowolny portal. I nie ogranicza się to do jednej opcji politycznej, choć naturalnie każda myśli o sobie wyłącznie w superlatywach, wszelkie bezeczeństwa zaś przypisuje tej drugiej.

To milczenie i siedzenie Demokratów, ponura pikieta przed trzynastolatkiem z guzem mózgu, jest nie tylko pragmatyczną porażką, która z pewnością zostanie wykorzystana przeciwko nim w kolejnych wyborach. Jest także przemożną manifestacją prawdy tyleż oczywistej, co zazwyczaj spychanej do nieświadomości: podłość jest ponad podziałami. Wszyscy mają do niej predyspozycje. Również ludzie, którzy nominalnie występują jako obrońcy demokracji i pozytywnych wartości, zachowują się w sposób urągający elementarnym regułom. Także im brakuje wyobraźni i empatii. Także oni zdolni są do małostkowości, małości i zwykłego okrucieństwa.

Jest to prawda dla nich bardzo niewygodna, zwłaszcza w sytuacji, kiedy ich pozycja została skutecznie nadzarpnięta. Takie momenty jednak, w których czyjaś ciemna strona dochodzi do głosu, są zarazem momentami wielkiej szansy. Uświadomić sobie, że się nie jest moralnie doskonałym, to przecież zyskać znacznie większe prawdopodobieństwo moralnego działania w przyszłości. Pod warunkiem, że się najpierw uzna własną winę, rzecz jasna. A z tym jest najtrudniej. Zwłaszcza w warunkach polaryzacji, gdzie zawsze winni są „oni”, nigdy „my”. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”. Z „Tygodnikiem” współpracuje od 2014 r., od 2021 r. jako felietonista.



R RAINBOW

R.pl



WYCIEZKI OBJAZDOWE

Będzie co wspominać



Polskojęzyczni piloci



Różna intensywność objazdów



Samolotem, autokarem, statkiem

NOWY ELEKTRYCZNY CITROËN ë-C3

REWOLUCJA SIĘ ZACZEŁA



OD
65.800 PLN

Z DOPŁATĄ W PROGRAMIE „NASZEAUTO”
DOSTĘPNY RÓWNIEŻ W WERSJI SPALINOWEJ

Zużycie paliwa/energii (ważone) w cyklu mieszanym WLTP: 5,6-5,7 l/100 km (wersje spalinowe), 16,8-17,2 kWh/100 km (wersje elektryczne). Emisja CO₂ (wartość uśredniona) w cyklu mieszanym WLTP: 126-128 g/km (wersje spalinowe), 0 g/km (wersje elektryczne). Założenia przyjęte do kalkulacji: cena katalogowa Citroëna ëC3 w wersji YOU: 107.950 PLN pomniejszona o 2% opust importera oraz uwzględniająca dofinansowanie w ramach Programu „NaszEauto” Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) w maksymalnej wysokości 40.000 PLN. Uzyskanie dofinansowania i jego rzeczywista wysokość są uzależnione od spełnienia warunków Programu i decyzji operatora Programu. Program obowiązuje od lutego 2025 r. i dotyczy osób fizycznych i osób fizycznych prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą. Szczegółowe informacje dotyczące Programu, w tym m.in. warunków składania wniosków, terminu wypłaty dofinansowania oraz pozostałych wymagań znajdują się na stronie internetowej NFOŚiGW. Dostępność dofinansowania uzależniona jest od poziomu wykorzystania budżetu programu. Przedmiotowe wsparcie nie jest promocją handlową sprzedawcy pojazdu. Najniższa cena z ostatnich 30 dni przed obniżką: 105.791 PLN.



CITROËN